

1.873.151



ZGINEŁA GŁUPOTA!



*Jan Miroszewicz.*



# ZGINEŁA GŁUPOTA!

POWIEŚĆ

Z NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI.

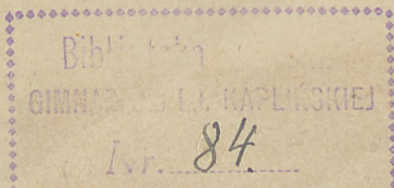


WARSZAWA.

Nakładem Księgarni

A. G. DUBOWSKIEGO.

91 Marszałkowska 91.



Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001012289668

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 16 Ноября 1899 года.



I. 873.151



1976 K 327/24



Pan Hilary Światowidzki, prezes i członek honorowy wielu towarzystw, dyrektor kilku instytucji, bankier i obywatel — ziewnął. Ziewnął, niby pierwszy lepszy z brzegu parweniusz, nieuk, nędzarz, o którym żadne jeszcze kroniki nie pisały i pisać nie będą, — przeciągnął się, nie gardząc, mimo swej społecznej wielkości, metodą naiwnego Wojtka, i z lekka nacisnął guzik elektrycznego dzwonka. We drzwiach sypialni ukazał się kamerdyner.

— Która godzina?

— Dziesiąta.

— Rolety i ubranie.

Kamerdyner spojrzal uważnie na pana, skrzywił się, jakby niezadowolony, i zaczął powoli ubierać swego chlebodawcę.

— Jak tam na dworze?

— Ciepło, sucho. Jaśnie pan zapewne zaraz wyjedzie?..

— Nie wiem! A cóż w biurze?

— Zwyczajnie, proszę jaśnie pana... ledwie co się poschodzili, a kasyer teraz dopiero przyszedł...

— Teraz!? Hm!

— Podobno był na jakiejś kolacyjce. Zresztą ja nie wiem... Słyszałem, opowiadał coś...

— Taaak! Musi mieć dużo pieniędzy, kiedy się ma za co po nocach bawić?..

— Juścić, proszę jaśnie pana!.. Ale niby co do pieniędzy... jest przecież kasyerem!!

— No, no! Zobaczymy!! Może się to skończyć!..

Kamerdyner uśmiechnął się chytrze i ciągnął dalej z potulną minką:

— Akurat właśnie możnaby mieć pana Bitnera z Kredytu Powszechnego!

— Cha! Cha! Cóżbyś dalej za kombinację zrobił?..

— Ano, miejsce w Kredycie należy się panu Prawińskiemu. Zdolny, oho!..

— Tak! Posadę zaś po tym... tym Prawińskim może tybyś objął?.. Co?..

— Eee! Proszę jaśnie pana, co za to, to dziękuję... wolę jaśnie panu buty czyścić, niż w Kredycie urzędnikiem być!..

— Proszę! No... dlaczego? — pytał, śmiejąc się, Światowidzki, rozbawiony uwagami służącego.

— Bo u jaśnie pana, kiedy zrobię swoje, jestem spokojny o kawałek chleba... a w Kredycie, gdyby jaśnie pana nie stało!.. Już i teraz powiadają, że pan Papenkleiner intrygi robi, akcyę skupuje i swoich ludzi na posady wprowadza!..

— Powiadają! — mówił do siebie Hilary — może jest w tem i część prawdy, nie zawadzi być ostrożnym! Ale, mój Janie, czy przyniósł wczoraj rano Błażejewicz referat?..

— Przyniósł, proszę jaśnie pana, jest tego cała księga!..

— To dzisiaj dwudziesty dziewiąty, więc jutro odczyt! Szkoda, że nie dałem dyspozycyi, żeby do mnie przyszedł dziś wieczorem na konferencyę!..

— Jaśnie pan rozkaże... to się Błażejewicza sprowadzi, chociaż...

— Co chociaż?

— Jak tu powiedzieć?.. Może to tylko i gadanie...

— Co za gadanie?...

— Bo, proszę jaśnie pana, Błażejewicz był przed chwilą i spotkał się na korytarzu z po-

mocnikiem buchaltera, Łamkowskim... z tym, co to pisze różne rzeczy. Rozprawiali szeroko, że im się dzieje krzywda, że pracować nie warto i że coś tam wykryją i opiszą w dziennikach!..

— Co!? — krzyknął, poruszony do żywego Światowidzki — oni się poważyli!?

— Ba! Ja sam nie mogłem się dość nadziwić... takie to było potulne i układne!

— Dosyć! Ja ich rozumu nauczę! W tej chwili precz z urzędowania. Jeden i drugi! Nędznie robaki! Pierwszy raz mi się coś podobnego wydarzyło!

— O! proszę jaśnie pana — mruzczał Jan, zawiązując Hilaremu krawat, — im już z oczu źle patrzyło!

— Sprawię im niespodziankę, sprawię! Co tam jest dzisiaj?

— Wizyta w przytulku, otwarcie nowych warsztatów...

— Prawda!

— Założenie kamienia węgielnego klubu szwaczek... a i premiera! Jaśnie pan wspominał wczoraj, że będzie u hrabiego Zygmunta!..

— Trzeba... trzeba! Kawa.

— Stoi w gabinecie.

— Zawołaj mi Herszkowicza!

— Słucham jaśnie pana... ale właśnie..

— Czego jeszcze?

— Pokornie prosiłbym, bo właśnie mój kuzyn...

— Znów akcyje!

— Tak, proszę jaśnie pana — odrzekł Jan, całując rękę Hilarego, — kuzyn mój... biedny człowiek... bardzo... nie wie, co zrobić dzisiaj z «krajowemi...» Jaśnie pan będzie łaskaw!

Światowidzki, po chwilowym namyśle, rzucił niedbale:

— Trzymać, a za tydzień sprzedać! Rozumiesz?!

— Rozumiem — szeptał Jan z niskim ukłonem, — ale... bo...

— Co więcej? — niecierpliwił się prezes.

— Bo mnie mówili, że akcyje krajowych kolei są już prześrubowane i lada dzień...

— Cooo?! — syknął przez zęby potężny finansista, mierząc kamerdynera piorunującym wzrokiem.—Ty śmiesz!?! Precz mi z oczu w tej chwili! Jeżeli jeszcze raz ośmielisz się zapytać... wypędź!... A to przechodzi wszelkie pojęcie! byle kapcan, pacholek, będzie uwagi robił. Jemu mówili!..

Kamerdyner, na widok siniejącej z gniewu twarzy pana, wyniósł się cichaczem z sypialni, nie czekając rozkazu. Światowidzki wzburzony

chodził wielkimi krokami, nie mogąc się uspokoić.

Skaranie istne! Ten... ten prostak zwątpił. Zwątpił o jego sile, podczas gdy na giełdzie dość mu się skrzywić, aby najlepszy papier kark skreśli! Oczywiście Jan gra. Mniejsza, że wypytuje go codzień o kursa, można mu rzucić kość do ogryzienia! Ale spotkać się z krytyką?...

Po chwili pan Hilary macha ręką niedbale.

— Niechaj go tam! Zobaczymy później, a teraz do interesów!

W gabinecie wychudła postać Herszkowicza pochyla się z lekka przed pryncypałem. Światowidzki siada przy biurku i, studząc niecierpliwie łyżeczką filiżankę kawy, spogląda na swego przybocznego sekretarza pytającym wzrokiem.

— No?

— Oto papiery.

— Aha! I cóż?

— Niezalatwione prośby... referat w sprawie syndykatu zbożowego, projekt porządku dziennego rady zarządzającej Towarzystwa ubezpieczeń od wypadków... rachunek kasy, wykaz papierów publicznych i listy o wsparcia...

— Tak, tak! To niezalatwione wczoraj... ale... ale... daj pan dzisiejszą pocztę.

— Dzisiaj jest tylko jeden list z zagranicy, w sprawie nabycia lokomobili.

— Jakto jeden? Nie rozumiem. Cóż się stało?

— Nie wiem. Nic nie słyszałem. Woźny nie przyniósł.

— Co to znaczy? Więc posłać w tej chwili kogo innego. Tego odprawić. Doprawdy, panie Herszkowicz, pan lekceważysz siebie...

— Za pozwoleniem, panie prezesie, woźny był na poczcie, ale prócz jednego listu żadnej korespondencji nie było!

Pan Hilary nie mógł ukryć zdziwienia. Przecież około stu listów codziennie odbierał. A dziś jeden! Zabawny zbieg okoliczności. Nużyły go te różnorodne epistoły, jednak brak mu ich dzisiaj. Trudno.

— Proszę o dzienniki. Możesz pan odejść. Zadzwoń później.

Herszkowicz oddalił się w milczeniu. Pan Hilary, popijając kawę i paląc cygaro, jął rozpatrywać papiery.

— Prośby! Posadę, posadę i posadę! Niema, niema i niema! Urlopy! Zachciewa im się urlopów! Teraz jesień, nie czas na wyjazdy za granicę. Ci ludzie cały rokby tylko wyjeżdżali! Podwyżki? Proszą znów o podwyżki! Za co? Przecież to jest demoralizacja. Człowiek powinien

być zadowolony z tego, co ma! Podwyżka wyradza tylko chęć pożądania, uczy rozrzutności. Oni chcą dzieci kształcić! Owszem, niech sobie kształcą, według sił i środków. Niech je oddadzą do rzemiosła i koniec. Mało mamy wykształconego proletaryatu? A zresztą, że im się podoba mieć dużo dzieci, to nie dowód, aby instytucja miała odpowiadać.

I wywija pan Światowidzki wielkim niebieskim ołówkiem, kreśląc kabalistyczne znaki na prośbach i papierach. Gniewają go przytem owe ciągle dzikie pretensye! Wszystkiego im mało. Gdyby tak chcieć ustępować, gotowi nie wiadomo czego zażądać. Pną się Bóg wie gdzie!... Tu przychodzą na myśl panu Hilaremu czasy, gdy sam był kantorzystą, poniewieranym i lekceważonym... No, on się wybił. Wybił się dzięki własnej energii, sprytowi i zdolnościom. Lecz to zupełnie co innego. Ale czego chce ten tłum wiecznie szemrzący i niezadowolony?

A! «Referat syndykatu zbożowego.» Dobra, dobra rzecz. Przesłać dla porozumienia Gombińskiemu... To będzie dla giełdy zbożowej niespodzianka. Ho! ho! Pysznie obmyślane. Na manekina poprosi się hrabiego Lińskiego, znakomita firma... w zarządzie, prócz tego, zrobi się kilka synekur dla parawaników i finis!...



«Porządek dzienny rady zarządzającej Towarzystwa ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków...» dobry... tylko... należy sprawy ważniejszej natury zostawić na koniec. Oponenti muszą się zmęczyć i wygadać przy załatwianiu bagatelnych kwestyi...

Wsparcia? Na kiedy indziej! Szkoda czasu i pieniędzy na cichą filantropię! Cóż to? mam się wstydzić tego, że komu daję?...

Nareszcie papiery załatwione. Łyk kawy, kłęb dymu i rozpoczyna się przeglądanie gazet według śladu ołówka, którym sekretarz zakreśla ciekawe wiadomości i artykuły.

— Echo! Nieurodzaj buraków. Aha! Rzecz inspirowana. Nowa ustawa budowlana, ochrona lasów... wytrzebionych! Baronowa Kalt... zmarła. Będzie pogrzeb. Trzeba wieniec, choć dla podtrzymania stosunków. Telegramy! «Berlin krótki 248, długi 232. Wagony 1038, 1040 i 1042. Krajowe koleje 752, 753 i 754.» No, no! Dziś zato sobie fruną w górę! Aaa! Cóż to? Coś bardzo ważnego!

*Paryż, 28 października.* Kometa dostrzeżona na południowo-zachodniej stronie nieba zapowiada, zdaniem uczonych, szereg wielkich zjawisk.»



— Hm! Herszkowicz chce mnie na astronoma wykierować. Wczoraj mówiono już coś o komecie na raucie. Co? Jeszcze?

*Londyn, 28 października.* Sir John Shakespeare (potomek wielkiego dramaturga *przyj. red.*) twierdzi, że mniemana kometa musi niewątpliwie wyrzucić wpływ na Ziemię.

— Co mnie to wszystko obchodzi? Nie! Herszkowicz najwidoczniej drzemał, zakreślając telegramy podobne!... Jakby sobie kpiny robił!...

Rzuca pan Hilary na stół «Echo» i bierze do rąk «Gońca wszytkowiedzącego.»

— Artykuł, powieść, krytyka... i znów wielkimi literami... kometa, kometa i kometa! W «Plotce» i «Wiadomościach społecznych» toż samo... Aa! I dodatek nadzwyczajny «Posła!» Znów!

«Dziś o godzinie 4 m. 36 $\frac{1}{2}$  rano otrzymaliśmy od naszego specjalnego korespondenta w Wiedniu depezę terminową i śpieszymy podzielić się nią z naszymi czytelnikami:

*«Wiedeń, 29 października, g. 11 w nocy.* Grono uczonych, zajętych od wczoraj badaniem nowej komety, orzekło jednomyślnie, że ta, dzięki swej wyjątkowej sile przyciągającej, oddziała głównie na ludzkość. Lada chwila spodziewać

się należy poważnych zmian ustrojowych.

«Po wydrukowaniu powyższej depešy w specjalnym nadzwyczajnym dodatku, otrzymaliśmy drugą wiadomość telegraficzną. Pomimo spóźnionej pory i trudności technicznych, i tę śpieszymy zakomunikować szanownym naszym prenumeratorom:

\* «*Berlin, 29 października, godzina 1 po północy.* Stwierdzono działanie komety. Następuje powszechny kataklizm mózgowy. Przytępione umysły rozjaśniają się. *Głupota zanika.* Kometę, na pamiątkę jej niebywałego wpływu, nazwano *kometą rozsądku.*

«*Montecarlo, 28 października, godzina 8 wieczór.* Dla braku grających, kasyno dziś zamknięto.

«Redakcyja «*Posła*» ośmiela się zwrócić uwagę, iż niniejszy dodatek rozesłany został bez specjalnej dopłaty i że czas odnowić prenumeratę, która, jak dawniej, wynosi rocznie rb. 10, półrocznie...»

Pan Świątowiedzki rusza ramionami.

— Brednie! Głupota zanika. Tem lepiej. Czas był wielki... W kasie gotowizną... 25,000.

Papiery publiczne trzy miliony pięćkroć... Sumka się wkrótce zaokrągla...

Prezes wyciąga się w swym skórzanym fotelu i siega niedbale po dzwonek.

Zjawia się Herszkowicz.

— Panie Herszkowicz! Proszę być uważniejszym w zakreślaniu dzienników i nie zakreślać mi artykułów o astronomii... Rozumie pan?

— Sądziłem, panie prezesie, że...

— Dosyć! Żleś pan sądził. Proszę notować! Sprzedać wagony po 1,046 i kupić w zamian krajowe... Wieniec dla baronowej Kalt... Bitner na sekretarza zarządu Kredytu Powszechnego. Prawiński na jego miejsce. Zapisano? Dalej: referat syndykatu wysłać Gombińskiemu, z prośbą, aby przyjechał porozumieć się w tej sprawie. Kupić dla Molskiej dyadem w cenie trzech tysięcy. Nic więcej. Przesłać wraz z bukietem. Ona może być potrzebna. Zawiadomić w pismach o projektowanych nowych rozgałęzieniach kolei krajowych. Zrozumiano?... O syndykacie cicho! Porządek dzienny posiedzenia Towarzystwa ubezpieczeń zmienić według zamieszczonych uwag i rozesłać akcyonaryuszom... Kredytu Wielońskiemu odmówić. Margrabinie posłać 300 rubli tytułem ofiary na przytulek. Bilety do teatru na dzisiaj! Zaproszenia na raut na 15-go. To chyba wszystko...

Herszkowicz odetchnął, obtarł pot z czoła i poprawiał tu i owdzie stenografowane pośpiesznie dyspozycje. Światowidzki rzucił okiem na biurko i wzrok jego spoczął na wielkiej, bogato oprawnej księdze «Nowa ekonomia polityczna. H. Światowidzki.»

— Al...—rozpoczął pan Hilary, jakby przypominając coś sobie—Błażejewicz i Łamkowskiego natychmiast uwolnić z posad... wypłacić pensje do pierwszego i precz! Nieponie nieradni... dla próżniaków miejsca niema u mnie.

Na zwiędłej twarzy sekretarza ukazał się nieznany dotąd uśmiech powątpiewania, a jego ręka mimowoli przestała stenografować. Hilary zauważył wahanie się Herszkowicza i powtórzył z naciskiem:

— Łamkowskiego i Błażejewicza wydalić...

— Ależ, panie prezesie — bąknął sekretarz, mimowoli spoglądając na czerwoną oprawę «Ekonomii politycznej, H. Światowidzki,» — przecież niezdolności zarzucać...

— Odkąd to pan Herszkowicz ośmiela się robić mi uwagi? Powiedziałem i skończone!

Sekretarz obojętnie spuścił głowę i notował automatycznie. Hilary kończył podrażniony:

— Wyrzucić ich natychmiast, bez żadnego motywowania odprawy. Mam dosyć tych bez-

czelnych darmożjadów! Dosyć! Po południu będę pana potrzebował. Ale bądź pan łaskaw powiedzieć, że chcę pomówić z córką. Konie zaraz po przyjęciach...

Herszkowicz skłonił się prezesowi i zabierał się ku wyjściu, porządkując porzucane papiery na biurku, na dźwięk atoli ostatnich wyrazów drgnął i odezwał się z cicha:

— Przyjęcia? Nie wiem doprawdy, dzisiaj!?

— Czego pan nie wiesz?—zapytał ostro Hilary.

— Ja, nie... nie... — jąkał sekretarz.

— Więc... żegnam pana. Skończyłem.

Herszkowicz wyszedł pośpiesznie z gabinetu, uśmiechając się dziwnie i filuternie spoglądając na prezesa. Światowidzki zapalił świeże cygaro i znów zadzwonił. Zjawił się lokaj.

— Melduj!

Lokaj skłonił się nisko, ręce rozłożył i stał nieporuszenie.

— I czego stoisz? Melduj, powiedziałem!

— Proszę jaśnie pana, kiedy niema nikogo!

— Co takiego? Co?...

— Nikogo niema w poczekalni, proszę jaśnie pana.

— Nikogo niema! Nikogo niema! — powtórzał bezmyślnie Hilary, spoglądając osłupia-

łym wzrokiem na zgiętego wpół lokaja.—Nikogo niema!... Możesz... odejść! Możesz!...

Światowidzki przez chwilę stał na środku gabinetu, czoło tarł ręką i myśli zbierał. Na kalendarz rzucił okiem... Wtorek... nie święto... dwudziesty dziewiąty października!...

Dziesiątki osób codzien o tej porze zebralo chwili rozmowy z nim, wyczekiwało od samego rana, tłoczyło się... Pozbyć się nie mógł płynącej fali ludzkiej... Przerzywać musiał audyencyę, lub wprost nie przyjmować interesantów... A dzisiaj nikogo! Niezrozumiały zbieg okoliczności.

I zbliża się mimowoli pan Hilary do okna i spogląda na ulicę. Ludzi pełno, sklepy otwarte, ruch zwykły!... Nigdzie śladu katastrofy, któraby wytłómaczyć mogła niebywały w zajęciach jego codziennego życia wypadek!

Śmieszna rzecz, Światowidzki po raz pierwszy w życiu otwiera lustrzane okno swego gabinetu i wychyla głowę. Powiew zimnego, łagodnego wiatru wpada z rozpędem do pokoju wszechwładnego finansisty.

Nic, literalnie nic zauważyć nie można. U podjazdu stróż rozmawia ze szwajcarem... tu i owdzie mijają się na chodnikach chłopcy w zielonych czapkach ze stosami dzienników...

— «Echo! Dodatek nadzwyczajny! Zginęła głupota!! Zginęła głupota!! Pięć kopiejek!!» — krzyczą mały, podsuwając przechodniom małe świstki.

Pan Hilary patrzy bezmyślnie. Nikt nadzwyczajnych dodatków nie kupuje. Prezes zamyka okno i dotąd nie może sobie zdać sprawy, co mogło wstrzymać tłumy interesantów od zjawienia się w jego palacu...

— «Zginęła głupota! zginęła głupota!» — dochodzi już poprzez szyby przeraźliwy głos nosicieli gazet.

Prezes czuje się zdenerwowanym, drażnią go te wykrzykniki chłopców, bo też, przyznać należy, dawno nie miał tylu naraz przyczyn do irytacji...

Drzwi gabinetu otworzyły się cicho, a tuż za plecami Hilarego rozległ się dźwięczny głos Toli:

— Dzień dobry, papo! Wolaleś mnie!

— Tak, moje dziecko — odparł Hilary, spoglądając z zadowoleniem na wiotką postać swej jedynaczki.

— Siadaj, siadaj, Tolu, mam z tobą do pomówienia... poważnie... Widzisz, jesteś w wieku takim, że trzeba na seryo pomyśleć o przyszłości... Ojciec myślał o niej od dawna... bardzo



dawna. Twoje szczęście i zadowolenie jest wszak zadaniem mego życia...

— O! dobry papo! — szepnęła Tola, całując z uczuciem rękę Hilarego.

— Wiem, że masz do mnie zaufanie i wiem także cośkolwiek o twoich pragnieniach i marzeniach. Masz przecie na to, aby osiągnąć wszystko, co zechcesz. Urody ci natura nie poskapila—ciągnął dalej Światowidzki, głaszcząc z lekka rudo-złote włosy córki, — majątkowo jesteś bez wątpienia najlepszą partya, czasby pomyśleć o wyjściu za mąż i to wyjściu takim, któreby w zupełności ziściło wszystkie twoje nadzieje...

— A czy mnie źle z tobą, papo?—przekomarzyła się z filuterną minką Tola.

— Ze mną ci jest bardzo dobrze, ale z mężem będzie ci jeszcze lepiej—odparł z przekonaniem prezes. — Więc, moje dziecko, trzeba się zastanowić, jakiego męża miećbyś chciała. Jestem przekonany, że nie różnimy się w poglądach, mogę przeto śmiało zaproponować ci wybór...

— Kogóż!? kogóż!? — pytała zaciekawiona Tola.

— Kogo? Powiem ci krótko: Księcia Zdzisława Tomkiewicza, syna marszałka szlachty

i prezesa filantropii społecznej, dziedzica dóbr jazdowskich, koniecpolskich i rzeczyckich, właściciela stadniny czorsztyńskiej, pana skoli-gaconego z najarystokratyczniejszymi domami w Europie!... No! Tolu? Co?

Tola głowę spuściła i milczała. Hilary zapalał się.

— Słuchaj, moje dziecko. Ojciec twój ma władzę i powagę i jest wszędzie dobrze widzianym. Ale należy, bądź-co-bądź, do ludzi nowych, a nazwisko jego nie ma tradycyi i jest o tyle niepospolite, o ile obok niego postawi się cyfrę. Tomkiewicz co innego. Ród stary, pełen historycznych wspomnień, z dziada pradziada możny i bogaty, choć dzisiaj troszkę majątkowo zachwiany. Przytem tytuł... księżna! Co? Prawda? Powiedz, czy ojciec o tobie nie myśli?

— O tem jestem głęboko przekonana; lecz, papo, czy tytuł doprawdy może szczęście zapewnić?

Hilary spojrział z niepokojem na Tolę.

— Skąd ci się wzięło podobne pytanie? Sama mówiłaś, że chciałabyś być hrabiną!... A ja cię mianuję księżną! Jeszcze mało?!

— Zapewne, lecz przecież sympatyje dwojga ludzi... wreszcie reputacya Tomkiewicza...

— Sympatya? Sympatya się znajdzie. Zdzisław jest młody, przystojny...

— Nie czuję atoli do niego...

— Nie rozumiem cię. Wchodząc w arystokratyczną sferę... musisz odpowiednich nabrać zapatrywań. Nie wymagaj rzeczy niemożliwych. Książę nie może mieć złej reputacyi; ma wprawdzie pewne upodobania czy nawyknięcia, ale trudno, człowiek młody i książę. Ożenić z tobą, ożeni, w tem moja głowa. Z drugiej strony, moja Tolu, twojemu ojcu koligacya z Tomkiewiczami bardzo się przyda!...

— Wierzaj mi, papo— przerwała śmiało Tola, — jestem przekonana, że pragniesz jak najświetniejszej partyi dla mnie... Przecież nie mogę pojąć, aby małżeństwo zawarte w celach obustronnego wyrachowania mogło zapewnić szczęście...

— Wyrachowanie... wyrachowanie! Na świecie wszystko na rachunku się opiera...

— Zapewne, o ile prócz cyfr bierze się pod uwagę wszystkie inne dane... uczucia, szacunek...

— No, no! Skąd ci się, Tolu, podobne zdanie wzięło?... dawniej mówiłaś inaczej.

— Dawniej, być może. Zmieniłam zdanie. Daleką jestem od myśli demokratycznych i ty-

tytułu nie uważam, broń Boże, za przeszkodę w małżeństwie... tylko nie godzę się na wyjście za mąż dla tytułu.... ani też dlatego, bym patrzeć miała na trwonienie mego posagu choćby i przez księcia!

— Bajki! Posag się zabezpieczy, a on dostanie coś odczepnego!... Już ja go opiszę, niczego tknąć nie będzie mógł!...

— Nie, papo, interes to niedobry, zły nawet... Skoro tylko małżeństwo wymaga «opisywania,» nieświatne można mieć wyobrażenie o pożytku! Miałaś wszelkie dane uważać mnie za próżną, dziś jestem już z tego wyleczoną...

Światowidzki słuchał słów córki, uszom własnym nie wierząc. Czyżby to była Tola? Nie, to przejściowy poryw, który przeminie... bez wątpienia. Trzeba tylko działać powoli.

— Tolu, zastanów się nad tem. Nie wypowiadaj od razu tak stanowczego poglądu. Pomówimy o tem kiedy indziej. Ale... idziemy dziś na operę!...

Tola niedowierzająco pokręciła główką, ucałowała rękę ojca i oddaliła się do swoich pokojów.

Światowidzki kazał sobie podać palto. A gdy w kilka chwil później wsiadał do lśniącego powozu i napróżno się starał dociec przyczyny na-

glej zmiany, uroslej w usposobieniu Toli, tuż koło pojazdu usłyszał wrzaskliwy głos malca sprzedającego gazety:

— Katakлизм powszechny! Zginęła głupota! Pięć kopiejek!

— Cóż oni z tą głupotą tak wojują?—myślał pan Hilary, okrywając nogi puszystym ple-dem—nasze dziennikarstwo w pogoni za prenumeratą coś na znanadto wielkie figle sobie pozwala!—i rzekł do woźnicy: — Pałac hrabiego Lińskiego!..

Konie ruszyły wyciągniętym kłusem. Światowidzki, z góry spoglądając na snujące się tłumy przechodniów i sznur dorożek, tramwajów, wozów i pojazdów, gładził z lekka swe siwiejące faworyty, kłaniając się znajomym... Dziwna rzecz jednak: Znajomi witają pana Hilarego lekiem skinieniem ręki, nawet podwładni. Tak, z pewnością oto ten młody jegomość służy w Kredyciel... Doprawdy, nie do uwierzenia! Lekceważą go sobie... najwyraźniej lekceważą.

Światowidzki czuł, że mu krew uderza do głowy. Śni, czy marzy? Od samego rana dzisiaj spotykają go przykrości. Drobne niby, ale dokuczliwe. Po co się irytować? Coś w tem jest. Najpierw zbadać należy przyczynę. Prezes postanawia nie zwracać wcale uwagi na ukłony.

Jedzie do Lińskiego. Trzeba go będzie zażyć z mańki. Z nim łatwa sprawa. Godności lubi ogromnie, ciągle ma inklinację do odgrywania roli działacza społeczno-ekonomicznego! Przyjmie prezydium syndykatu, a tymczasem imieniem i nazwiskiem osłoni należycie operacyjki. Poczciwy stary! Ano i tacy są na świecie potrzebni!...

A! jesteśmy już na miejscu!...

Hrabia Liński przyjął zaraz pana Hilarego.

Światowidzki na samym wstępie rozplywać się począł w uprzejmościach.

— Jakże drogocenne zdrowie pana hrabiego? Dobrze? Dzięki Bogu. Byłem nieco niespokojny. A brat? Brat chory! Cóż mu jest? Przejdzie powoli... z pewnością przejdzie.

Stary hrabia kiwał uprzejmie głową, obojętnie słuchając komplementów i umizgów Światowidzkiego, jakby niewiele sobie robił z okazwanej mu życzliwości. Hilary stropił się; nie dając wszakże za wygraną, postanowił uderzyć w najsłabszą strunę Lińskiego.

— Ale — począł z prawdziwą radością — winszuję panu hrabiemu świetnie przeprowadzonej konwersyi papierów procentowych Banku Ziemiańskiego. Operacya pomyślana znakomi-

cie i wykonana po mistrzowsku. Czuć w tem doświadczoną rękę pana hrabiego!...

— Et!—przerwał niechętnie Liński.—Zrobić się to zrobiło, ale beze mnie. Inni tam działali...

— Doprawdy, panie hrabio — protestował gorąco Hilary,—mamy oczy i wiemy dobrze, że gdyby nie jego...

— Chciałeś powiedzieć: niedoleństwo? Wiem, wiem i, przyznam się otwarcie, mają rację za figuranta mnie uważać!

— Ależ, panie hrabio, któżby śmiał, wobec tylu zasług... i dowodów energii!

Liński się skrzywił.

— Dziękuję, dziękuję! Kiedyś byłem młodym i energicznym, tylko że energia moja najmniej w życiu publicznem brała udziału. Ale teraz mówić nie warto. Figuruję tu i owdzie na listach zarządów, lecz i tego mam dosyć. Zrzekam się wszystkich godności, które piastuję. Nie chcę być martwym szyldem, gdy działaczem być nie mogę i nie potrafię.

— Panie hrabio! Byłaby to strata, strata niepowetowana, gdyby pan, dźwignia rozwoju ekonomicznego, powaga finansowo-rodowa!...

— Mój panie Światowidzki — ciągnął obojętnie hrabia, — uważam pana za człowieka rozsądnego, więc mówię mu otwarcie: że drzema-

lem na waszych posiedzeniach, nie biorąc udziału w dyspucie i stale zgadzając się ze zdaniem większości; że podpisywałem referaty, nie rozumiejąc ich znaczenia, że wreszcie piastowałem kilka naraz godności; to był błąd, błąd wielki, niezaslugujący jednak na żarty!... Zwłaszcza, gdy się go szczerze wyznaje.

Światowidzki oniemiał. To chyba jakiś inny Liński? Co on plecie? Jemu się widocznie zdaje... Albo musi mieć w tem cel ukryty. Oho! Światowidzki wyprowadzić się w pole nie da.

— Doprawdy, nie wiem, bo właśnie z tak wielką prośbą przybywam... — rozpoczął znów pan Hilary.

— Proszę, słucham, jeśli mogę tylko...

— Panie hrabio! Organizuje się nowe stowarzyszenie z kapitałem poważnym w celu wyswobodzenia naszego rolnictwa z rąk tłumu spekulantów, jacy wyzyskują nasze ziemiaństwo w handlu zbożem. Myśl wdzięczna, idea szlachetna... Syndykat zbożowy, prowadzony wytrawną ręką męża zaufania, stałby się niewątpliwie dźwignią całego kraju... Otóż... grono założycieli jednomyślnie uchwaliło upoważnić mnie do zaproszenia pana hrabiego do współudziału w ewentualnie... najbliższym pierwszym zebraniu... do objęcia prezydium i kierowania losami...



— Przepraszam, że przerywam, ale z przykrością odmówić muszę tyle dla mnie zaszczytnej propozycji...

— Panie hrabio! Tu o ziemiaństwo idzie. Któżby więc, jak nie pan...

— Mówmy o czem innem. Powiedziałem raz, że nie chcę być więcej manekinem, lalą od parady. Na finansach i na ekonomii się nie znam, interesów, których gruntownie zbadać nie umiem, prowadzić nie mogę, ani osłaniać nazwiskiem swoim nie mam prawa.

Hilary zagryzł do krwi wargi i gniótl niecierpliwie w rękę kapelusz. Takiej odpowiedzi się nie spodziewał.

— Niech mi pan za zle nie bierze—rozpoczął znów Liński; — znajdziecie bez wątpienia kogoś odpowiedniejszego. Byle miał dobre imię, nieposzlakowaną opinię, zaufanie się znajdzie.

— Być może—próbował jeszcze Hilary;—nazwisko jednak pana hrabiego, znana jego działalność, przytem arystokratyczne pochodzenie...

— Co do mojej działalności, już powiedziałem. Arystokratyczne pochodzenie? Wątpię, aby znaczenie mieć mogło. Ja sam cenię i poważam swoich przodków, o ile zasługują na szacunek, ale daleki jestem od myśli, aby na ocenę istotnej wartości człowieka mógł wpłynąć tytuł hra-

biowski, czy sława i czyny pradziadów!... Tak, tak, panie Hilary, pomówmy lepiej o czem innym. Czytałeś pan ostatnie depesze o komecie?

— Owszem... przeglądałem.

— Uczeni do ciekawych wniosków doszli *à propos* głupoty...

— Tak, zapewne—dorzucił roztargniony Hilary, spoglądając na zegarek; — pan hrabia nie wybiera się na otwarcie warsztatów rzemieślniczych?

— Nie mam zamiaru. Obejdą się beze mnie! Ale, stara Kaltowa umarła!

— Baronowa! A tak, wczoraj! Jutro pogrzeb! Przepraszam pana hrabiego, że wracam jeszcze raz do mojej misyi i pozwolę sobie mieć nadzieję...

— Nic z tego, nic z tego!

— Może się co zmieni—nalegał Hilary, podnosząc się z krzeselka. — Mam jeszcze kilka ważnych spraw do załatwienia... Muszę więc...

— Do miłego widzenia się z panem!

Światowidzki zbiegł szybko po schodach, wskoczył do powozu i kazał jechać do warsztatów.

— Skaranie istne z tą mumią egipską! Zachorował na purytanina. Kto mu takiego ćwicka wbił w głowę? Cały syndykat może nie dojść do skutku, bo ludzie są ludźmi i do tradycyj-

nych nazwisk garną się, owczym pędem powodowani. Czy się znajdzie kandydat równie odpowiedni, jak Liński? Miła niespodzianka! Ale co za motywy! Kompletna zmiana frontu. Ciekawa rzecz, czy hrabia naprawdę zrzeknie się swoich godności!...

Spóźnił się pan Hilary. Ceremonia otwarcia nowych warsztatów rzemieślniczych ukończona. Przed domem stoi gromadka mężczyzn, żywo gestykułujących. Powóz Światowidzkiego staje.

— A! dzień dobry panu!—odzywa się cienki głosik młodego człowieka, otulonego w wielki, zamaszysty płaszcz.

— Jak się pan ma! panie Skrobicki! Spóźniłem się, spóźniłem! Bardzo żaluję. Ale coś prędko się skończyło!

— Prędko?... Rozpoczęło się o jedenastej, a teraz... pierwsza!...

— Za pozwoleniem, jedenastą godzinę naznaczono; sądziłem, że uwzględniając opóźnienie uczestników!?...

— A! panie! Któżby śmiał się opóźnić na taką uroczystość!?...

— Może... może!... Ale chciałbym z panem pomówić... Jadę właśnie do księcia Jana, a później na otwarcie klubu szwaczek... mogę pana podwieźć do środka miasta...

— Z miłą chęcią! Co do klubu szwaczek, niech się pan nie fatyguje, bo dzisiaj w ostatniej chwili zapowiedziany obiad odwołano; gdyby pan później wyjechał z domu, otrzymałby pan niewątpliwie zawiadomienie...

— Więc otwarcie odłożono?!...

— Wcale nie! Tylko bardzo słusznie spostrzeżono się, iż byłoby śmiesznością narażać młodą instytucję na wydatki i... *cui bono?* Zbierze się garstka życzliwych klubowi i koniec.

— Dobrze, lecz akt tak ważny! — protestował Hilary, spoglądając podejrzliwie na Skrobickiego.

— Nic a nic na wartości nie stracił.

— Przypuścimy, przypuścimy! — zakonkludował Światowidzki, zapraszając Skrobickiego do powozu. Wsiedli.

Przez chwilę jadący zachowywali głębokie milczenie. Pan Hilary gryzł wargi i żałował w duchu, że ulokował obok siebie tego... tego... Skrobickiego, reporterzynę marnego z «Gońca Wszystkowiedzącego.» Taki mizerak nawet ocenić nie umie zaszczytu... i pozwala sobie na konfidencye... «pan, panie, pana.»

«Reporterzyna» siedział zamyślony, nie zwracając uwagi na Hilarego. Ten ostatni pierwszy przerwał milczenie,

— Mój panie Skrobiecki!

— Proszę, słucham!

— Zawiązuje się bardzo poważna instytucja z dużym kapitałem...

— Czy pańskim?

— Mój panie — odparł urażonym tonem Światowidzki, — przecież to nie może pana dziwić, że gdy idzie o dobro ogółu...

— Wiem, wiem, słucham cierpliwie.

— Instytucja ta ma na celu podniesienie materialne stanu ziemiańskiego, a tem samem zwrot ekonomiczny, bo rozumie pan, że w kraju na wskrós rolniczym...

— Rozumiem, idzie pewno o nowe źródła kredytu, nie sądzę jednak...

— Otóż zupełnie co innego! Chodzi o wyzwolenie rolników z rąk handlarzy zbożem, którzy wyzyskują sytuację...

— A to w istocie myśl godna uznania!

— Naturalnie. Więc, krótko mówiąc, organizujemy syndykat zbożowy...

— Co? Cha! cha! cha! — wybuchnął śmiechem reporter.

— Panie Skrobiecki! Pan mnie obraża!

— Stokrotnie przepraszam, ale pan zaczął tak pięknie, a skończył...

— Za pozwoleniem, panie Skrobicki— przewał Hilary dumnie, — przystąpmy do interesu. Syndykat będzie potrzebował poparcia prasy, więc niech się pan zgłosi do sekretarza po informacye... Nadmieniam, że na rachunku pańskim w kasie jest jakaś suma do podniesienia. To wszystko, co panu miałem do powiedzenia.

Reporter obojętnie wysłuchał propozycyi Hilarego i, bawiąc się niedbale wielkim brązowym guzikiem swego palta, zaczął ironicznie:

— Dziwię się mocno, że pan możesz mi robić podobną propozycyę!...

— Jaktó! — wykrzyknął dotknięty Światowidzki.

— No... bo... proszę pana! Mówmy otwarcie. Z największą przyjemnością zabrałbym się do roboty, gdyby była możliwa.

— Nie rozumiem!

— Oczywiście jest niemożliwą. Gdyż, pominawszy pewnik, iż żaden redaktor nie zgodzi się na umieszczenie wzmianki, ośmieszającej własny dziennik, kto, u nas uwierzy w instytucyę, która się nazywa syndykatem, dążącym do pochwylenia w swoje ręce wszystkich nici handlu zbożem i normowania później cen tegoż według własnego widzimisię?

— Kiedy pan, widzę, nie chce...

— Myli się pan! Chcę i chcę zarobić, lecz nie jestem w stanie podjąć się zlecenia wprost naiwnego... Chyba, że pan taką bajeczkę życzy sobie umieścić w piśmie dla dzieci!... Przepraszam pana, jesteśmy przed redakcją «Wiadomości,» muszę wysiąść; spodziewałem się innej propozycji. Żegnam.

Powóz przystanął, Skrobicki wysiadł, a Hilary pojechał dalej w stronę domu książąt Tomkiewiczów, oszołomiony, ogłuszony.

— Co mi ten półgłówek napłótl! Naiwne zlecenie! Czyż uważa mnie za niespełna rozumu? Możeby w to uwierzył kto inny! Dlaczego odmówił? Trudno przypuścić, abym już miał przeciwników w interesie, którego nikt nie zna! Nie, trzeba się rozmówić z redaktorem Klepalskim. Szkoda było czasu wdawać się w gawędy z takim zerem.

Powóz zatrzymał się przed starożytnym podjazdem domu książąt Tomkiewiczów i równocześnie dał się znowu słyszeć wrzask chłopców, sprzedających Kuryery: «Ciekawe wiadomości! nowa kometa! głupota zginęła!»

Pan Hilary wyskoczył rażno, otworzył drzwi wielkiego przedsionka, wszedł do przedpokoju, obejrzał się dokoła, i nie znalazłszy nikogo, jął

sam zdejmować palto. Wtem w bocznych drzwiach ukazała się służąca.

— Książę pan w domu?

— Wyjechał na miasto!

— A księżna pani... przyjmuje?

— Owszem, jest u siebie na górze.

— Proszę mnie zameldować!

— E! to niepotrzebne! Niech pan pofatyguje się prosto schodami na pierwsze piętro, a potem pierwsze drzwi na lewo...

Służąca, nie czekając na dalsze pytania Hilarego, wyszła.

— O, źle! — myślał pan Światowidzki. — Tomkiewicze zbliżają się szybciej do bankructwa, niż przypuszczałem! Służby niema, liberyi niema. Fiu! Teraz kiwnąć na księcia Zdzisia, a polecą za byle bankierówną!...

Pan Hilary, rozglądając się, po wielkich marmurowych, ozdobionych freskami schodach wszedł powoli na górę, znalazł drzwi na lewo... i otworzył.

W dużej, widnej sali, pod oknem, siedziała postać kobieca, zajęta jakąś szydelkową robótką.

Światowidzki spojrział, skłonił się z daleka, a widząc zgola obcą sobie osobę, zaambarasował się.

d. c. r. 96 etc.



Pani zaś, zobaczywszy Hilarego, uśmiechnęła się uprzejmie i ruchem ręki poprosiła go siedzieć.

Twarz prezesa musiała wyrażać silne zdziwienie, bo nieznajoma pani pośpieszyła zapytać:

— Pan mnie nie poznaje?...

— Ależ pani... dobrodziejko! Cóż znowu?— zaoponował Hilary, choć przysięglby, że tę panią pierwszy raz w życiu widzi; lecz jak tu się przyznać do czegoś podobnego w domu książęcym, zwłaszcza, gdy dają do zrozumienia, że się nie jest obcym?...

— Jak się miewa pańska córka?

— Uprzejmie dziękuję... zdrowa!

— Mamy prześliczny dzień.

— Rzeczywiście, wyjątkowo ładny...

— Pan zawsze czynny od rana?

— O tak!

Rozmowa się nie kleiła. Hilary coraz bardziej przypatrywał się i badał nieznajomą. Głos miała zupełnie podobny do głosu księżnej... tylko wyglądała na młodszą, chociaż włosy jej srebrzyła z lekka siwizna, podczas gdy księżna nosiła zwykle dużą, czarną, lśniącą perukę... Chyba złudzenie!...

— Hm! Przepraszam panią... czy będę mógł złożyć dzisiaj uszanowanie księżnej Janowej?

Nieznajoma roześmiała się serdecznie.

— A widzi pan, że mnie pan nie poznał! Ale nie to dziwnego! Wyrzekłam się wszak wszystkich moich kosmetyków... i sztucznych efektów... stąd zmiana.

— Na awantaż... na awantaż, księżno pani— cedził, kłaniając się Hilary i klnąc w duchu własną nieuwagą.

— Nie wątpię, bo... sama skonstatowałam to w lustrzel..

— Tak! niemasz, jak prostota! — bąkał Światowidzki, chcąc wybrnąć w jakikolwiek sposób z przykrej sytuacji. — Książę pan zapewne... w klubie?

— Nie, panie, wyjechał za interesami. Zwłaszcza teraz.

— O tak! Rozumiem! — szepnął z udaniem westchnieniem pan Hilary. — Czasy ciężkie są, bardzo. Nawet dla nas, o których mówią, że pieniądze płyną nam drzwiami i oknami...

— Tego nie powiem. Ani głód, ani wojna, ani zaraza, ani powódź, ani żadna inna klęska nie nawiedziła naszego kraju. Powodu do utyskiwań niema.

— Zapewne, lecz przewroty ekonomiczne, zmiana stosunków... niekiedy sprawia, że najważniejsze fortuny są zagrożone!...

— I na to się nie godzę. Speculanci giełdowi mogą tutaj się czuć zachwiani, lecz my na przykład...

— Co mi tu ona plecie za bajdy! — myślał Hilary, z coraz większym zdziwieniem przyglądając się księżnej.

— My o tyle marnujemy fortuny, o ile wyrzucamy bezmyślnie pieniądze za okno; bo nawet gdyby nam majątki żadnego absolutnie zysku nie przynosiły, to żyjąc dostatnio, jeszcze prawnukom zostawić możemy poważne spadki..

— Księżno pani — począł, rozweselony ostatniem zdaniem Hilary, — Święta prawda. Lecz co my nazywamy trwonieniem? Wyższe urodzenie ma swoje prawa, wymagania, uświęcone do pewnego stopnia tradycją. Weźmy na przykład stajnię czorsztyńską; może rzecz kosztowna, ale dla księcia Zdzisława...

— O, właśnie! — przerwała księżna — syn wydał dzisiaj telegraficzną dyspozycję wyprzedania całej swej stajni!...

— Wyprzedania stajni czorsztyńskiej? — powtórzył Światowidzki, hamując okrzyk zdziwienia.

— I to pana, człowieka rachunkowego, dziwi! Policz pan utrzymanie stajni wyścigowej. Koszt wielki, a pożytek absolutnie żaden. Za-

miast wyścigowych koni, w dobrach czorsztyńskich będzie stajnia zarodowa, zastosowana ściśle do potrzeb gospodarstwa rolnego...

— Zapewne, ale... jakto?... księżę nie będzie miał swoich koni na wyścigach?... księżę...

— Nie rozumiem pana. Jesteśmy wszyscy ludźmi. Kto ma ochotę pozwalać sobie na tak znaczne i bezcelowe wydatki, nikt mu nie broni. Lecz chyba tytuł nie obowiązuje do marnotrawstwa! A przytem, panie Światowidzki, nazbyt pan akcentuje naszą mitrę księżęcą...

— Tak... tak!... — powtarzał machinalnie Hilary, i powstając z krzeselka, zabierał się do wyjścia.—Szkoda zawsze. Piękna stajnia. Cóż to za dzielny ruler był na przykład ten... «Pit-Pat!..» Księżna pani pozwoli, że ją pożegnam... moje uszanowanie proszę załączyć księciu panu i panu Zdzisławowi...

— Mąż doprawdy będzie żałował, ale musiał pojechać do adwokata...

— Państwo zapewne wyjeżdżają na zimę?...

— My? broń Boże! Po co? Czy tu nam źle?...

— Sądziłem. Uszanowanie księżnej pani...

— Do zobaczenia się.

Światowidzki zbiegł szybko po schodach na dół, gdzie tym razem zastał służącą, zajętą czy-

szczeniem lichtarzy. Służąca, zobaczywszy Hilarego, podała mu palto.

Bankier obejrzał się dokola, i dając suty napiwek służącej, zapytał niby od niechcenia:

— Powiedz mi, moje dziecko... cóż to? nie macie już lokai?...

— Owszem, jest jeden, ale ten sprząta w tej chwili pokoje młodszego pana.

— A gdzie reszta?

— Reszta wyjechała do Jaworowa na dozorców przy rozpoczętej budowie cukrowni. Tu nie mieli co doroboty, wałęsali się od świtu do nocy, więc pan starszy wypowiedział im rano naukę moralną i wyprawił ich wszystkich na wieś.

— Aha!... to... bardzo dobrze! Bądź zdrowa!

Pan Hilary, wsiadając do powozu, spojrział raz jeszcze na dom ksiąząt Tomkiewiczów.

— Pyszna struktura!—mruknął— może to się jeszcze kupi. Tak, przyszła kréska na Matyska. A jeszcze dzisiaj dałbym sobie głowę uciąć, że Tomkiewicze będą dłużej wegetowali. Pańskie dziady! Ruina, ruina i ostateczna ruina.

— Jedź do domu!—rzucił stangretowi.

— A zatem Tomkiewicze już się wyprzedają i nawet usuwają się z życia towarzyskiego; ale co to za wyrafinowana duma siedzi, co za walka o pozory! Niezręcznie tylko stawiają kwestyę.

Książę Jan jeździ po adwokatach. Nie na wiele się to przyda.

O Zdzisiu mówił do siebie finansista:

— Mam cię, ptaszku, mam! Teraz z tobą ceremonii robić nie będę i za ozłocenie twojej mi-try będziesz musiał być grzecznym i potulnym... Już ja ci fruwać nie pozwolę. Stać mnie na podtrzymanie książęcego tytułu, ale subordynacya musi być absolutna.

W domu kamerdyner zwiastował panu Hilaremu wiadomość, że Herszkowicz w jakimś bardzo ważnym interesie szukał go od samego rana, a obecnie czeka w kantorze na dole. Światowidzki polecił go przywolać.

Po malej chwili do gabinetu prezesa wszedł sekretarz. Na twarzy jego malowało się jakieś dziwne pomieszanie.

— Panie prezesie! rzecz niesłychana... dzisiaj na giełdzie...

— Co na giełdzie?

— Wagony niesprzedane.

— Jakto niesprzedane?

— Nie było zapotrzebowań. Zwracałem się do Blumenfelda, Hirszman, Walda i Spółki... nikt Wagonów wziąć nie chciał, a na usilne nalegania ofiarowano mi cenę o 40% niższą od notowań wczorajszych.

Pan Hilary zbladł. Zimny pot wystąpił na jego czoło, dyszał nerwowo, wreszcie obrzuciwszy Herszkowicza błędnym wzrokiem, począł zdławionym głosem:

— Więc... więc krach wagonowy? Cóż za wiadomości przyszły? Czem motywują niechętnie usposobienie? Więc tak wielką ilość akcji dostarczono?

— Nie, panie prezesie. Sam tego zrozumieć nie mogę. Na giełdzie było pusto. Najzapaleńsi gracze z pośród kantorowiczów... i ci zawiedli. Jakaś apatya czy zniechęcenie ogarnęło wszystkich. Nie chciano nawet słuchać o przyszłości papierów, obliczając wartość każdego z nich w stosunku do dywidend z ostatnich trzech lat. Mówią o jakiejś komecie, ukazanie się której miało wyrzucić taki wpływ na umysły ludzkie.. że głupota...

— Dosyć! Proszę mi tych bzdurstw nie powtarzać! No, a krajowe?

— Nie kupilem... a było ich dosyć do sprzedania.

— Kurs?

— O 10% niższy.

Hilary chwycił się za głowę i pozostawał chwilę bez ruchu.

— Tak jest, panie prezesie, wzmianki zostały rozesłane do wszystkich redakcyi, ale już dwie

nadesłały odpowiedź odmowną. Między innemi redakcyą... «Wiadomości społecznych.»

— Co? Pismo subwencyonowane przeze mnie?...

— Właśnie oto ich odpowiedź.

Światowidzki nerwowym ruchem wyrwał z rąk sekretarza list redakcyi «Wiadomości społecznych,» przebiegł go szybko oczyma i zmiał z wściekłością w rękę.

— Podle plemię! Podobne impertynencye ośmielają się mnie wypisywać, mnie, który ich wyciągnęłam z suchotniczego życia, dałam możność wybicia się! Oni, mimo całej swej wdzięczności i poważania, bez sprawdzenia nie mogą umieścić informacji, gotowych okazać się niezupełnie dokładnemi! Ci... ci... paszkwilanci, plotkarze obrzydliwi, ważą się na coś podobnego!

Światowidzki odsapnął głęboko i począł spokojniejszym głosem:

— Obliczyłeś pan, ile przypuszczalnie moglibyśmy stracić, gdyby kursa w górę nie poszły?

— Około dziewięćdziesięciu.

— Ile wszystkich Wagonów mamy?

— Cztery kroć.

— Do diabła! Panie, słuchaj mnie pan uważnie. Przyczaić się i siedzieć cicho, a gdy tylko



kurs się ruszy, sprzedać mi tę wszystką bibulę!

— Czy i krajowe?

— Nawet i krajowe! Nie chcę więcej mieć z tem do czynienia. Widoki, jakie mam... nie pozwolą mi nazbyt siedzieć w giełdzie... A na wszelki wypadek wymówisz pan kilka sum hypotecznych i depozytowych, do wysokości... stu tysięcy... aby wszelkie różnice wypłacać natychmiast... Zresztą załatwione wszystko?

— Tak jest. Pani Molska nadesłała podziękowanie... oto ono...

— Zostaw pan, przeczytam później. Nowiny na giełdzie były?

— Owszem, panie prezesie, nawet poważne. Rudowski stara się o zorganizowanie giełdy zbożowej. Zyskał już sobie zwolenników. Myśl się ogólnie podobała...

— Podobała się? — przerwał z przekąsem Hilary — podobała? — proszę! Szkoda, że odrobinę spóźniona...

★ — Hrabia Przesmycki przystąpił do licytacji na budowę dworca centralnego... jakoby obniżył cenę o 15% niżej ceny licytacyjnej.

— Kto? Przesmycki? Przecież on nigdy w życiu nie brał udziału w żadnych przedsiębiorstwach?!

— Wywołało to właśnie ogólne zainteresowanie się...

— Świat się do góry nogami przewraca! Takie niedowarzone hrabiątko chce stawać do konkurencyi...

— Chyba trzeba odmówić mu kredytu?...

— Naturalnie! Jak się taki panek zaczyna bawić w przedsiębiorcę, to na nic. Chce drugim w drogę wchodzić? niech cierpi! Już wszystko? Pewnie już nie będę pana potrzebował.

Herszkowicz wysunął się po cichu z gabinetu prezesa, który zabrał się do czytania wyperfumowanego bileciku Molskiej...

«Drogi prezesuniu — pisała piękna baletnica, — zobowiązałaś mnie bardzo swoją galanterią; dyadem jest cudny po prostu, a bukiet prześliczny. Jeżeli chcesz dopełnić miary prawdziwego zadowolenia, przyjdź do mnie na kawę; mam z tobą do pomówienia.

Serdecznie życzliwa

*Lena.*»

Światowidzki uśmiechnął się.

— Dobrze, że ona do mnie ma interes, a nie ja do niej... Inaczej musiałbym czekać, boć nieprzyjemnie byłoby występować z projektem zaraz po prezencie! Ale co ona może mieć za interes do Hilarego? Pewno jaka protekcyjka! No,

mniejsza o to, zrobić niejedno będzie można, byleby szambelana pozyskać przez nią...

Wśród niebywalej ciszy zeszedł obiad w domu Światowidzkiego. Pan domu był chmurny, gniewny i milczał uporczywie. Tola jadła mało, a wzrok jej bezmyślnie błędził po wspaniale rzeźbionym dębowym suficie jadalni; miss Ketty wreszcie zapomniała nagle o City i Westminsterze, w których zazwyczaj znajdowała niewyczerpany materiał do dysputy, rozmowy czy opowiadania.

Gdy po obiedzie Hilary zamieniał z córką zwykle podziękowanie, Tola najniespodziewaniej poprosiła o chwileczkę poufnej rozmowy. Światowidzki spojrzął na zegarek—był wielki czas do Molskiej, ale nie mogąc się oprzeć proszącym oczom Toli, zasiadł wraz z nią w jej zacisznym buduaru.

— Cóż mi masz do powiedzenia?

— Papo—rozpoczęła Tola nieśmiało, —mam wielką, bardzo wielką prośbę... ale ty mi nie odmówisz?!...

— Wiesz dobrze, żem dla ciebie gotów wszystko uczynić — odparł Hilary, hamując ogarniające go zniecierpliwienie.

— O tak! Ty mi nie odmówisz. Prawda? No, powiedz, proszę cię!

— Ależ dobrze, dobrze, z góry się zgadzam, tylko powiedz mi, o co chodzi...

— Kazalesz wywalić Łamkowskiego... i za co? Przecież... taki porządny człowiek... pracowity... bez powodu...

— Tolu—przerwał ostro Światowidzki,—dobre masz serce, ale ludzi nie znasz! Jest to niepoń, niewdzięcznik, obludnik, zasługujący tylko na pogardę!... Dostyc tego... wybacz, nie mam czasu...

— Ależ papo, chwileczkę! Więc co zrobił? Czem zasłużył sobie na sąd tak ostry? Niechaj wiem przynajmniej...

— Ty się pytasz, co zrobił? Wiedz zatem, że ten... ten... niepoń nie dalej jak dziś rano poważył się razem z tym... tym... drugim, swoim przyjacielem... wygrażać mi głośno... rozwodzić się, że jest wyzyskiwanym, gnębionym. Oto masz tego nieszczęśliwego!... Owszem, proś mnie, o co chcesz, ale byleby to było możliwem do spełnienia...

— A mnie się zdaje, że papa został w błąd wprowadzony. Bo właśnie dzisiaj rano Łamkowski miał przeprowadę z Błażejewiczem, który przyszedłszy w stanie podrażnionym, zaczął awanturować się... Wiesz, ten Błażejewicz, co to przepisywał ci rękopisy w gabinecie... Pan

napisał do 79

Łamkowski swoim taktem umitygował Błażewicza i tem samem zapobiegł plotkom, które mogły były wyniknąć w kantorze... i zamiast wdzięczności otrzymał dymisyę...

Hilary spojrział badawczo na córkę.

— Skądże masz tak dokładne informacje?

— Bo... bo... był sam i mówił — odparła, mieniać się, Tola.

— Taak! Proszę, cóż za konfidencye! Wca-  
le mi się to nie podoba!

— Ależ, papo—tłómaczyła,—przecież sam zezwolileś, żeby bywał u nas, i zapewniałeś, że pochodzi z podupadłej, lecz dobrej i uczciwej rodziny!... Zresztą, stało się i nie stało się chyba źle, jeżeli cię to uchronić może od dopuszczenia się niesprawiedliwości względem tego, na przywiązanie którego mogłeś liczyć zawsze!... a który...

— No, no! Zobaczymy, zobaczymy! jeżeli istotnie Łamkowski...

— Papo! Nie wążp o tem i nie zwłócz z odwołaniem wydalenia... on czeka...

— Kto czeka? Gdzie czeka!?

— Łamkowski jest w kantorze, ja mu kazałam...

— Jesteś zbyt pochopną do przebaczenia. Zobaczymy jeszcze...

— Więc, papo, mogę mieć nadzieję, że mnie wysłuchasz?...

— Nic jeszcze nie wiem! Rozmówię się z nim. A teraz, moje dziecko, wychodzę; proszę cię, pamiętaj o teatrze, żebyś była gotową...

W kilka minut później pan Hilary, uporządkowawszy swoją toaletę i wydawszy rozporządzenie zaprzęgnięcia, kazał przywołać do siebie Łamkowskiego.

— Młody buchalter firmy «J. Światowidzki,» pan Stanisław Łamkowski, wszedł do gabinetu szefa błady, z oczyma pełnymi determinacyi i smutku.

— Co mi pan Łamkowski ma do powiedzenia?—zaczął Hilary, mierząc przybyłego od stóp do głów.

Łamkowski przez chwilę milczał, krew mu uderzyła do głowy, wreszcie z całą młodzieńczą gwałtownością i poczuciem własnej krzywdy wybuchnął:

— Jakto! panie prezesie, z czem przychodzę? Przychodzę ze skargą, z żalem i goryczą. Za sześć lat uczciwej, sumiennej i wiernej pracy w biurze pana dzisiaj odprawiono mnie jak przybłądę, wypędzono mnie jak psa, bez słowa wyjaśnienia. Żłem się wywiązywał ze swoich obowiązków, czy je lekceważyłem? Sprzeniewie-

zenie popełniłem? O, panie prezesie, gdybym był w pierwszym lepszym sklepiku pieprz ważył, jeszcze bez wyjaśnienia przyczyn nie pozbawionoby mnie kawałka chleba. Zresztą świat nie torba! mógłbym i gdzie indziej kawałka chleba poszukać, lecz teraz cięży nade mną niezrozumiała dla mnie przyczyna, a wszak każdy nowy chlebobawca będzie mnie wypytywał...

— Nie tak gorąco, panie Łankowski! Nie tak gorąco! — cedził przez zęby Światowidzki, otaczając się kłębam dymu.—Należy się nauczyć szanować pryncypalów nie tylko w oczy. Pozwoliłeś pan sobie na jakieś, śmieszne zresztą pogrożki... nie dalej jak dziś rano... razem z Błażejewiczem.

— Panie prezesie, to nieprawda! Oszczerstwo! Przeciwnie, to Błażejewicz, którego z tej strony pan prezes zna, poważył się... podczas gdy ja wszelkimi siłami...

— Już dobrze, dobrze! Panie Łankowski, niech pan wie, że na ten raz to panu jeszcze ujdzie płazem... wracaj pan do swoich zajęć... Powtarzam, że ostatni raz. Chcę wierzyć, że było tak, jak pan mówisz...

— Dziękuję!—bąknął pod nosem Łankowski, a na jego twarzy nie znać było radości;

zdawałoby się nawet, że ten człowiek całą siłą woli panuje nad sobą.

— Znam dzisiejszą młodzież biurową — ciągnął pan Światowidzki;—dawniej, za moich czasów, bywało inaczej!...

Tu panu Hilaremu nie wiadomo skąd ukazało się przed oczyma wielkie pudło handlarza zapalek, szpilek, szelek i guzików, więc skrzywił się i zaczął ód niechcenia:

— Czego ten lajdak Błażejewicz chce i co mu przyszło do głowy?!

— Pan prezes przecież wie, jaka to szalona palka! Chce gwałtem być uznanym za autora «Nowej ekonomii politycznej,» mówiąc, że nie chce ani odszkodowania, ani pieniędzy, tylko walczyć będzie do upadłego...

Bankier bębnił nerwowo palcami po stole.

— Rozumiem, swoją dziką pretensją chce wyludzić znów coś ode mnie! Straszy mnie skandalem! Ależ nie dość przyznawać się do autorstwa, lecz go trzeba jeszcze dowieść!...

— Właśnie chwali się, że to potrafi zrobić...

— Potrafi... potrafi... Ale zanim on rękę do góry podniesie, ja go potrafię zgnieść i tak go do ziemi przytłoczyć, że głowy więcej nie podniesie.

Hilary drżał z gniewu, a głos jego przechodził zwolna w jakiś syk złowrogi.



— Światowidzki ma silne ręce i byle robaka lękać się nie potrzebuje!!... I proszę pana, taki lapserdak, któremu z łaski dałem przepisywanie i zezwoliłem na wypracowanie kilku referatów!!... Rozumie pan, przepisywacz!....

— Rozumiem! — mruknął Łamkowski tak dziwnym tonem, że trudno było wywnioskować, czy pomocnik buchaltera rozumiał należycie słowa pryncypała.

— A... a! Kontent jestem, że go się pozbyłem, bo to wstyd cierpieć i mieć do czynienia z takim osobnikiem...

— Panie prezesie! Bo on... jeszcze i o tym odczytacie się rozwodził.

— Cóż takiego?

— Że wczoraj rano przyniósł wypracowany odczyt dla pana prezesa i że z tego także użytek zrobił...

— Ha, nędznik! No, patrz pan! Oto jest operat, przepisany jego ręką. «Obdłużenie zakładów przemysłowych.» I to może on... podaje się za autora? Znakomite! Nieszczęśliwy człowiek. Waryat, waryat i nie zresztą!! Ale, dobrze, że sobie przypomniałem! Panie Łamkowski, bądź pan łaskaw zasiąść się tu u mnie w gabinecie i przepisać mi ten operat cały, uwzględniając wyglądzenie stylistyczne! Zajmie to panu

jakieś dwie godziny czasu. A ja muszę go mieć na dziś wieczór, bo jutro mam odczyt w Towarzystwie przemysłowem... Tylko, panie, czytelnie, proszę, czytelnie...

— Owszem, skoro pan prezes sobie życzy!!...

— Tak, tak, panie Łamkowski, koniecznie na dzisiaj. Ja wiem, że mi tego nikt tak dobrze nie zrobi, jak pan.

Łamkowski sklonił się obojętnie, i podszedłszy do szafki z papierem, wyciągnął kilkanaście arkuszy i powoli jął się roboty przy stojącym w gabinecie na uboczu stoliku.

Hilary zabierał się do wyjścia, zamykając drzwi kasy podręcznej, ukrytej w murze, i napełniając jedwabną kopertę cygarami; wreszcie zbliżywszy się do Łamkowskiego, poklepał go dobrotliwie po ramieniu.

— Uwiń się pan tylko! Pan to umiesz! A już się nie chmurz! Nie pan nie stracisz na tem małym przejściu! Ale nie wiedziałem, że masz pan tak gorliwego protektora!

Łamkowski uśmiechnął się z przymusem i głowę nad papierami pochylił. Światowidzki wyszedł.

Było już dosyć późno, jak na wizytę do Molskiej, która prawdopodobnie dzisiaj występowała. Rączyrumaki pana prezesa poniosły z kopyta i po

wyminięciu kilku ulic zatrzymały się przed wysoką kamienicą.

Gdy pan Hilary dzwonił do drzwi Molskiej, biła piąta. Otworzyła mu zgrabna i fertyczna Józia.

— Ach! Pan prezes! Jak to dobrze! Pani tak czeka na pana!

— Występuje dzisiaj?

— Nie, nie występuje... tylko na pana prezesa czeka!...

Józia filuternie mruży oczka i klania się, czekając na należne jej powitanie.

Pan Hilary, pomny na zwyczaj, szczypie ją zlekka w policzek i wchodzi do salóniku. Z przeciwnej strony we drzwiach ukazuje się wiotka, elastyczna kibić pięknej Leny, która egzaltując się, wita z rozrzewnieniem Światowidzkiego, rzucając mu się na szyję.

— Ach! mój kochany prezesuniu! Czekałam tak długo! Niedobry! tak późno do Leny przychodzisz. No, siadaj, mój lysku pocziwy, drogi. Chodź, chodź, tu na kanapkę obok. O, tak! Dobrze!

Hilary, oszolomiony przyjęciem, odurzony zapachem perfum, olśniony postacią Leny, która w dosyć wydekoltowanym ukazała się szlafroczk, poddawał się z przyjemnością tej niewin-

nej tyranii. Wkrótce atoli wrodzona mu trzeźwość wzięła górę i odzyskał wnet charakter eleganckiego adoratora modnej piękności.

— Zawsześ uroczą i śliczną!

— Daj mi pokój! Ja... ja... to zjadłabym cię za twoje faworyty!!...

— Tak? Nie wiedziałem!

— Hm! Tyś nie wiedział! Ale, czekaj, kochanie, napijemy się kawy! — Zadzwoiła i zjawiała się Józia z tacką i likierami. Kiedy wszystko było przyszykowane — możesz odejść — rzekła, — a mnie niema w domu...

Józia, uśmiechając się dwuznacznie, wyszła.

— Moja duszyczko! Za liścik ci serdecznie dziękuję, ale on mnie i ucieszył i zaniepokoił, bo sędzę z tego, że masz do mnie bardzo ważny interes!...

— Oj, ty fałszywczel! Więc mi o ciebie wcale nie chodzi. Otóż pamiętaj! daję ci słowo honoru, że gdybyś u mnie dziś nie był, odesłałabym ci... bukiet... natychmiast...

— No, tak... zapewne. Lecz czem mogę ci służyć?...

— Hm! Jakby ci tu powiedzieć?... Wszystkiem! Wiedz — zaczęła prędko Lena, — że dziś szambelan zerwał ze man...

— Zerwał?... — powtórzył glucho Hilary, a twarz jego skamieniała.

— I to, powiadam ci, bez powodu. Wczoraj jeszcze wieczorem był, siedział, gawędził, a dzisiaj przysłał mi list z perorami i coś tam na wydatki... i finis...

— Musiałaś się narazić?...

— Słowo daję, niezem! Napisał mi, że jest stary, do czego nigdy się przedtem nie przyznawał; że z jednej strony nie może żądać przywiązania ode mnie, a z drugiej nie chce być nadal w przykrej sytuacji oszukiwanej ofiary; że ja jestem za drogą zabawką; że jemu nie wypada występować w roli półglówka, no i tym podobne brednie. Myślałam, że sobie kogo innego upatrzył. Gdzie tam! Mam wiadomości od jego kamerdynera: Będzie mieszkał z siostrą wdową i siostrzenicami... Śmiechu warte!

— A rzeczywiście, to szkoda! — zauważył Hilary, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Naturalnie! Szambelan miał około stu tysięcy dochodu i przytem stosunki jego były bardzo wiele warte... Biedy nie będę miała, gdyż o sobie pamiętałam!... Ale, wiesz co, kochany prezesuniu, gdy odebrała dzisiaj od ciebie dyadem i bukiet, byłam przekonana, że już wiesz o wszystkim.

— Jakto! — zapytał zdziwiony takim wnioskiem Światowidzki.

— A no... sądziłam, że teraz ty, prezesuniu, będziesz pamiętał o życzliwej ci od dawna Lenie...

— Ja... ja?... — powtarzał machinalnie zniechęca zaskoczony Hilary.

— Ty, kochany mój! Córkę wydajesz za mąż i co będziesz, wdowczyku, robił? A Lenki się nie pówstydzisz; jeszcze ci jej zazdrościć będą... No? Czekam odpowiedzi i warunków!...

I piękna baletnica zawiesiła się na szyi Światowidzkiego, patrząc mu kokieteryjnie w oczy. Prezes pozostał zimnym i obojętnym.

— Pochlebiłaś mi ogromnie. Jestem tak uderzony niespodziewaną propozycją, która przechodzi wszelkie moje oczekiwania... Pozwól mi się namyślić... Za dwa dni dam ci odpowiedź... A i ty możesz znaleźć kogoś odpowiedniejszego...

Lena zrobiła grymas niezadowolenia.

— Mój prezesuniu! Kogóż ja szukać będę? Wiesz, że mam dosyć kosztowne upodobania!...

— Zapewne! zapewne! — potakiwał Hilary, nie mogąc wyrozumieć, dlaczego on właśnie ma owe upodobania zadowolić. — Więc dwa dni namysłu, a potem... w każdym razie zostaniemy

przyjaciółmi... zawsze możesz liczyć na moją pomoc...

— Ha! — rzekła Molska po chwili milczenia—niechże i tak będzie!

Rozmowa potoczyła się dalej na temat intryg i plotek zakulisowych. Lena, żywo gestykulując, opowiadała Światowidzkiemu głośną awanturę pewnego skrzypka z koryfejką Radlicką. Hilary słuchał, potakiwał, a myśl jego zgola czem innem była zajęta.

Doprawdy, prezes miał pech dzisiaj. Protekcyja szambelana była mu koniecznie potrzebną! A tu masz—trafia na zerwanie stosunków! Oczywiście, trzy tysiące rubli na dyadem dla Molskiej wyrzucił jak w błoto! Nadomiar wszystkiego, ona robi mu jeszcze propozycye! Śmieszna sytuacya! trzeba copędzej się wynosić.

Hilary się żegna; do teatru dziś jedzie, już późno. Naturalnie... myśleć będzie o niej... nie zapomni. Gdzieżby o takim miłem stworzonku zapomnieć kiedy można!

W domu Toła była już ubrana. Światowidzki z zadowoleniem spojrzął na córkę, która dziś dziwnie pięknie wyglądała. Uderzył go atoli niezwykły jej strój. Czy mu się zdaje—ale Toła ma na sobie suknię «empire» z ośtatniego balu kostiumowego!

— Bardzo ładnie wyglądasz, moje dziecko. Tylko... coś mi dziwacznie się ubrałaś... jest ci z tem może to twarzy... Na modach się nie znam, ale wydaje mi się, jakbyś na wieczór kostiumowy szła, a nie do teatru!...

— Być może, papo — odrzekła, śmiejąc się, Tola,—ale ktoby tam na modę uwagę zwracał! Przecież dla miłości mody nie będę się ubierała w to, w czem jest mi nie do twarzy!...

— Rozumiem, ale przyznaj, że będziesz nadto się wyróżniała ekscentrycznym bądź-co-bądź ubiorem!...

— Ej! papo, już ja się lepiej znam na tem!...

Światowidzki nie oponował dłużej. Karetą czekała już, a i tak opóźniła się na uwerturę.

W teatrze dawano po raz pierwszy słynną operę młodego mistrza, który w niespełna kilka miesięcy pozyskał uznanie całej Europy. Światowidzki z córką zjawil się w swojej zwykłej łoży na pierwszym piętrze, jako bywalec teatralny, zwłaszcza na widowiskach, na które przeciętny śmiertelnik nie mógł dostać biletów.

Akt pierwszy był już w całej pełni. Niewierna kochanka, po dość długiej arii, zabierała się do zdradzenia swego lubego i nawiązania scenicznej intrygi. Na widowni panował mrok, scena jaśniała tysiącem świateł.



Gdy po kilku chwilach wzrok pana Hilarego oswoił się z mrokiem widowni i blaskiem sceny, spostrzegł on z jak największym zdziwieniem, że teatr jest prawie pusty.

Z początku oczom swoim nie wierzył. Ależ tak, najwyraźniej! W pierwszym rzędzie, oprócz kilku znajomych krytyków i redaktora Klepalskiego, siedział oficer służbowy i jakiś opasły jegomość... Tak, to ten... ten handlarz biletami, który mu zawsze dostarcza tę samą łożę... W amfiteatrze nikogo, w łożach pustki, nawet galerya nie zajęta i na paradyzie nikogo nie widać.

Tola niemniej była zdziwioną.

— Papo — szepnęła, — coś się chyba stać musiało... przecież niepodobna, aby się wszyscy mieli tak opóźnić...

— Czy ja wiem! Tu chyba niema co robić? Trzeba wyjść z teatru...

— Chwileczkę, chwileczkę tylko! posłuchaj, co za prześliczna muzyka.

Światowidzki nie zwracał uwagi na scenę, ani na melodyjne dźwięki, kręcił się niespokojnie na krześle, podniósł się wreszcie i wyszedł z łoży na dół do bufetu.

— Moje uszanowanie panu prezesowi! — powitał Hilarego subiekt cukierniczy, kłaniając się nisko z poza bufetu. — Koniaczek?

— Tak, proszę, oryginalny! oryginalny!  
Światowidzki wypił koniak, i żując plasterek  
cytryny, zaczął od niechcienia:

— Coś mało osób macie na premierze!

— Ha! Można się było tego spodziewać, pa-  
nie prezesie!

— A to dlaczego? Tak reklamowana opera,  
nowość! Pierwszy występ słynnej Macaroni  
i niezrównanego tenora Calamburo!...

— W istocie, panie prezesie. Spektakl wspa-  
niały, ale to usprawiedliwiony bojkot handlarzy  
biletów... Teatr nie nie traci!

— Nie rozumiem.

— Powtórzyła się na tydzień przed dzisiej-  
szem przedstawieniem zwykła historia: Zaledwie  
kasę zamawiań otwarto, tłum handlarzy biletami  
otoczył ją i w kilka minut okienko zamknię-  
to... z powodu wyprzedania biletów. Oczywiście  
w kilka godzin przekupnie bajeczne ceny usta-  
nowili... Publiczność nasza, poruszona do żywe-  
go tym wyzyskiem, postanowiła uzbroić się  
w cierpliwość i ani jednego biletu od przeku-  
pniów nie wzięła... Handlarze są ukarani i zruj-  
nowani, całe bowiem przedstawienie odbywa się  
na ich rachunek.

— Ależ to niesłychane zsolidaryzowanie  
się!...

— Hm! Panie prezesie, i tego jedynego figla wystarczy, aby raz na zawsze wytepić handel biletami teatralnymi. Tyle było dawniej gadaniny, skarg, a tymczasem proste wniknięcie publiczności w istotę własnego interesu...

— Być może. Jednak na premierach bywała śmietanka, oplacająca się sowicie handlarzom, lecz zawsze premiera...

— Za pozwoleniem pana prezesa, mnie się wydaje, że każda premiera jest o wiele gorszym widowiskiem od następnych przedstawień. Artyści nie są jeszcze «zgrani» należycie, sztuka idzie chropowato...

Hilary głową pokręcił, uregulował należność i skierował się do łóż po córkę. W teatrze dłużej niepodobna siedzieć bez narażenia się na śmieszność.

Przy wejściu do krzeseł spotkał redaktora Klepalskiego.

— Dobry wieczór panu prezesowi!

— Dobry wieczór!

— Prezes do naszego bojkotu nie należy? Ale udał się, udał znakomicie...

— Nic nie wiedziałem... nikt mi nie mówił.

— Bo się to, szanowny prezesie, samo zrobiło. A każdy zastanowiwszy się, powiedział sobie: po co mam się na premierę pchać, kiedy za

parę dni zobaczę to samo i bez specjalnych nadatków!...

— Ale, mój redaktorze! Maleńka prośba. Nie wiem, czy macie wiadomość o syndykacie zbożowym; bądźcie łaskawi zrobić mi wzmiankę o tej na wskrós obywatelskiej instytucji...

— O syndykacie! Prezesie, rzecz niemożliwa. Nie mogę gubić dziennika! Sama nazwa jest niemożliwą, a cóż dopiero cele takiego związku!

— Redaktor wie, że umiem być wdzięcznym! Waszej skrupulatności obecnej nie pojmuję, przecież robiliśmy i inne operacje...

— Proszę mi wybaczyć! Inne czasy! Nie mogę! A propos, odebrałem wiadomość o projektowanych rozgałęzieniach kolei krajowych.. nie mam jednakże potwierdzenia urzędowego...

Hilary zagryzł do krwi wargi.

— O! mniejsza o to! Rzecz się wyjaśni sama. Żegnam.

— Najniższy sługa pana prezesa!

Światowidzki poszedł po córkę i w kilka chwil później lśniąca karetka wiozła ich do domu.

Hilary był zdenerwowany, rozstrojony. Ten Klepalski do reszty go zgnębił. Fatalny dzień jakiś! Od samego rana gniewy, irytacje, przykre niespodzianki, wreszcie materyalne straty!

Wszystko razem wzięte może i niucha tabaki nie warte... a tak go jednak strulo!

W domu czekała Światowidzkiego praca: miał odczytać przepisany przez Łamkowskiego referat i przygotować się do jutrzejszej prelekcji. Nie był w usposobieniu, przejrzał kilka kartek referatu, wreszcie rzucił go niedbale na biurko i zadzwonił na kamerdynera.

— Podasz mi herbatę w sypialni. Panience powiesz, że nie zejdę na kolację.

Jan skłonił się nieśmiało, zalterowany jeszcze ranną awanturą, i wyszedł.

W sypialni pana Hilarego świeciło się do późnej nocy. Prezes wielkimi krokami chodził z rękami w kieszeniach, dymiąc nielitościwie cygarem. Twarz jego blada wyrażała osłupienie, włosy na tyle głowy zjeżyły się, stercząc filuternie ponad łysiną. Po raz dziesiąty z kolei rozpamiętywał wszystkie wypadki dnia, napróżno starając się pogodzić je z własnym wyrobionym przekonaniem. Wreszcie położył się, a gdy w końcu Morfeusz zdołał go utulić w swoich objęciach, cudaczne zmyry i widziadła zakłócały mu sen i wypoczynek.

Nazajutrz Światowidzki wstał wcześniej niż zwykle, ubrał się pośpiesznie i wezwał do siebie Herszkowicza.

— Cóż nowego? — pytał niecierpliwie, jakby chcąc coprędzej zatrzeć nurtujące go wspomnienie dnia wczorajszego.

— Są listy — począł sekretarz.

— A, listy! — powtórzył z ukontentowaniem pan Hilary — w jakiej kwestyi?

— Same wymówienia sum, panie prezesie.

— Wymówienia? — powtórzył Światowidzki, marszcząc brwi — co za powody?

— Rozmaite. Surnicki jakoby przystępuje do kupna majątku, Czarnecki chce wyposażyć dzieci, Wajsowa ma nabyć nieruchomość i t. d. Każdy tłómaczy się bardzo szczegółowo, a wszyscy do jednego zmiierzają celu.

— Ile razem?

— Około dwóch kroć pięćdziesięciu tysięcy.

— A no, niema co. Wyplacić im trzeba natychmiast, gdyż najmniejsza zwłoka mogłaby zaszkodzić. W razie potrzeby podnieś pan odpowiednią sumę z «Kredytu powszechnego.» Cóż więcej?

— Urzędnicy wydziału rachuby kolei krajowych nadesłali protest przeciwko istniejącemu obecnie porządkowi służbowemu, łącznie z ultimatum, żądającym całego szeregu zmian, podwyżek i ulg, przyczem grożą, w razie odmowy, wystąpieniem

ze skargą na zarząd do Ministerium dróg i komunikacji.

— Więc tak? Bezczelni wydrwigrosze! A któż jest głównym agitatorem?

— Nie wiadomo, panie prezesie, należy dopiero sprawdzić.

— Ja z nimi porządek zrobię! Wezwiesz mi pan na dziś jeszcze naczelnika wydziału i wiceprezesa sekcji finansowej.

— Kiedy bo i ci panowie właśnie figurują na proteście.

— Co? więc i ci się ośmielili? Przygotować dla obydwóch dymisyę; nadto sporządzisz mi pan na wieczór listę kandydatów na wszystkie wybitniejsze posady w wydziale rachuby.

— Słucham pana prezesa; a teraz jeszcze telegram z Jedlińska od Fignera. Donosi właśnie, że komisya, wyznaczona do odbioru odnogi Jedlińskiej, robót nie przyjęła, spisała protokół, i pomimo wszelkich usiłowań ze strony Fignera, przesała dokument ten wraz z raportem do władzy.

— Tego jeszcze brakowało, żeby ten osiel Figner takiego piwa nawarzył!

— W istocie, panie prezesie, sprawa to bardzo nieprzyjemna, gdyż nadmiar wszystkiego dzisiejszy ranny numer «Gońca Powszechnego»

podaje już wyczerpujące szczegóły z odbytych oględzin. Niema zatem wątpliwości, że taka wiadomość wpłynie zabójczo na kurs akcyi kolei krajowych.

Światowidzki zęby zaciskał i drżał z gniewu nerwowo. Po chwili milczenia zaczął urywanym głosem:

— Do Jedlińska w tej chwili wysłać którego z inżynierów; niech jedzie Belicki, niech się rozpatrzy. Mógłbym pluć na wszystko, boć przecież nazwisko Fignera osłania antreprzyę, lecz tu chodzi o akcyę! Pan to rozumiesz, przez tego kapeana mogę krocie stracić! Ale żeby też sobie rady z komisją nie dać, prawie nie do uwierzenia! Gdyby się to wydarzyło przynajmniej w innym czasie! Lecz taka awantura w chwili brania na zwyżkę jest chyba rozmyślnie wywołaną.

— Trudno przypuścić, panie prezesie—wtrącił z cicha Herszkowicz,—aby w danym wypadku można Fignera posądzać o złą wolę.

— Posądzać! — wybuchnął prezes. — Ja go wcale nie myślę posądzać!.. lajdak jest, galgan, brudny chałaciarz i na tem koniec. Zatelegrafuj pan natychmiast, niech przyśle wyjaśnienia. Akcyi krajowych dzisiaj na giełdzie wcale pan nie pokazuj. Co do wymówień, to prawdopodo-



bnie sam do «Kredytu Powszechnego» wstąpię; a teraz proszę mi zawołać Majnera.

Herszkowicz wyszedł, a w kilka sekund później do gabinetu Hilarego pukał zlekka mały człowieczek, znany w całym biurze ze swego nieokreślonego rodzaju zajęcia, jakie pełnił u prezesa, i z niezmiernie dużej na obszar głowy.

— Słuchaj-no, Majner—zaczął Światowidzki—czy ty znasz Błażejewicza, tego dawniejszego kancelistę w zarządzie Towarzystwa eksploatacyi lasów?

Majner skrzywił się, błysnął przebiegle małymi oczkami i kiwnął twierdząco głową.

— Otóż, jeżeli go znasz, tem lepiej; ale czy jesteś z nim w dobrych stosunkach?

— O, jaśnie panie prezesie—zaskrzeczał przeźrażliwym dyszkantem Majner.—Pan Witold Błażejewicz to jest mój najlepszy przyjaciel... my się tak kochamy, jak dwie dziury w moście!

— To bardzo dobrze. Wiesz o tem zapewne, że został wczoraj wydalony ze służby?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? Jak jaśnie pan prezes powie słówko, to zaraz na drugim końcu świata slychać.

— Otóż Błażejewicz został wydalony za pogróżki, jakich się względem mnie dopuścił. A ponieważ jest to dlań kara za mała, trzeba go

zmiażdżyć zupełnie; dowiesz się zatem dokładnie o jego stosunkach rodzinnych, rodzinnych i ze wszystkich stron będziesz go atakował. Muszą go spotykać niepowodzenia za niepowodzeniami. Trzeba go tak zgnębić, do ziemi przytłoczyć, żeby już więcej głowy podnieść się nie ważył. Co będzie kosztowało, to mniejsza. Więc wiesz, o co chodzi?

— Ojej, jasnie panie prezesie! Już ja mu dogodzę! przecież to jest mój najlepszy przyjaciel.

I Majner zaśmiał się tak serdecznie, że aż Swiatowidzkiemu zimno się zrobiło.

— Będziesz mi co parę dni zdawał relację — zakończył Hilary, dając znak Majnerowi do odejścia.

Prezes spojrział na zegarek; pozostawało jeszcze pół godziny czasu do pogrzebu Kaltowej, więc usiadł i przeglądał niedbale dzienniki.

Rzecz niesłychana! On, który codzień jedno i też same gazety przeglądał, nie mógł ich poznać. «Plotka» skurczyła się w dziale wiadomości bieżących niepomrotnie, ani jednego skandaliku, ani jednego opisu tualety pań: Y., X. lub Z. — natomiast kilka zagadnień społecznych, kilka studyów ekonomicznych, a w odezwie od redakcyi prośba do czytelników, żeby zechcieli wybaczyć, ale redakcyja «Plotki» z uwagi na

krańcową głupotę rozpoczętego romansu «Straszne tajemnice ponurego domu,» przerywa dalszy druk tej bajdy!!...

«Goniec wszechwiedzący» przegląd polityczny streścił w ośmiu wierszach, a zamiast zwykłych sprawozdań o awanturach parlamentarnych podał cały szereg wyczerpujących korespondencji z kraju. «Wiadomości społeczne» przestały się zajmować kwestyami akademickimi, a w «Echo» nie wpleciono ani jednej, najniewinniejszej reklamki. Nadto we wszystkich dziennikach zabrakło nagle własnych telegramów i wielkich rubryk teatralnych. Ogłoszenia się równoważyły tak pod względem obszaru jak i treści, a nekrologia do zupełnego równouprawnienia doszła. Rzecz śmieszna: nekrolog o śmierci baronowej Kalt nie był ani większy, ani grubszymi liniami zakreślony, niż nekrologi jakiegos szewca lub kupca! Co zaś najbardziej zadziwiał, to to, że pomimo zbliżającego się Nowego Roku, żadne z pism nie zapowiadało ani nowych dodatków, ani premiów. Przeciwnie, jedno o drugim wspominało bez zółci, bez zaścił!...

Pan Hilary, robiąc swoje uwagi i spostrzeżenia nad reformą dzienników, natrafił na artykuł wstępny «Posła» pod tytułem: «Przełom po-

wszechny.» Autor wspomnianego artykułu w barwach nader jaskrawych uprzytomniał czytelnikom chwilę przedkometowe i czasy, gdy głupota nurtowała miliony ludzi. A przeciwstawiając chwilę obecną, rozwoził się nad możliwym przewrotem ekonomiczno-społecznym, jaki nastąpić musi bez wątpienia, i przytaczał dziesiątki całe środków i półśrodków dla zużytkowania sił, pozbawionych zajęcia wraz z zanikiem głupoty.

Światowidzki zamyślił się, czy ten zanik nagły głupoty mógł w samej rzeczy tak gwałtowny wywołać przewrót? Czy wogóle możliwą była tak nagle zmiana w ustroju mózgowym? Jeżeli zaś tak było, to czego się tu obawiać... że przybyło rozumnych!

I ruszał ramionami pan prezes, nie pojmując intencji artykułu.

Dziennikarskie wypracowanie, garść frazesów, rzuconych na wiatr, i koniec na tem.

Czas na pogrzeb. Światowidzki ubrał się pośpiesznie i pojechał.

Przed kościołem katedralnym nic jeszcze nie zapowiadało pogrzebu baronowej Kalt. Stał wprawdzie na uboczu karawan parokkonny, skromny, przybyły po jakiegoś niezamożnego widocznie nieboszczyka, były nawet i trzy karety, ale

d. c. 224805

z towarzystwa, a nawet i z ludu, żywej duszy nie było widać. Hilary był niezadowolonym, że tak się pośpieszył, ale ponieważ był już na miejscu, więc wysiadł z powozu i postanowił czekać w kościele.

W katedrze osób było mało, ledwie garstka zebrała się dokoła stojącego na środku katafaluku. W kilka chwil po odprawieniu stosownych modłów przez kapłana, trumnę zdjęto i, poprzedzaną przez krucyfery i księdza, wyniesiono.

Hilary przyglądał się obojętnie trumnicy zabranym, ale gdy nieliczny poczet mijał go, zauważył wielką siwą czuprynę starego barona Kalta i wyglądające z poza welonów blade twarzyczki młodych baronówien... Światowidzki oniemiał! Miałżeby to być pogrzeb baronowej!? Gdzież kwiaty, śpiewy, muzyka?! A wieńce? Nawet i wieńców niema! Prawda, jest jeden! Z napisem: «Hilary Światowidzki z córką...»

Wtem tracił ktoś pana Hilarego. Obejrzał się.

— A!... radca Bajdurkiewicz!!

— Jak się masz, prezesie! co tu pana sprowadziło?!

— Przecież pogrzeb... baronowej! — odparł niechętnie Światowidzki, znajdując w pytaniu radcy aluzję do swojego wyznania.

— Aa! Tak! Ja bo... wypadkowo, miałem interes w parafii o metrykę syna...

— Wie radca — rozpoczął z cicha Hilary, wskazując na szczupły orszak żałobny, ustawiający się zwolna poza parokonnym karawanem, — mogli byli nieboszczce porządniejszy pogrzeb wyprawić!...

— Ee! Proszę pana. A cóż temu pogrzebowi brakuje? Krzyż jest, modlitwa jest, trumna, grób... Ot, byle w sercach pamięć o niej pozostała!...

— Być może! W każdym razie orszak nie bardzo liczny...

— Co tam orszak! Są blizcy, więc i dosyć. Obey nie przyszli, bo należało uszanować cudzą boleść... Nie mogą płakać, jako obey, więc po cóż będą rodzinie w oczy zaglądać!... Chciałbyś pan widzieć setki gapiów, robiących sobie z cudzej boleści widowisko!?...

— Ma radca słuszość; chociaż w naszych stosunkach jest to niebywała rozważa, czy zastanowienie!... Ale, przyznam się radcy, że gdy patrzę na trumnę i prócz jedyne go wieńca mojego nie dostrzegam ani kwiatka...

— Phi! Nie wiedziałem, żeś prezes taki poeta! Na cóż wieńce? Kaltowa była dobrą, zaną osobą, lecz i na tem koniec. Gdzież tytuł

do uwieńczenia! Trzeba zachować miarę! Co-  
byśmy robili w takim razie dla ludzi zasługi,  
dla ludzi, którzy całe życie swoje poświęcili dla  
dobra społeczeństwa? Prezes pójdzie za po-  
grzebem?!

— Nie. Ja za interesami... mam w Kredy-  
cie kilka ważnych spraw do załatwienia!...

— Znakomicie się składa, bo i ja muszę być  
na sesji zarządu.

— Na sesji zarządu? — powtórzył Hilary.  
nie mogąc pohamować zdziwienia.

— A no... ma prezes wielką rację dziwić  
się, lecz postanowiłem sobie zająć się gorliwiej  
przyjętymi dobrowolnie obowiązkami...

— Taak! Więc... mam powóz... mogę radę..

— Nie, nie! Dziękuję! Wolę piechotą przejść  
się.

— W takim razie pozwoli radca, że mu bę-  
dę towarzyszył.

— Z miłą chęcią!

Hilary kazał stangretowi jechać do «Kredy-  
tu,» a sam szedł obok radcy, starając się zasto-  
sować do jego drobnych kroków. Przez chwile  
szli w milczeniu, wreszcie Światowidzki zaga-  
dnął:

— Czy pan słyszał, że Liński chce się usu-  
nąć z prezesostwa w Towarzystwie Ziemiańskim?

— Jeszcze o tem nie wiem, ale będzie to bardzo na miejscu!...

— Jakto!?!— zaprotestował prezes, perorując z przesadzoną grozą. — On! powaga i filar ziemianstwa, uważany za wyrocznie!... Przecież nie ma sobie równego!! Któż chwyci ster tyłu instytucyi? któż nada kierunek ideałom rodowo-szlacheckim? Gdzież się znajdzie drugi taki luminarz!?

Bajdurkiewicz uśmiechnął się nieznacznie, chrząknął i zaczął swym cichym, niepewnym głosem:

— Moj prezesie! Wy, wielcy finansiści, lubicie mówić tak, jak wam z tem wygodniej; lecz ja będę szczerym i przedewszystkiem muszę panu powiedzieć, że sam nie wierzysz w to, co mówisz!...

— Ależ, radco!!—zaoponował Hilary tonem urażonym.

— Pozwól mi skończyć. Powtórzę panu własne jego myśli. Liński! Liński pochodzi z rodziny arystokratycznej, bogatemu ożenkowi zawdzięcza dosyć znaczną fortunę... i kropka. Ma charakter spokojny, równy, umysł trzeźwy, choć bardzo przeciętny, i jest porządnym człowiekiem. To znaczy, że w ciągu swego życia nie



popelnil szalbierstwa, nie splamił swego nazwiska, był dobrym ojcem i mężem; krócej mówiąc: jest człowiekiem, zepsute społeczeństwo atoli uważa za konieczne dodawać przydomek: «porządny.» Mniejsza o to! Rzecz gorsza, iż Liński, wobec lekkomyślności arystokracji, a może jej większej szczerości, umiał być zimnym i obojętnym. Nie narażał się nikomu i być w zgodzie ze wszystkimi, było jego zasadą i samolubną polityką. Tyle o Lińskim. Przejdźmy do warunków społecznej natury. Ta lub owa instytucja, stowarzyszenie, grono finansistów potrzebowało firmy nazwiska czy szyldu, któryby dużo niby mówił, w nie się nie wtrącał i, co do sympatyj, posiadał obojętność tłumu. Otóż taki materiał był w Lińskim. Jego nazwisko nic zgola nie zapowiadało, bo aczkolwiek był arystokratą, jednak z demokracją i plutokracją stosunki podtrzymywał; chociaż przewodniczył konserwatywnowi, lecz zarówno z każdym innym prądem chciał być w zgodzie. I... wyrósł na wielkość, powagę! Kilkanaście różnych godności przyjął i, prócz nazwiska, nic swego nie przeprowadził, nie stworzył. Był tylko wykonawcą silniejszej partji i... potulną maszynką w rękach choćby takich, jak pańskie... panie prezesie!...

Światowidzki zaciął usta i spoglądał niepewnym wzrokiem na Bajdurkiewicza, w końcu zdobył się na odpowiedź:

— Nie pojmuję, jakim sposobem podobny sąd mógł wydać ziemianin! A przytem, zgadzając się, z wieloma zastrzeżeniami, ze zdaniem rady, muszę oświadczyć się przeciwko mniemaniu, aby ustąpienie Lińskiego nie było wielką i niepowetowaną stratą!...

— Chyba wygraną, zyskiem! Przyznaj, prezecie — gorączkował się Bajdurkiewicz, — gdzie znajdziesz ślady działalności Lińskiego? Czy, wysunięty na przód, nie był zawsze automatem, powtarzającym bezmyślnie ukute naprzód wyrazy? Czy wniknął w interesa powierzonych mu instytucyi i nie osłaniał swoim nazwiskiem cudzych sztuczek? Ludzie, owczym pędem powodowani, powtarzali bezmyślnie: tam musi być wszystko dobrze, bo «on tam jest,» a «on» jest człowiekiem porządnym! Bierz licho taką «porządność!» Na przykład, historia choćby ze schroniskiem w Głuszy i zapisem hrabiego Żytnickiego!! Nadużycia! Zgorszenie! A pocziwa opinia drzemala sobie, pocieszając się «porządnością» prezesa!...

— Radea się przejmuje... nie było tak źle z tym zapisem!

— Nie było źle! — przedrzeźniał radca. — Wątpię, czyby pan prezes takiego administratora, jakim był Palecki, chciał trzymać! Cha! Cha!

— Stare dzieje. Sprawa przebrzmiała!

— Za pozwoleniem. Kto był przyczyną deficytu? Palecki? Nie! Zarząd, który zezwolił na nadużycia. Kto tu powinien być odpowiedzialnym? Oczywiście tylko zarząd! Dlaczego więc Liński, pozujący na dobroczyńcę, nie chce wrócić strat, z winy jego niedozoru wynikłych?!...

Bajdurkiewicz umilkł, na rogu ulicy zarysowały się wielkie, okratowane okna «Kredytu Powszechnego.»

Gdy w kilka chwil później Hilary z radcą znaleźli się w dużej sali sesyjnej na pierwszym piętrze, ku wielkiemu zdumieniu zastali zgromadzoną w komplecie całą radę zarządzającą. Powitano ich skwapliwie i bez mitręgi przystąpiono w dalszym ciągu do nader ożywionej dyskusji.

Kwestya toczyła się o ultimatum, nadesłanem przez członków komisji rewizyjnej; panowie ci w obszernym referacie streszczali ważność powierzonego im zadania i żądali, aby im przyznane zostało takie wynagrodzenie, któreby umożliwiałoby zaprowadzenie stałej kontroli nad czyn-

nościami banku. Zdania członków zarządu były podzielone.

Dyrektor Krejke jak najusilniej zaprzeczał racjonalności ultimatum. Komisya rewizyjna ma, według jego przekonania, sprawdzić zgodność przedstawionego sobie, po ukończeniu roku, bilansu — i na tem koniec. Papenkleiner popierał silnie Krejkego, Bernard Feier i Meinersohn oświadczyli się za Papenkleinerem. Przyszła kolej na Światowidzkiego.

Hilary wieleby dał za to, gdyby mógł Papenkleinerowi szyki popsuć, lecz rozważa wzięła górę. Wystąpienie komisji rewizyjnej było dlań czemś wielce niepożądanem. Wszak on w «Kredycie» był panem! Dyrektor był mu oddanym i posłusznym. On rozumiał, że dawniejszy jego protektor, Wartemberg, nie interesował się ani finansami, ani nim samym, i że rządzi tylko Światowidzki!

W każdym razie taki kontroler na karku, jak komisya, choć i najbardziej ograniczony, byłby zawadą — i albo trzeba by go było pilnować albo z nim się dzielić.

Hilary, po namyśle, uznał słuszność wywodów Papenkleinera, nadmieniając, iż wystąpienie komisji rewizyjnej zakrawa na wtrącanie się do biegu interesów banku, co należy do człon-

ków rady, jako do mężów zaufania! Komisya powinna sprawdzić sprawozdanie, dbać o prawidłowość rachunkowości, wreszcie skontrolować aktywa i passywa, lecz nie mieszać się do kwestyi bieżących.

Kiedy Światowidzki skończył, prowadzący protokół Krejke zwrócił się z ukłonem do pozostałych członków zarządu. A czynił to dla przyzwoitości, przez grzeczność towarzyską, nigdy bowiem pozostali członkowie nie brali udziału w dyspacie.

— Pan radca Liwiński? — pytał słodziutkim głosem dyrektor banku, ciesząc się w duchu, że komisya otrzyma skuteczną odprawę.

— Ja — począł zapytany — w zupełności...

Krejke, nie czekając końca, notował w protokóle.

— ...Jestem przeciwnego zdania!

Krejke drgnął, Papekleiner poprawił okulary, a Światowidzki uśmiechnął się ironicznie.

— Komisya rewizyjna — kończył Liwiński — jest organem kontrolującym i, jako taki, ma w zupełności prawo wnikania we wszelkie sprawy, dotyczące instytucyi.

Liwiński usiadł, Krejke zwrócił się do księcia Rowieckiego. Książę miał zwyczaj mrużenia zlekka oczu i kiwania apatycznie głową,

Nigdy nie zwracał uwagi na obrady, w chwilach najzaciętszych sporów sesyjnych wzrok jego po suficie błdził, a ręka machinalnie wyciągała i tak już sumiaste wąsy. W danej chwili jednakże zwrócił swój kark bawoli w stronę Papenkleinera i rzekł swym tubalnym głosem:

— Na rachunkach się nie znam, lecz zdaje mi się, iż we dwie godziny najgenialniejsza komisya rewizyjna nic sprawdzić nie może! A przecież dotąd w dwie godziny nasza komisya kończyła sprawozdanie! Ja tam — dodał dobrodusznie książe — w ciągu tego czasu nawetbym dodawania w sprawozdaniu nie sprawdził.

Zanim zebrani zdolali ochłonąć po niespodziewanem wystąpieniu Rowieckiego, zabrał głos Bajdurkiewicz:

— Słusznie zauważył pan Światowidzki, że jesteśmy mężami zaufania! Działamy w dobrej wierze i dla dobra instytucyi. Dlaczego więc jesteście niechętni kontroli? dlaczego mamy unikać jawności?!... Przeciwnie, powinniśmy sobie uważać za obowiązek nie tylko członków komisyi informować o wszystkim, ale nawet i akcyonaryuszów, gdyby który z nich sobie życzył.

Wiślański i hr. Józef Liński, brat Zygmunta, poparli Bajdurkiewicza. W lonie zarządu nie-

spodzianie powstało rozdwojenie. Równa liczba głosów była za komisją i przeciw. Rozstrzygnąć miał prezes, baron Wartemberg.

Przed decydującem zdaniem prezesa «Kredytu Powszechnego,» Papenkleiner i Światowidzki wystąpili ponownie z obroną swoich zdań:

— Bank ma swoje tajemnice, prowadzi operacje, ujawnienie których w interesie akcyonaryuszów miejsca mieć nie może! Komisja jest kwestyą formalności, boć pierwszą kontrolę stanowią właśnie mandataryusze!

Po przemówieniach Hilarego i Papenkleinera, wszyscy zwrócili swe oczy na zamyśloną twarz Wartemberga.

Prezes Kredytu długo kazał czekać na swoją odpowiedź, wreszcie, bawiąc się niedbale ołówkiem, zaczął nieśmiałym głosem:

— Panowie! Ze słów panów Światowidzkiego i Papenkleinera możnaby wnioskować, że bank prowadzi operacje giełdowe, że gra... co byłoby bardzo niepożądanem! Członkowie komisji za swoją pracę są bardzo źle wynagradzani... a obowiązków ich za formalność nie uważam. Proponuję więc... przychylić się do żądania, a nadto z naszych ogromnych pensyi wyznaczyć fundusz, mogący w części wynagrodzić

stratę czasu, jaki komisya ma zamiar poświęcić bankowi.

Dyrektor zzieleniał, reszta członków opozycji objawiła pomieszanie. Wszechwładni panowie Kredytu znaleźli się wobec nieznaney im zapory.

Papenkleiner wstał od stołu i pociągnął za sobą Światowidzkiego we framugę wielkiego okna.

— Patrz pan! Co oni wyrabiają! Oni potrzebują się w nasze interesa wtrącać... nawet ten Rowiecki, mój strohman!... Ja... nawet muszę słuchać dziś swego człowieka! Co!?!...

Hilary, pomimo żywionej niechęci do Papenkleinera, przyznał mu racye.

— Trzeba rozpedzić ich!! Bo jak im przyjdzie ochota dalej brózdzić! Ale... taki Wartemberg... nie spodziewałem się!

— Ojoj! Wartemberg! Panu się zdaje, że to nasz! He! he! On już jest cały szlacheć i oby-watel.

— Panie Hilary—zaczął niepewnym głosem Papenkleiner, ciągnąc go za guzik tużurka,—ja wiem, pan miałeś do mnie coś... lecz teraz, jeżeli my się za ręce nie weźmiemy... to oni do góry nogami wszystko przewrócą!...



— No, no! — kiwał głową Światowidzki, rad w duchu z pojednawczego kroku Papenkleinera — przesada! Gdzie tym niedołączom myśleć o walce z nami!... Dobrze raz, mogli się nam oprzeć, bo zastali nas nieprzygotowanymi. Niech tylko przyjdzie ogólne zebranie... wyprawi się ich razem z komisją!...

W sali rozległ się głos dzwonka; prezydujący wzywał do rozpatrzenia wniosku, postawionego przez... samego siebie. Chodziło o podwyższenie pensji urzędnikom.

Krejke uznał wniosek za przedwczesny, z uwagi, iż podobne uchwały mają miejsce tylko przed ogólnym zebraniem i po zamknięciu ksiąg za rok sprawozdawczy.

Liwiński zauważył, że ogólne zebranie można zwołać w każdym czasie.

Dyrektor przekonać się nie dał i w nader energicznej przemowie wykazywał małoważność kwestyi dla zwoływania aż zebrania ogólnego.

Wartemberg zmarszczył brwi, i mierząc wzrokiem swego wychowanka, odpowiedział zimno:

— Panie Krejke! Pan najmniej z nas wszystkich możesz w tej kwestyi głos zabierać! Masz pan czterdzieści tysięcy dochodu; około stu pięćdziesięciu zarabiasz na grze giełdowej, więc nie

jesteś w stanie pamiętać o setkach ludzi źle przez bank uposażonych!..

Cisza zaległa salę sesyjną. Hilary spojrział na Papenkleinera, Papenkleiner na Bernarda Feiera i na Meinersohna, a Meinersohn na Neo... W parę minut posiedzenie zostało przerwane dla braku ustawy przepisanej kompletu członków rady...

Światowidzki wyszedł z Papenkleinerem; obadwaj byli poruszeni.

— Wiesz pan, panie Eugeniuszu, ja się więcej na sesyi nie pokazuję. Trzeba się porozumieć, zobowiązać Feiera, Neo i Meinersohna, a Krejke... niech zachoruje.

— Zgoda! — wykrzyknął Papenkleiner — tylko w ten sposób możemy ład zaprowadzić! Ale, powiedz pan, myśmy ich wybrali, myśmy popierali, biorą takie ładne pensye i co sobie oni myślą!? My będziemy dla nich pracować?...

Światowidzkiemu przyszła myśl, żeby do syndykatu wciągnąć Papenkleinera, więc zwierzył mu się ze swoich planów.

Pan Eugeniusz świdrującymi oczkami błyskał i wydał swe obwisłe wargi.

— Panie Hilary, pan się mylisz—perswadował Papenkleiner. — Syndykat? Niech tylko poczują tę nazwę, wszystko klapnie! Pan wiesz!?

Żebyś pan założył syndykat, coby darmo ananasy ludziom rozdawał, jeszczeby była plajta od takiej nazwy!... Chciałbym, bardzobym chciał... ale to jest szybka z pieca!... To jest taka ładna gwiazda, ją można zaraz mieć, tylko za daleko usiadła!... Jabyłm pragnął poprzeć, bo któż nas będzie popierał? Niech się oni tak wszędzie rozpanoszą, to my się dobrze musimy za poly trzymać, żeby nas nie zjedli!... Układałeś pan memoryał w obronie naszej rady, ja podpisu nie żalowałem! Ale syndykat... na nic!

Światowidzki skierował rozmowę na inny przedmiot.

— Co słyhać z cukrem?

— Tfy!—splunął Papenkleiner — już mnie mdli! Robi się z tego wcale nie słodki interes!

— Akeye spadły?

— One już całkiem leżą! Pan wiesz, teraz jest odstawa buraków, plantatorzy zrobili sobie strejki! Ja się nawet dziwuję, że za taki strejk ich do kozy nie wezmą! Oni przysłali do głównej administracyi oświadczenie, że jeżeli dobrowolnie nie podwyższymy ceny buraków o dwadzieścia pięć kopiejek na korcu, zaprzestają dalszej plantacyi!! Czyś pan słyzył, żeby oni mieli prawo zaprzestać plantacyi buraków!?! Co lepsze! Moi plantatorzy pobrali naprzód zaliczki

na parę lat!! I piszą, że pieniądze zwróca!! Co mi przyjdzie z tych pieniędzy?!...

Hilary słuchał z przerażeniem wynurzeń Papenkleinera. Przecież i Światowidzki miał własną cukrownię. Tegoby jeszcze brakowało!!...

— Więc co pan myślisz przedsięwziąć?

— Przedsięwziąć? Bo ja wiem! Mam zapasy, można je, dla braku cukru, po bardzo wysokiej cenie sprzedać. Lecz co będzie dalej? Fabryki staną, akcje spadną! Oh! trzeba zapłacić, trzeba dać, i koniec!

— Przyznam się otwarcie, panie Eugeniuszu, że spodziewałem się czegoś dowcipniejszego. Jaktó! pan, specjalista, król cukrowy, nie możesz sobie poradzić!

— Ładne królestwo! — zawołał placzliwym głosem Papenkleiner — pan sobie żartujesz! Ja jestem dzisiaj niewolnik. Od tego cukru mnie już gorzko!!...

— Czy Figelberg i Szwarewand siedzą także w cukrze?—spytał poufnie Hilary.

— Gdzie ich niema! Wszędzie ich pełno. Mnie się tylko zdaje, że oni w tym roku porzucają swoją filantropię. Pan wiesz, ładna historia była wczoraj na giełdzie!! Chciałbym zarobić te pieniądze dzisiaj, ile Figelberg i Szwarewand wczoraj stracili. Ja już sam nie wiem, ani co

trzymać, ani gdzie kapitały lokować. Takie niespodzianki!

Na rogu placu przystanęli i zaczęli się żegnać. Tuż przed nimi zjawił się chłopiec z paczką kuryerów. — «Ważne wiadomości! Kometa! Zginęła głupota!» — wykrzykiwał. Pan Hilary mimowoli drgnął, a Papenkleiner rzucił:

— Panie Hilary! Z nami zgoda! Jestem zawsze do pańskich usług! Przecież my we dwóch możemy jeszcze parę dobrych interesów zrobić. Niech mnie pan kiedy odwiedzi!...

— Z całą przyjemnością! A proszę nie zapominać o mnie!

Rozmowa z Papenkleinerem wywarła na Hilarym silne wrażenie. Niecierpiał tego «królika» cukrowego, nieumiejącego politykować... z opinią, lecz cenił w nim niepospolite zdolności bankierskie, spryt i przebiegłość.

Papenkleiner był nosobieniem przewrotności i machiawelstwa, obok arogancyi żydowskiej i dorobkiewiczowskiej pychy. Właściwie Światowidzki siebie również za żyda uważał i całą siłą swego charakteru i skrytej tendencji ciążył ku żydowstwu. Atoli on robił wszystko sprytnie. Semici widzieli w nim gorliwego stronnika, pobratymca — chrześcijanie zaś musieć uznawać za chrześcijanina. Przytem Świato-

widzki chronił się przed śmiesznością, szanował się, i tam, gdzie Papenkleinerowi otwierał drzwi bezwstyd i bezczelność, on wchodził z głową podniesioną, nie zdradziwszy się nigdy. Ileż starań i zabiegów zużył na dobranie właściwych kluczy!... Dzisiaj ten znieawidzony Papenkleiner wyciągnął pierwszy doń rękę, szukając widocznie punktu oparcia, podpory... Wstyd wyznać, ale Światowidzki przyjął sojusz skwapliwie, bo dokoła siebie spostrzegł jakąś niezrozumiałą reakcję, jakiś początek przewrotu. Jeżeli nawet taki syndykat, owoc całorocznej pracy i zabiegów, pomysł idealnie skombinowany, interes pewny... podlegał ogólnej krytyce... to chyba już świat się kończy!

Przecież potrzeba było Hilaremu tylko ostatniego strzału, a nowy świetny «geszeft» stanąłby od razu na nogi. Tymczasem zabrakło prochu... Papenkleiner, którego dawniej nie miał zamiaru zapraszać do uczty, ramionami wzrusza, nie chce słyszeć o syndykacie; nawet byle ciura dziennikarski wręcz się śmieje!... Oni bali się czegoś, w syndykacie widzieli wprost niebezpieczeństwo! Zabawna historia! I... i... ten Liński zawiódł!..

Światowidzki zmierzał z wolna ku domowi — poważny, zamyślony. W głowie swej widział je-

den wielki chaos. Logika faktów niweczyła logikę kombinacji i rozumowań. Dotąd Hilary był w stanie wszystko wyrachować, przewidzieć, ludzie byli dlań zaledwie biernymi pionkami, a życie—dobrze mu znaną szachownicą wypadków, umiejętnie przez niego opanowana!

Któż gruntowniej poznał i zbadał usposobienie, charakter, przesady, pragnienia i ideały otaczającego społeczeństwa? On, potęga złota, był wszak mistrzem w grze na ludzkich namiętnościach, słabostkach i upodobaniach. Cel miał wytknięty z drobiazgową starannością, zimna krew dawała mu stanowczą przewagę, nieliczenie się ze środkami wiodło go do zwycięstwa.

Naraz od dnia wczorajszego szereg nieprzewidzianych wydarzeń zdumiewa go i wyprowadza z równowagi. Krach wagonowy, heca z krajowemi, upadek syndykatu! Skąd? Dlaczego? To znów jakaś giełda zbożowa, o czem nie wie, łączenie się ziemiaństwa... nieznane mu poglądy... dziwaczne zachowanie się bodaj... tych synekurzystów na dzisiejszej sesyi?!...

Jakto?! Czyżby w tem społeczeństwie, trawionem bezrządem, brakiem spójni, wyzyskiwaniem i ssaniem przez lat tyle przez lud izraelski, wyradzała się samoobrona? Miałaby na

tem wyjałowionem walkami partyjnemi polu zakwitnąć solidarność?...

I to wówczas, gdy on, bankier, trzymający nici życia ekonomicznego w ręku, tego nie chce, gdy to nie leży w jego interesie!?... Nie do uwierzenia! Przecież Światowidzki był głową domu bankowego «H. G. Światowidzki!» Dziesiątki tysięcy głów schylało przed nim czoła, bo on był panem głównej osi ludzkich starań i zabiegów—złota! Znał nieuchwytnie mgły polityki państwowej, docierał istoty kwestyi gabinetowych. Zdanie jego było szanowaniem, rozważaniem,—bo gdy Światowidzki mówił, mówiły i jego miliony... A dziś!...

Wtem wzrok Światowidzkiego spoczął na wielkim białym afiszu, nalepionym na słupie ogłoszeniowym. «Z powodu zaginięcia głupoty» — wołały fantastyczne, czerwone litery afisza— «loterya krajowa zostaje skasowaną!»

— Coś jednak z tą głupotą jest—mruknął Hilary.—Trzeba będzie sprawę gruntownie zbadać, bo zaczyna doprawdy budzić jakoweś prądy, czy kierunki!

Światowidzki, wobec nawału zajęć, zapewne nie tak prędko zabralby się do rozważania rozgłaszanych przez dzienniki wieści o przewrocie umysłowym, gdyby nie list, który



mu doreczył lokaj w chwili, kiedy po obiedzie zabrał się do przejrzania opracowanego przez Lamkowskiego odczytu.

List pochodził od sekretarza sekcji prelekcyjnej. Sekretarz w nader uprzejmych wyrazach donosił mu, że odczyt musi uleść bezterminowej zwłoce, ze względu na kasę, która nie tylko że nie sprzedała od dwóch dni ani jednego biletu, ale nadto otrzymała do zwrotu niemal wszystkie bilety sprzedane poprzednio. Ten niezwykły objaw sekretarz przypisywał bez ogródek zanikowi głupoty...

Hilary, po przeczytaniu listu, osłupiał. Odczyt, zapowiadany od dwóch miesięcy, reklamowany, mający nieodwołalnie postawić go na czele ekonomistów międzynarodowych, upadł... dla braku słuchaczy! Jeszcze tydzień temu wszystkie niemal gazety rozsiewały dytyramby pochwalne na cześć... przyszłego odczytu i... oto teraz taki nędzny sekretarz... poważa się... niechęć ogólną przypisywać zanikowi głupoty! Jeszcze jeden zawód i w dodatku publiczne upokorzenie! Grunt coraz bardziej zdawał się usuwać pod nogami Hilarego. Tyle lat wyrafinowanej sztuki, pracy i wydatków idzie na marne! Bo wszak nie mógł wątpić, że wieść o odczycie bez słuchaczy obiegnie całe miasto i okryje go

śmiesznością. Tej zaś bał się najwięcej. Śmieszność jest w stanie w oka mgnieniu zadać śmiertelny cios każdej uznanej sławie, wielkości, potędze.

Światowidzki postanowił działać, działać natychmiast. Wydał rozporządzenie, aby zawiadomiono sekcję odczytową, że dla niedyspozycji zdrowia prelekcyę swoją odwołuje... nadto polecił bezzwłocznie porozysłać i porozlepiać na rogach ulic odpowiednie ogłoszenia. Sam zaś, po chwilowym namyśle, pojechał do Figelberga.

Figelberg był niejako czwartą siłą finansową. Po Światowidzkim, Wartembergu i Papenkleinerze szedł Figelberg, a za nim dopiero Meinersohny, Rothstandy, Bergtochtery, Blumenfeldy i cała plejada finansistów. Figelberg był nadto bardzo popularnym. Ze względu zaś na znaczne ofiary, składane na rzecz filantropii, uchodził za dobroczyńcę i działacza.

Kiedy Figelbergowi zameldowano przybycie Światowidzkiego, ten nie posiadał się z ukontentowania. Figelberg właśnie wybierał się do Hilarego, bo i on rozumiał potrzebę zbliżenia się i rozszerzenia w nieznanych sytuacjach.

Przywitanie finansistów było nad wyraz serdeczne. Obadwaj wypowiedzieli sobie wzajemnie niezliczoną ilość grzeczności i komplementów,

a każdy z nich coprędzej chciał przystąpić do palących kwestyi.

Światowidzki pierwszy skierował rozmowę na odpowiednie tory:

— Panie Stanisławie! Co pan sądzisz o wagonach?

— O wagonach! — powtórzył drżącym głosem Figelberg, gładząc swe rude faworyty. — Nic! Zupełnie! Straciłem, otwarcie panu mówię... dużo... I sam nie wiem, dlaczego! Grę śrubowaliśmy na giełdzie od trzech lat... naraz zabrakło graczy... Nikt nie chciał słuchać o wyższości... nie było amatorów nawet na połowę wartości...

— Wiem, wiem! Poczulem i ja wagony!

— Za pozwoleniem, panie Hilary — przerwał Figelberg, — a krajowe koleje?...

Światowidzki się skrzywił.

— Nic nie wiem. Słowo daję. Słyszałeś pan zapewne o awanturze z przyjęciem robót?... Głupia historia! Ale to przejdzie, przejść musi. Chociaż, słowo daję, nie mogę sobie zdać sprawy z usposobienia giełdy!!

— Bo tam wcale usposobienia niema! — wykrzyknął porywczo Figelberg.

— Dziwny objaw! wszak o przewrotach ekonomicznych nie słyhać, traktaty handlowe

trwają nienaruszenie, a horyzont polityczny jest niezwykle pogodny...

Po chwilowem milczeniu, Hilary zaczął powoli, bawiąc się od niechcienia łańcuszkiem od zegarka:

— Panie Stanisławie... sędzę, że nasz własny interes nakazuje pewną między nami... otwartość...

— Ależ, szanowny prezesie — rozgorączkował się Figelberg, — przysięgam, o to mi tylko idzie! Bo... coś się źle dzieć poczyna... bardzo źle! Propozycyę... przyjmuję z radością, powiem więcej, o niej właśnie myślałem. W pewnych wypadkach tylko łączenie się może ratować sytuacyę...

— Więc...

— Pozwoli pan, że przejdziemy do gabinetu.

Figelberg z sali przeprowadził Hilarego do swej pracowni. Tu dźwięk rozmowy guszyły skórą obite ściany, ciężkie na drzwiach portyery i puszyste dywany.

— Teraz możemy mówić spokojnie — mówił bankier, zapraszając Światowidzkiego do zajęcia miejsca w jednym z wielkich tureckich foteli, — nikt nam nie przeszkodzi, wydałem polecenie służbie...

— A zatem... bądźmy otwartymi! Słucham pana, panie Stanisławie...

— Od czego zacząć? — zagadnął Figelberg, spoglądając nieco podejrzliwie na Hilarego.

Światowidzki zrozumiał wahanie bankiera.

— Proszę pana... albo, albo! Jak szczerokość, to bez zastrzeżeń. Oczywiście idzie tu jedynie o wydarzenia ostatnie... ręcę słowem, że będę równie szczerym. Słowem Światowidzkiego!...

— Słowem?! — powtórzył sentymentalnie Figelberg.

— Tak!—szepnął z naciskiem Hilary.—*Hejrem!!*

— *Hejrem!!*

— Dlaczego więc ogarnia pana niepokój dlaczego uznajesz pan potrzebę łączenia się?!..

— Dlaczego?... Bo... bo... wszystkie moje kombinacje po prostu w leb biorą! Wagony naraziły mnie na grube straty, z pół miliona! Zresztą chociażby przepadło, nie zwracałbym uwagi. Ale, panie, taki... taki półgłówek Przesmycki utrzymał się przy licytacji na budowę dworca! Co mu do głowy przyszło?.. przecież nigdy żadnych interesów nie prowadził. Latał sobie, jak wściekły, po Afryce i Azji, strzelał lwy, tygrysy, bawił się w sportsmena, wydawał bajońskie sumy na drukowanie swoich epopoi.

a w żadne operacye się nie bawił. Aż tu, ni z tego, ni z owego, zjawia się i obniża koszty do 15%!! Pan rozumie, byłem bez konkurentów! Kilka słomianych firm miało uczestniczyć dla pozorów! Kosztowało mnie to sporo. Byłem pewny zupełnie. Poczynilem już pewne przygotowawcze prace!... Nie koniec na tem, od wczoraj zapanowała absolutna cisza na rynku kredytowym...

— Nie rozumiem—przerwał Światowidzki.

— Pan zapewne wie! Nasza firma na prowincyi ma faktorów podstawionych. Potrzeba ziemianinowi pieniędzy, faktor umawia się na dobry procent i zawiadamia nas... my pożyczamy, a weksel faktor ustępuje nam...

— Aha! I w ten sposób zarabiacie na handlu pieniędzmi około dwudziestu kilku rocznie...

— Ma się rozumieć! Faktor także ciągnie poważne zyski... bo, prócz komisowego, gdy przychodzi termin, zawsze coś wyciągnie nad program...

— Pojmuję! Bardzo dobrze pomyślane!

— Prezes wchodzi w nasze położenie — ciągnął Figelberg, uśmiechając się konfidencyjalnie;—przecież trzeba... pieniędzmi obracać!..

— Naturalnie!—zaśmiał się Hilary.—Každy z nas ma swój... lombard prywatny, albo «ra-

towy» handelek. Inaczej być nie może! Tylko te zakute głowy... tego nie rozumieją. Przecież miliony przy innym rachunku dają normalnie tu zaledwie trzy... procent!... Ale, wracając do przedmiotu...

— A no, panie, my, co miewaliśmy po sto i więcej ofert faktorów dziennie, dzisiaj na przykład nie odebraliśmy ani jednego żądania pożyczki! Mało tego: wymawiają nam zewsząd kapitały, bez powodu... Takie nagle żądanie zwrotu gotowizny nie może być... mile widzianem!... Zmniejsza obrót kapitału, zmniejsza siłę, osłabia! Dalej znów z cukrowni dochodzą mnie echa zatargów z plantatorami, zarówno niespodziewane, jak i groźne. W końcu zewsząd powiał zgoła obcy prąd, coś się gotuje, wre, kipi, że mimowoli doznają uczucia trwogi, po prostu drzę, gdy myślę o jutrze... A pan?...

— Ja?—odparł Hilary — powiem bez omówień: Jestem do pewnego stopnia w tem samym położeniu. Wagony mnie zaskoczyły, krajowych nie rozumiem... wymówienia mam, a prócz tego tyle drobnych przykrości, najdziwniejszych wydarzeń... że nie wiem, co sądzić!... A propos, powiedz mi pan: cóż to za humbug urząda prasa z głupotą?...

Figelberg spojrzal uważnie na Światowidzkiego i odrzekł po pewnem wahaniu:

— Czy pan rzeczywiście uważa to za humbug?...

Hilary stropił się.

— Przyznam się panu, nie zdaję sobie sprawy...

— A ja... zastanawiam się i zaczynam wierzyć... byloby to straszne, przerażające! Obym się pomylił!

— Cha! cha!—zaśmiał się Światowidzki.—Co też pan mówi! Więc doprawdy zanik głupoty ludzkiej byłby w stanie tak dalece pana przerazić!... Nie, do tego stopnia jeszcze nie doszedłem, Przeciwnie, tak mi ta głupota ludzka, naiwność, brak rozumu, dokuczyły, że w imię własnego spokoju chętnie przyczyniłbym się sam do ich wytępienia!... Nie powoduje mną chyba... żadna życzliwość dla rdzennego szczepu... tylko wręcz egoizm!

— Hm! Być może! Chociaż pańskiego zdania nie podzielam... i wątpię, aby pan sam w nie uwierzył...

— Jakto?!

— Bo... niech pan tylko przypuści, że każdy osobnik, z którym pan chce dokonać transakcyi, przeprowadzić interes, każdy człowiek



spotkany, dostawca, służący, urzędnik, kupiec, kapitalista, ziemianin, równie trzeźwo i wszechstronnie obejmuje daną kwestyę, jak i pan... Cóż się wówczas stanie?!...

— Ależ, panie Stanisławie, to są utopie, niepodobieństwa!...

— Bez wątpienia. Jednak doznaję wrażenia... może to przesąd... halucynacya... zdenerwowanie... lecz od czasu owych zapowiedzi telegraficznych... cienia głupoty ludzkiej... prawie nie zauważyłem...

— Być może! Zbieg okoliczności!... Swoją drogą, radbym się dowiedzieć coś o genezie tej, bądź-co-bądź ciekawej farsy dziennikarskiej...

— Widziałem dzisiaj kilka bardzo wyczerpujących artykułów, ale stwierdzających jedynie wiadomości telegraficzne... pozostaje więc tylko... chyba droga własnych obserwacji. W prasie bowiem, zwłaszcza w dziale nauk ścisłych, nie ma dwóch zdań...

— Zobaczymy! A teraz, panie Stanisławie, mam taką myśl... Dzisiaj jeszcze zajmę się wypracowaniem szczegółowego projektu wspólnej akcji giełdowej i po części ogólno-ekonomicznej, będę się starał przewidzieć jak najgorsze ewentualności i... zakomunikuję panu cały referat dla poczynienia uwag. Poza tem wciągnę Pa-

penkleinera i... Meinersohnów... bo z Wartembergiem niema co mówić! Ten straconym jest zupełnie dla finansistów i naszego wyznania! Zresztą proponowałbym porozumieć się z Niemcami...

— Znakomita myśl...

— Taki Kreibler, Weintze, Grayer, czy też Zyttel i Lunitzer przydać się nam mogą bardzo, jeżeli ich się uda wciągnąć! Powinniśmy się wziąć z nimi za ręce, my i oni reprezentujemy w tym kraju jedyną siłę kapitalizmu, handlu i przemysłu. Miejsca dla obu naszych partii dosyć, byleby żywiły miejscowe w karbach utrzymać...

— Zgoda! Nie mam nic do nadmienienia. Wierzę, iż prezes przeprowadzi wszystko znakomicie. Zaczynam spokojnie patrzeć w przyszłość, widząc w panu sojusznika. Pomysł genialny... Ale... a do czasu ostatecznego porozumienia się?!

— Nie! Cicho siedzieć, milczeć. Papierów nie pokazywać wcale na giełdzie...

— Wybornie! Oto moja ręka!

W kilkanaście minut później Światowidzki zasiadł przy swem olbrzymiem biurku.

Wspaniale apartamenta Hilarego zalegała cisza.

— Prezes pracuje — szeptała służba, omijając starannie gabinet.

Wieczór zwolna zapadał, wieczór mglisty, zimny, wilgotny. Światowidzki, pochylony nad arkuszem papieru, pisał bez wytchnienia, liczył, zestawiał. Był w zapale, tworzył najzawilsze projekty, z cyfr wyprowadzał świetne kombinacje. Chwilami pot z czoła ocierał, zimną herbatą zwilżał spieczoną usta i, tonąc w dymie tytoniowym, patrzył zamyślony przed siebie.

W pokojach Toli było prawie równie cicho... Miss Cetty drzemiała, zasunięta w wielki dywanowy fotel na biegunach. W okrągłym japońskim saloniku bankierówny rozlegał się lekki szmer dwóch melodyjnych głosów. Pierwszy przypominał bardzo głęboki ton mowy Łamkowskiego, drugi był uderzająco podobnym do metalicznego szczebiotu Toli...

Wreszcie miasto ułożyło się do snu, do snu nerwowego, niespokojnego, pełnego mar, ponurych widziadeł, snujących się tu i owdzie — do snu trawionego gorączką suchotnika, bo nie brakowało i jęków, i westchnień, i śmiechu szmatycznego i niezrozumiałego belkotu.

W mieszkaniu Toli światła dawno pogasły, z okien pracowni Hilarego były potoki światła. On czuwał jeszcze i pracował. A tak pracować

umiał tylko Światowidzki! Gdyby nie te nie-przespane noce, nigdyby może nie był tem, czem jest. I nie była to praca przeciętnego człowieka... W niej napróżnoby kto szukał pocziwego owocu, bezpośredniego rezultatu!... Na to stać przecież i prostaków—on, Hilary, czuł się powołanym do czego innego.

Referat był na ukończeniu. Jeszcze chwila i oto całe to gniazdo budzących się ze snu szerzeni będzie skrępowane nieubłaganą siłą rachunku, przytłoczone raz na zawsze do nędznej pracy na cudzem... i zabite we wszelkich zakusach na opór ekonomiczny czy rasowy! Śmiertelny gotował pocisk! Ów dawny memoryał gieldowy był ledwie niezdarnem wypracowaniem wobec tego, co Światowidzki przeprowadzić zamierzał...

Przez parę następnych dni pan Hilary nie wychodził prawie z domu. Zamknięty w swoich apartamentach, ledwie z Herszkowiczem odbył kilka konferencyi, poprzestając na ogólnikowych raportach. Prezes rozważał wszystkie za i przeciw swego projektu, sprawdzał cyfry, gubił się w najróżnorodniejszych przeciwnościach, poprawiał, kreślił. Gdy w końcu projekt uznał za ostatecznie i wszechstronnie rozważony, przywołał Łamkowskiego i polecił mu go stylisty-

cznie wykończyć i przepisać, nadmienając, że, dla wielkiej wagi referatu, nawet przepisywanie musi być dokonane na miejscu, w bocznym gabinecie... i pod kluczem...

Łamkowski, przyzwyczajony do tego rodzaju poleceń, uśmiechnął się, zważył w ręku plikę papieru i... pozwolił się zamknąć razem z dziełem pana Hilarego w znanym mu dobrze poikoiku...

Światowidzki nie omieszkał zapewnić swego powiernika, że nikomu innemu nie mógłby zaufać i że nie omieszka zwolnić go z pod klucza w porze obiadowej.

Prezes, schowawszy klucz do kieszeni, zasiadł w bibliotece, informując służbę, że obecnie... jest zdrów. I w samej rzeczy Hilary czuł się nareszcie znów w wybornem usposobieniu. Dokonał wiekopomnego dzieła w ciągu niespełna czterech dni... Tamten, Łamkowski, przepisywał je! Pyszny gatunek człowieka! Maszyna, znakomita maszyna! Robi szybko, dobrze, co najważniejsza, nie rozumie nawet, co i w jakim celu!... Przecież ten Łamkowski prowadził biuro statystyczne! A do dzisiejszego dnia nie ma wyobrażenia o jego doniosłości. Całymi dniami ten człowiek grzebał się w aktach, wykazach i księgach, wertował folioly stęchłej bibuły, do-

chodził do rozpacz, gdy rachmistrz przekreślił śrubę arytmografu i pomylił się w liczbie... a jednocześnie dotąd nie zorientował się, że w ostatecznem opracowaniu cyfry o tyle są zgodne z jego specyfikacjami, o ile wymagał tego cel podjętego zadania!... Prawdziwy typ Sarmaty!...

Hilary wpadł w dobry humor. Parsknął śmiechem Herszkowiczowi w nos, gdy mu ten z grobową miną jął recytować straty, poniesione w ciągu ostatnich dni. Dyabli wzięli milion? Choćby i trzy — bajki. Jeszcze tydzień, dwa — i zachwieje się kraj cały w posadach, pozna ramię Światowidzkiego.

Sekretarz spojrzal z niedowierzaniem na swego chlebobawcę, jakby zgola inaczej tłómacząc sobie śmiech i dobry humor. A to tem bardziej, że na pytanie o dalsze dyspozycje Hilary rzucił niedbale: «rób pan co chcesz!» i wyszedł do pokoi córki.

Herszkowicz stał czas dłuższy, zdziwiony zachowaniem się Hilarego. Znał go tyle lat, nauczył się czytać w jego twarzy, jak w księdze, rozumiał każde skrzywienie się, zmarszczkę... ale tego humoru w tak krytycznej bądź-co-bądź chwili nie pojmował.

Światowidzki tymczasem zażywał ojcowskich rozkoszy w saloniku córki. Tola była dzisiaj niezwykle poważną. Hilary nie zwrócił na to uwagi i żartował z jej cudacznego stroju.

— Toleczko! Wybacz, niekompetentny jestem... ale coś mi oryginalnie się ubierasz...

— Czy tak źle wyglądam?...

— Broń Boże! Prześlicznie... tylko moda tak dalece różniąca się...

— Ależ, kiedy ja bynajmniej do mody się nie stosuję!...

— Taak! Doskonale... więc to twój gust. Przepyszny... choć nie powiem, czybyś miała odwagę wystąpić w nim na naszym raucie! Ho, ho! Figlarka z ciebie! Bałamutka!

— Pozwól, papo, lecz nie rozumiem, dlaczego bym na raucie nie miała wystąpić w tej sukni.

— No, kochaneczko! Nie mam wyobrażenia o konfekcyi damskiej, tylko wydaje mi się twoja sukienka trochę negliżową, zakrawającą raczej na kostium...

— Ah! już wiem!—zaśmiała się Tola—papeż zapewne razi brak gorsetu... wyrzekłam go się raz na zawsze. Ani to zdrowe, ani przyjemne, ani powiem ładne! Gdzie sens ścisnąć się, dławić nieomal! Ilez chorób, cierpień sprowadza sznu-

rówka... A teraz, w wolnej nieco bluzce, mam swobodę ruchów, oddycham pełną piersią!...

— Tak, tak! Progresistka z ciebie, progresistka zapalona!... Owszem, rób jak uważasz za właściwe. Masz bez wątpienia słuszność. Powinnaś myśl tę przeprowadzić, tylko strzeż się zbytnej oryginalności. Bo, Tolo moja, pewna doza odrębności zaciekawia, interesuje ogół, ale ekscentryczność bezwarunkowo odstręcza...

— Jeżeli atoli z jednej strony postawimy na szali higienę, zdrowie, a z drugiej strony przesąd mody...

Do saloniku wszedł na palcach lokaj i podał Hilaremu na tacy kartę wizytową.

— Zdzisław książę Tomkowicz! — wykrzyknął z ukontentowaniem Światowidzki. — Prosić, prosić! Pozwolisz, Tolo, że go przyjmujemy tu, w saloniku...

— Owszem!

— Wprowadź księcia pana! — rzucił prezes lokajowi; a zwracając się do córki, szepnął półgłosem:—Ciagnie książątka do mojej panienki, ciagnie!

— Papo—zaczęła pośpiesznie Tola,— wybacz, oddałę się. Jestem niezdrową, przebierałbym się musiała, więc pójdę... Zobaczą go kiedy indziej... dziś nie mogę...



Tola pocałowała przelotnie Hilarego w rękę i, zanim ten mógł odpowiedzieć, znikła za kotarą drzwi buduaru.

W tejże chwili prawie wyprostowany lokaj meldował w przeciwnych drzwiach:

— Jaśnie oświecony Zdzisław księżę Tomkowicz!

Światowidzki powstał na przyjęcie młodego księcia.

— Witam, witam serdecznie! co za rzadki gość!...

— Moje uszanowanie prezesowi — zaczął Tomkowicz, siadając na kanapce obok Hilarego;—dawno miałem zamiar odwiedzić państwa, ale czas mi nie pozwalał...

— Wiem, wiem! Słyszałem. Będąc przed kilku dniami u księżnej matki...

— Jakże się miewa panna Tola?... Dawno nie miałem przyjemności...

— Mam cię, ptaszku! — pomyślał w duchu Światowidzki, przewidując, jaki już obrót sprawa przybiera, i odparł głośnie, z udaną dobroduszością;

— Dziękuję bardzo! Zdrowa! A wszak ci to my znajdujemy się w tej chwili w jej... królestwie... Salonik ten... należy do mojej dziewczki.

— Rzeczywiście—potwierdził niedbale Zdzisław, rozglądając się dokoła, — znać dotknięcie ręki kobiecej... wszystko technie tutaj subtelnością, drobiazgowym smakiem.

Hilary wydał z zadowoleniem policzki i założył nogę na nogę.

— Co robić! Ma dziewczyna swoje fantazyje. Ciągłe urządza i mebluje jakieś saloniki, buduaruki, gabineciki. Niech się bawi! Właśnie była tu... ale tylko co wyjechała z wizytami.

— Bardzo żałuję, że nie będę miał szczęścia...

— Bo też z pana ceremoniant!—mówił z udaną dobroduszością Hilary.—Ani się książę nie pokażesz u nas!...

— Nie omieszkać korzystać z uprzejmości—odparł obojętnie Tomkowicz.—Chcę jednak być szczerym i od razu przyznać się, że dzisiaj prócz wizyty chciałem...

Światowidzki poprawił się na kanapie.

— Pomówić z panem—ciągnął powoli Zdzisław—o pewnym interesie.

— O interesie!? — pytał z powagą ojcowską Hilary. — Proszę... służę... niech książę będzie laskaw!...

— Wiadomy panu zapewne nasz stan majątkowy?...

— Coś z dalekiej beczki sobie poczyzna—pomyślał Światowidzki, kiwając głową na znak, że stan majątkowy rodziny Tomkowiczów jest mu dobrze znanym.

— Otóż jest on wcale nieszczególnym! Chcąc zaś naszą rabunkową gospodarkę, jaką od lat kilkudziesięciu prowadziliśmy, naprawić... aby móżdż odpowiedzieć w zupełności obowiązkom rodu i fortuny... przede wszystkim pragniemy przywrócić dawną jej świetność...

— Hm! Naturalnie! Naturalnie! — potakiwał ze złośliwym wyrazem twarzy Światowidzki.

— Rozumiemy, że reformy muszą być radykalne. Między innymi wyprzedajemy pojazdy i ekwipaże... przyszedłem więc zapytać prezesa, czyby prezes nie nabył... Jest około dwudziestu kilku sztuk, w zupełnie dobrym stanie, marki przeważnie angielskiej. Fasony wszystkie, począwszy od szarabanu, a skończywszy na breku...

Hilary milczał przez pewien czas, rozważając propozycję. Tomkowicze toną, giną zupełnie, wyprzedają się, byle choć skromny kapitał uratować! Należy im nie odmawiać pomocy, bo... gdy w zbyt wielką biedę wpadną, małżeństwo w Tolą stałoby się nadto widocznym handlem. W rezultacie kupno ekwipaży książęcych jest małym, ale dobrym interesem!...

Zdzisław, widząc wahanie Światowidzkiego, pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Zastrzegam się, panie prezesie, przed jakąbądź względnością. Raczy przeto pan nie krępować się; w interesie towarzyskie stosunki nie istnieją. Gdyby zatem...

— Ależ rozumiem!—przerwał Hilary z dwuznacznym uśmiechem—i właśnie traktuję propozycję po kupiecku...

— Więc proszę. Oto wykaz. Może pan każdej chwili obejrzeć!... Herby pozacierane są lakierem!...

— A ile?...

— Dziesięć tysięcy. Sztuka w sztuce. Kosztowały z górą pięćdziesiąt; obdzierano nas, ale i dziś warte są więcej, gdyby sprzedać pojedynczo.

Hilary, mileząc, zadzwonił na służbę, napisał kilka słów na wydartej kartce z notesu i oddał lokajowi, wydawszy mu krótkie polecenie.

— Kupuję ekwipaże!...

— Zgoda. Kiedy prezes chciałby je obejrzeć?

— Nie trzeba. Znam je doskonale. Bagatela!

Wkrótce zjawił się pomocnik kasyera i doręczył Światowidzkiemu paczkę banknotów, którą Hilary oddał z kolei Tomkowiczowi.

— Służę, oto należność za powozy, proszę przeliczyć...

Zdzisław pieniądze wziął z zimną krwią i zaczął powoli i uważnie liczyć. Światowidzki zaciął usta.

— Co on sobie myśli! Ten ksiązę liczy pieniądze tu, u mnie. Nie poczuwa się do tej drobnej delikatności, że Światowidzki nie myli się w rachunku!

Tomkowicz porachował i pośpieszył zapewnić bankiera, że pieniądze są w «porządku,» czem znów go poruszył do żywego, i wstał, zabierając się do odejścia. Hilary stłumił nieukontentowanie.

— Kiedy pan przyśle po ekwipaże?

— E! Co tam! Niech sobie postoją na miejscu—zaczął protekcyjonalnie prezes.

— Jak się panu podoba! Żegnam. Moje uszanowanie dla panny Toli.

— Czekaj pan, czekaj!—zatrzymywał poufale Światowidzki — chcę panu maleńką radę udzielić. Któż to widział do tak ostatecznych środków się uciekać! Przecież w pańskim wieku można i w inny sposób uratować sytuację i nawet schedę pradziadów potroić...

— A tak, radzi mi prezes bogaty ożenek! Sprzedawać się nie mam ochoty, a do milionerek skłonności w tej chwili nie uczuвам... W małżeństwie szukać będę żony, a nie pieniędzy.

— Ależ, któż tak gorąco kwestyę stawiał! Myślałem o czem innym...

— Zapewne prezes sądzi, że powinniśmy najpierw wyprzedać lasy, a ekwipaże na ostatku. Być może. Gdyby spółka leśna, którą pan jedynie reprezentuje, nie wyzyskiwała sytuacji, kto wie! Zawsze lepiej wyjdziemy, stawiając własny tartak, co, po skasowaniu stajni wyścigowej, stało się prawie faktem. Przepraszam i odchodzę. Dziękuję za szybkie załatwienie kupna; drobna to suma, ale przy organizacji giełdy zbożowej każda setka przydać się może!...

Zdzisław wyszedł, a Hilary stał bez ruchu, z ręką wyciągniętą jeszcze po uściśnieniu dłoni Tomkowicza.

Towarzystwo leśne, które on reprezentuje, wyzyskuje sytuację! Najwyraźniejsza impertynencya! Jemu, im... są potrzebne pieniądze na... giełdę! Chyba się przesłyszał! To jest niepodobieństwo! Co ten Zdzisław naplótł! — niby ruina, ciężki stan majątkowy, sprzedają powozy, oddalają służbę... i budują tartaki, myślą o giełdzie zbożowej. Ci... ci... próźniacy, znudzeni sybaryci, przeżyci pankowie!... On się nie sprzedaje!... Poczekaj, kochanku, przyjdzie czas wkrótce na ciebie, że nikt cię nie będzie chciał kupić!

Im dłużej zastanawiał się pan Hilary i rozważał przebieg rozmowy z Tomkowiczem, tem go większa złość i zdumienie ogarniały. Prezes bez wątpienia straciłby od razu cały swój dobry humor, gdyby nie zameldowano mu przybycia pana Wiktora Ciepelki. Na dźwięk tego nazwiska rozpogodziło się oblicze Światowidzkiego. Oto zjawiał się człowiek, jakiego mu było potrzeba!

Kim był właściwie pan Wiktor Ciepelko, nikt chyba dokładnie nie mógł określić. Dość powiedzieć, że był osobistością «znaną» całemu miastu, przyjmowaną wszędzie i zawsze, ocierającą się zarówno o fraki arystokracji, jak i o rajtroki kupezyków. Ciepelko uchodził za człowieka, mającego wiele do powiedzenia. Pan Wiktor nadto był filantropem *par excellence*.

Stojąc na wybitnem stanowisku «Zjednoczonej filantropii,» zawsze coś zbierał, agitował. W kieszeni zawsze miał pełno biletów na widowiska dobroczynne, kwitów na składki i zapomogi i gotowych projektów na groszodajne zabawy. Słowem był podporą, filarem wszystkich niemal instytucji filantropijnych. Sam, zdaje się, nie miał ani majątku, ani renty, ani posady, ale dawał, bardzo często dawał na nędzę, na odzież dla ubogich, na wpisy. Dla tyłu i tak wielkich zalet był cenionym, zwłaszcza że uchodził za weso-

go i uslužnego, nigdy nienarzucającego nikomu swych moralnych zasad i przekonań.

Światowidzki wiedział dobrze, że zjawienie się u niego Ciepelki trzeba opłacić ofiarą na rzecz jakiejś żebraniny, ale zarazem Ciepelko był dlań zbiornikiem najróżnorodniejszych informacji, dotyczących się całego ruchu towarzyskiego, i głównym składem wszystkich wielkomięskich plotek. Hilary postanowił wybadać Ciepelkę gruntownie i wysłuchać; w tym celu, dla przedłużenia pogawędki, kazał podać lekką przekąskę, która zazwyczaj trafiała bardzo do przekonania działacza z filantropii.

Ciepelko powitanie Hilarego zaczął od swego ulubionego zwrotu: «wybaczy pan, ale sprawa dobra publicznego zmusiła mnie zakłócić...» Światowidzki przerwał od razu ustęp zapewnieniem, że z chęcią służyć będzie pomocą, i zagadał o sprawach towarzyskich, zapraszając na przekąskę. Po kilku kieliszkach koniaku i szklance porteru, pan Wiktor nabral pewności siebie i porzucił ogólnikową grę wyrazów.

— Prezesuniu, złoty panie! — zaczął. — Jest źle! Arystokracja myśli o pracy i nauce, kupiectwo bierze się na pazury, a mieszczaństwo murem staje. Będzie awantura chyba! Warcholstwo, złoty panie, idzie w górę! U nas,



w «Zjednoczonej filantropii,» mieliśmy całą hecę! Wyobraź pan sobie, kilku narwańcom zachciało się kontrolować zarząd! Nas kontrolować! My zgodzić się nie możemy. Cóż to? brak zaufania do nas?! W końcu, złoty panie, ostatni rok jeszcze pół biedy, ale lata dawne! Księgi, rachunki, dowody poszły od niepamiętnych czasów na żer dla myszy i już! Z Lińskim co innego...

— Z którym Lińskim?...

— Z Zygmuntem! Bo tamten jest kiepski, dogorywa. I do filantropii prawie się nie wtrącał! Ale Zygmunta przytrzymali! Ustępował z prezesostwa... powiedzieli mu bez ceremonii: zapłać, złoty panie, za to, czegoś nie dojrzał, nie dopatrzył. On powiada: nie jam winien, ale Palecki i Figlaszewski... To nie! Prezesowałeś, podpisywałeś, teraz dawaj zmarnowaną gotóweczkę i procesuj swego Figlaszewskiego z Paleckim!... Jest to niesprawiedliwość, podejście, lecz, złoty panie, Liński zapłacił, zapłacił, bo musiał... procesem grozili!...

— A pan Zygmunt wycofał się podobno?...

— Zupełnie, zupełnie, złoty panie! Ze wszystkich instytucji. I nie tylko on, ale... i Tryskalcki, i książe Rowiecki i Wartemberg, no, wszyscy... prawie wszyscy! W Banku Ziemiańskim zawakowało dwanaście mandatów na radców!

Przewrót, kompletny przewrót! Cały świat arystokratyczno-ziemiański usunął się ze wszystkich synekur. Istna rewolucya! U steru zabierają miejsca ludzie skromni, nieznani, choć, powiadają, uzdolnieni. Przykra rzecz bardzo, bo choćby kogoś protegować, posadkę dać, ani weź... Już to inna sfera ludzi! Przecież i pan Konstanty Liński, będąc ciężko chorym, podał się do dymisy, co zabawniejsza, zawiadomił zarząd Towarzystwa krajowej asekuracyi, że jest przeciwnym mianowaniu syna swego na stanowisko dyrektora, bo... za młody, za naiwny i nieobeznany. Kolosalne, złoty panie! Sparta u nas! Rzym! Katonizm!

— Czego ludzie nie wymyślą! — zauważył z powątpiewaniem Światowidzki.

— Złoty panie, to święta prawda. Nie dość; gdybym ci niejedno opowiedział, co na własne oczy widziałem, przysięgłbyś, że dostałem pomieszania zmysłów.

— Cóż takiego?—pytał ciekawie Hilary.

— Posłuchaj, złoty panie. Moryś! Wiesz? Pustogłowski... otwiera publiczną bibliotekę, organizuje kolosalne przedsiębiorstwo budowy mostów żelaznych i... wypędziwszy wszystkie metresy... studjuje nauki ekonomiczne i żeni się... z panią nieskazitelną opinii, ale zupełnie

biedna. Nie dość tego. Teatr farsy i wodewilu cudzoziemskiego zamknięty.

— Skądże! Nic nie słyszałem. Jakież zajście?

— Ale gdzież tam! Przez trzy dni z rządu nie sprzedano ani jednego biletu, a jednocześnie prasa zaoponowała stanowczo przeciwko bezsensownym tlómaczeniom i forytowaniu na artystki damulek z półświatka! Czyli: kankan, kupleciki i przejryste kostiumy wściekły się... razem z dwuznacznikami i... pikanterya!...

— Jakaż wyrafinowana pruderya!

— Może!

— I kto... ale prasa! Prasa i czystość obyczajów!—zaśmiał się szyderczo Hilary.

— Złoty pan uznaje to za nienaturalne? Hm! Przypuścimy! Chociaż i w stosunkach prasowych nastąpiły niespodziewane zmiany. Proszę sobie wyobrazić: Głodzimir Kręciński został... karawaniarzem!

Światowidzki zachnął się niecierpliwie.

— Słowo uczciwości! Karawaniarzem... żalobnikiem! Uważa złoty pan, karawaniarstwo leżało niejako w jego naturze...co wziął się do kierownictwa jakiego pisma, tygodnika, ten od razu upadał... zamierał... Poszedł za swoim powołaniem.

— Pan sobie żartuje, panie Ciepelko!

— Ja? Prezesuniu, złoty panie! Ani mi to

w głowie! Sam, sam się dziwię i nadziwić się nie mogę! A co pan powiesz na to, że ów znany redaktor «Bzdurstw Powszednich,» co to wydawał różnym osobnikom świadectwo na uczciwość, zabrał się do handlu szuwaksem i puc-pomada?

— Za pozwoleniem, panie Ciepelko — przewał wyprowadzony z równowagi Hilary, — odmawiam wiarogodności... pańskim informacyom, lecz wołałbym już dowiedzieć się, czem mu służyć mogę... bo czas mam nader ograniczony...

— Z ochotą, złoty panie, przesuniu— odpowiedział swobodnie pan Wiktor.— Idzie o filantropię... ja tak zawsze, panie złoty, tylko o filantropii myślę. Już taka natura. Właściwie chcę się wycofać z dobroczynności... ale pragnę jeszcze ostatnią oddać jej przysługę...

— A zatem?...

— Głupota, złoty panie, zginęła! Niema co, zginęła i już!

— Czyżby zginąć mogła! — przeczył od niechcienia prezes, patrząc złośliwie na Ciepelkę.

— Bez wątpienia zginęła! — obstawał energicznie pan Wiktor, nie podejrzewając dwuznacznika.— Otóż, panie złoty, ponieważ brak nam środków na pobudowanie schroniska dla bezdomnych sierot, w łonie naszego zarządu powstała myśl wyzyskania sytuacji i urzędzenia

wystawy... głupoty, w retrospektywnem jej rozumieniu!

— Panie Ciepelko! Cha, cha, cha! Ależ to kapitalny pomysł!

— Mój złoty prezesuniu, panie! Słowo uczciwości! Naturalnie, będą koszta urządzenia, zgromadzenia okazów... więc... złoty...

— Ależ proszę, proszę! Służę panu! Myśl godna poparcia! Wykrzykiwał rozweselony Światowidzki, podając dwie setki Ciepelce.

— Dziękuję... serdecznie dziękuję! Oto pokwitowanie! W imieniu bezdomnych... dziękuję. Ale to jeszcze nie dosyć, poza ofiarą rączysz, prezesuniu, złoty panie, nie odmówić nam swej pomocy...

— Cha, cha! Czegóż chcecie więcej? Mamże wam wskazać, kogo powinniście umieścić w galerji... okazów? Cha! cha! Znakomite! Głupota już zginęła!

— Nie, panie — ciągnął nieskonfudowany śmiechem Hilarego Ciepelko.—Chcę prosić, abys nam ze swego zbioru dostarczył kilka okazów...

— Jakto?...

— Idzie, po prostu! bys nam pożyczyl na czas trwania wystawy swojej «Nowej ekonomii politycznej,» «Wyników statystycznych» i rękopisu tego ostatniego odczytu... nadto...

— Panie Ciepelko! — syknął Światowidzki, zrywając się z krzesła—pan się zapomina!...

— Prezesuniu, złoty panie, proszę łaskawie zrozumieć... — tłumaczył ze szczerem zakłopotaniem pan Wiktor.

Hilary spojrział swym zimnym, stalowym wzrokiem na Ciepelkę, zęby zacisnął, i rozchmurzając powoli czoło, szepnął z cicha: Waryat!

— Taka «Nowa ekonomia polityczna» zaciekawki ogromnie, gdy się w katalogu napisze: «tak wygląda dzieło, autor którego nigdy autorem nie był.» A gdybyś nam, prezესuniu, panie, udzielił oryginału, choćby i kopii swego świadectwa dojrzałości! Już mam pomysł do objaśnienia: «świadectwo z egzaminu człowieka nigdy nie egzaminowanego.» Prawda? W rezultacie najczęściej zależy nam na rękopisie... odczytu. Panie, to ściągnie tłumy na wystawę! Niedoszły odczyt pański miał akurat przypaść przed pięciu, czy czterema dniami, więc nieomal trafił na chwilę przełomową... reakcyę głupoty!... Czy, prezესuniu, złoty panie, mogę liczyć?...

— Tak, tak! Naturalnie! — powtarzał machinalnie Hilary, naciskając dzwonek, alarmujący służbę.—Dostanie pan, dostanie!

— Dziękuję, dziękuję... jeszcze raz dziękuję w imieniu bezdomnych sierot!...

We drzwiach zarysowała się sylwetka służbowego lokaja.

— Dobrze! Niema za co dziękować! Idź już pan, mój panie Ciepelko!... Do domu... tak! Żegnam! Służący pomoże panu wsiąść do drożki...

Ciepelko oczy wytrzeszczył na Światowidzkiego, nie pojmując szczególniejszej intonacji głosu prezesa i niespodziewanego zachowania się.

— Uszanowanie, prezesuniu złoty... Pó okazy mogę... przysłać?...

— Możesz, możesz! Adieu! Mateusz, wyprowadź pana!

Ciepelko raz jeszcze obrzucił Hilarego spojrzeniem pełnym zdumienia i wyszedł.

Światowidzki zadzwonił powtórnie i wydał rozporządzenie, aby tego pana, co był, nigdy na przyszłość nie wpuszczano, i «skonstatowawszy,» że pora obiadowa się zbliża, skierował się do pokoiku, dla uwolnienia Łamkowskiego z pod zamknięcia.

Idąc, mimowoli rozważał, jak niezwykłym jest obłęd Ciepelki. Co mu za myśli przychodzą do głowy! Wstrętny waryat! Najzdrowszy na umyśle człowiek chyba nie mógłby się zdobyć na większą zjadliwość!...

Hilary zatrzymał się przed drzwiami pokoiku, w którym zamknął Łankowskiego, dobył klucza z kieszeni i chciał otworzyć... Nie mógł. Z drugiej strony drzwi tkwił widocznie drugi klucz w zamku, więc chwycił za klamkę, nacisnął i... oczom jego przedstawił się widok zgoła nieoczekiwany.

Na kanapce pod oknem siedziała Tola, a u nóg jej klęczał Łankowski. Ona, pochylona nieco na przód, gładziła jedną ręką płową czuprynę Łankowskiego, pozwalając mu jednocześnie tulić do ust drugą rękę. Referat Światowidzkiego leżał na małym biurczku, rozłożony poważnie przed zwojem czystego papieru...

Młoda para była tak zajęta sobą, tak zapatrzona w głębie swoich oczu i zasluchana w swoich serc bicie, że nie dostrzegła wejścia Hilarego i dopiero chrapliwy głos jego sprowadził ją z obłoków na ziemię...

— Tolo! — wrzasnął Światowidzki, drżąc z gniewu i oburzenia.

Łankowski zerwał się od stóp bankierówny pomieszany, ona zaś podniosła się zapłoniona, zakłopotana.

— Cóż to ma znaczyć?!.. — pinił się prezes, zaciskając pięście.— Jak pan śmiesz?! Do grobu cheesz ojca wpędzić... ty!... ty!...



— Ojczel!—zaczęła z mocą Tola, tłumiąc lkanie. — Przecież najczystsze, najszlachetniejsze uczucia...

— Precz mi! Wynoś się! Słyszalas?... — krzychał w uniesieniu Hilary, wskazując córce drzwi.

Tola spuściła głowę i wyszła. W pokoju pozostał Światowidzki z Łankowskim. Ten ostatni ochłonął nieco z pierwszego wrażenia, patrzył spokojnie i stanowczo w oczy Światowidzkiego, ciskające pioruny i błyszczące gniewem, nienawiścią, zemstą.

Przez chwilę panowała cisza, przerywana przeraźliwym sapaniem Światowidzkiego, nareszcie pierwszy zaczął Łankowski:

— Panie prezesie! Kocham pannę...

— Milcz!—ryknął Hilary. — Nikezemniku! Podły służalcze! Do mojej córki śmiesz sięgać! Do mojej córki! Niegodziwy!... Do mojej córki!... — powtarzał, łamiąc się z wściekłości, a w głosie jego dźwięczała rozpacz zawiedzionych nadziei i zranionej pychy ojcowskiej.

— Proszę się nie zapominać, panie Światowidzki!—wybuchnął z kolei Łankowski.— Nawet ojcu ukochanej przeze mnie kobiety nie pozwolę się poniewierać!

— Co? śmiesz jeszcze głos podnosić?... — warknął przez zęby Hilary, wyrzucając z krtani chrapliwe dźwięki. — Ha! Zbrodniarzem jesteś! Nędznikiem bezczelnym! Jak psa cię wypędzę stąd!...

— Dosyć!—zawołał głośno Łamkowski, postępując naprzeciw Hilarego — pilnuj się pan, abym cię własnymi wyrazami nie zadławił!

Światowidzki bezwiednie uczynił krok w tył. Łamkowski postanowił korzystać z chwilowej przewagi.

— Albo się pan ze mną rozmówisz spokojnie... albo...

— Poważasz się jeszcze grozić?! — hamował się Hilary, zachwiany stanowczością Łamkowskiego. — O, godnyś potomek podstępnego, fałszywego plemienia!

— Po raz ostatni zapytuję, czy chcesz się pan spokojnie rozmówić?...

— Cha! cha!—zaśmiał się szyderczo prezes.— Rozmówić! Słucham! Więc masz mi co do powiedzenia?

— Tak! Mam! Uczucie, jakie żywię dla pańskiej córki, datuje nie od dzisiaj... i nigdy bym go nie wyjawił panie Toli, gdybym nie spostrzegł wzajemności... Nie skradałem się, sze-

dłem drogą prostą i dziś jeszcze miałem prosić pana o jej rękę...

— O miliony! I panu się zdaje, że ja na to pracowałem dziesiątki lat, na to strzegłem Toli, jak oka w głowie, by ją oddawać... śludze! Byłeś moim ofycjalistą, parobkiem... i chcesz sięgać po dobro pańskie! Wydałam cię, wypędzam!.. oto moja odpowiedź! Do takiego poniżenia jeszcze nie doszedłem, bym się miał z takimi... z takimi...

— A któż ty jesteś, mój panie Światowidzki?... z kału i błota wyrosłeś, neofita podejrzanym jesteś i kim więcej? Ja raczej zniżam się do ciebie z tradycją całego szeregu przodków, którzy byli może lekkomyślni, naiwni, ale nie byli pijawkami społeczeństwa, ani krętaczami!... Ja cię o miliony nie proszę, gardzę nimi, bo z mętnego pochodzą źródła. A gdybym nawet chciał je zagarnąć, to, przeczytawszy dzisiaj ten bezenny twój projekt, powinienbym raczej uciec stąd; twój bowiem machiawelizm przeszedł aż w manię, mogącą pochłonąć od razu miliardy!...

Hilary uderzony został słowami Łamkowskiego; podziały nań one niezwykle... uspokajająco. W tym lekceważonym ofycjaliście dostrzegł nagle przeciwnika, mającego pazury, więc zmienił w jednej chwili taktykę.

— Panie Łamkowski — rzekł, siląc się na zimną krew.—Jak pan może w podobny sposób odzywać się do swego chlebodawcy?

— Panie, zacznij pan od siebie! Pojmuję gniew pański, ale nie zasłużyłem sobie na zniewagę. Przez lat dziesięć prawie byłem pańskim sumiennym pracownikiem...

— Trudno, panie Łamkowski, musimy się rozstać zaraz. Stosunek niemożliwy!...

— Ależ—przerwał niecierpliwie młody handlowiec — ja wcale nie myślę prosić o pozostawienie mnie na posadzie! Chciałem tylko zwrócić pańską uwagę, że przez dziesięć lat pracowałem sumiennie, nigdy słowem nie odezwałem się o panu, choć miałem do tego słuszne prawo... Pańska statystyka... upoważniała mnie do niejednego. Milczałem... i robiłem źle, gdyż niejako stawałem się pańskim współnikiem... Dzisiaj...

— Niechże pan siada, porozmawiajmy, owszem — zagadał niespodzianie Światowidzki. Łamkowski uśmiechnął się nieznacznie.

— Dzisiajbym tego nie umiał... i gdybyś mi pan złote góry obiecywał, nie tknąłbym się tego na przykład referatu. Nie koniec na tem. Jedynie przywiązanie do panny Toli dało mi moc do panowania nad sobą wówczas, kiedy na skutek podszeptów fagasa wystąpiłeś pan przeciwko mnie z powodu Błażejewicza!...

— Za pozwoleniem! Jeżeli to był błąd, to nie może pan narzekać, bym cię nie cenił, nie wyróżniał.

— Ee! Proszę pana! Pańskie wyróżnianie, pańskie zaufanie każdemu by zbrzydło! Zamkasz mnie pan na klucz i prawisz o zaufaniu! Jestem, dzięki Bogu, w pełni władz umysłowych. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Usuwam się, z góry uprzedzając, iż liczyć będę nie na pańskie przyzwolenie... ale na zmianę warunków i na przywiązanie panny Toli!... Ona nie jest, na moje szczęście, towarem, który można dowolnie spieniężyć; ona czuje, myśli i ma także swoją wolę...

— Wolę!.. — powtórzył machinalnie Hilary.

— Tak, panie! To wszystko, co miałem do powiedzenia!

Łankowski wstał i zabierał się do odejścia.

— Panie Łankowski — bełkotał niepewnym głosem Hilary, — mnie ten referat jest bardzo potrzebny... kiedy pan skończy? Nie rozumiem, jak tu Tola zdołała wejść... drzwi były zamknięte. Niechże pan idzie na obiad... a po obiedzie bardzo proszę, bo muszę go mieć na jutro koniecznie.

— Dziękuję za zaszczyt! Nie chcę doczekać chwili, kiedy mnie pan po raz drugi wypędzisz.

Coby nastąpiło z chwilą, gdy ci będę niepo-  
trzebny...

— Panie Łankowski! Panie Łankowski! —  
szeptał Hilary.—Poszedł! Poszedł sobie!? Może  
i lepiej!...

Światowidzki zebrał rozłożone na biurczku  
papiery i ciężkim krokiem powlókł się do swego  
gabinetu. Czuł się złamanym, przybitym. Je-  
dyna córka, wychuchana, pieszczona, otaczana  
taką opieką... Od lat tylu pracował nad jej roz-  
wojem umysłowym, wpajał w nią zasady wy-  
znawane przez samego siebie, a dziś ona... wy-  
powiada mu prawie posłuszeństwo! Idzie za  
takim Łankowskim! Nie!... On... Światowidz-  
ki... nigdy do tego nie dopuści, ani na to nie  
zezwoli. Przebiegły, chytry niegodziwiec, pra-  
gnął rozkolysać fantazję niewinnego dziewczę-  
cia, usidlać ją w rozbudzone uczucia... Ale mu  
się nie uda. Hilary znajdzie środki!... Nigdy  
nie wyrzeknie się swoich względem niej planów  
i zamiarów. Zięć przyszedł, mąż Toli, miał dać  
Światowidzkiemu koligacyę, miał aureolę jego  
potęgi i siły ozdobić ostatnim, brakującym  
mu promieniem tradycyi rodowych... I tak się  
stanie, stać się musi!

Światowidzki rzucił okiem na niewykończony  
referat.

— Trzeba go dać temu Herszkowiczowi — mruknął;—sam nie dam rady. Jestem zmęczony, zdenerwowany.

Przywołany sekretarz zasiadł do referatu, a korzystając z okazji, zawiadomił Światowidzkiego o nowym spadku Wagonów, nadmieniając, że na giełdzie «proponowano» je po nominalnej wartości...

Wiść o nowym spadku kursu akcyi poruszyła Światowidzkiego i zastanowiła.

— Ależ, panie Herszkowicz, panu się chyba zdaje! Przecież akcyami operował dotąd tylko Figelberg, my i po trosze Meinersohnowie. Skądże mogły się wziąć w takiej ilości? Przecież tłum graczy... płacił tylko różnice... Dałem zaś panu wyraźne polecenie akcyi nie pokazywać, a, o ile wiem, toż samo uczynił Figelberg i Meinersohnowie...

— Panie prezesie! Właśnie dzisiaj Figelberg i Meinersohnowie wyrzucili na rynek wszystkie papiery!

— Co? oni?...

— Tak jest! Wyprzedali część po nominalnej wartości, na resztę nie znajdując kupców...

— Ha! Niegodziwi! Oszuści!—syczał Hilary.

— Ja sam zwróciłem na to uwagę i wprost zapytałem pana Figelberga o powód niespodzie-

wanej wyprzedaży Wagonów... zaś pan Figelberg w odpowiedzi polecił mi zakomunikować panu prezesowi, że przeprasza go, ale musi dbać o własną skórę, oraz że uchyla się od przystąpienia do wiadomego panu prezesowi porozumienia, jako do spóźnionego i chybionego pomysłu.

Hilary głowę zwiesił i zasunął się w głąb' fotela, wpijając w wyścielane poręczce nerwowo skurezone palce.

— Pan prezes miał mi wydać polecenie? — pytał Herszkowicz, nie mogąc doczekać się odezwania Światowidzkiego.

— Miałem—powtórzył glucho Hilary,—a teraz nie mam!...

— Bo... panie prezesie, trzeba coś sprzedać...

— Sprzedać?... Co pan pleciesz?... Co pan znów chcesz sprzedawać?...

— Wypłaty się zwiększają... wymówiono nam wszystkie depozyta i kapitały...

— Wymówiono!.. A co pan proponujesz?...— wykrztusił Hilary cichym głosem.

— Chyba ten... dom narożny, gdzie teraz urządzili hotel...

— Który? Ten z restauracją wewnątrz, na Kruszcowej?...

— Tak!... Posesya duża... ze dwakroć dadzą.



— Dwakroć? Oszalałeś pan! Taki punkt, blisko dworca kolejowego, placu bezmiar!... Domy w górę idą!

— Ba! — odparł niestropiony przyboczny sekretarz — wątpię, by dali więcej. Zresztą można się wywiedzieć...

— Można! Trzeba, mój panie Herszkowicz. Pokażesz mi pan oferty. Tranzakcyę zalać cicho. Pan rozumie? Nie życzę sobie, aby to się przed czasem rozniosło... Teraz... żegnaj!...

I znów pozostał Światowidzki ze swemi myślami. A ciężkie one były, burzą brzemienne i jak noc czarne. Po raz pierwszy może w umyśle Hilarego, prócz materyalnej troski, powstała troska o córkę. Miłość własna ojca była drażnioną boleśnie. Prezes nie zdawał sobie sprawy ze szczęścia lub nieszczęścia córki inaczej, jak przy urzeczywistnieniu czy upadku jego własnych projektów, a były przecież one świetne... bo łączyły zawsze jego majątek ze starożytnymi laurami herbowymi... Czy tak bardzo Światowidzkiemu imponowały korony hrabiowskie i mi-try? Nie! W duchu zawsze drwił sobie z tradycyi rodowych, ale... ponieważ sam ich nie miał... ponieważ dawano mu tylokrotnie uczuć brak «dobrego urodzenia...» więc postanowił je zdobyć za cenę córki. Nie znaczy to, by jej nie

kochał. Przeciwnie, Hilary w Toli widział wcielenie swego przyszłego «ja,» życzył mu więc tak, jak samemu sobie...

Referat spoczywał na biurku nietknięty. Światowidzki zmienił plan. Z tymi... tymi «szajgecami» niema co się wdawać. Najoczywiściej, chcieli go wyprowadzić w pole. Projekt trzeba zakomunikować przedewszystkiem Weintzlowi i Lunitzerowi. To głowy! Potentaci przędy. Mają siłę i kapitały. Byleby chcieli... Pewno chcieć będą z nim!

Hilary wpadł w apatyę. Nazbyt wiele zaufał swemu projektowi, by pierwsze niepowodzenie, objawiające się w odstępstwie Figelberga i po części Meinersohnów, mogło go nie dotknąć. Światowidzki czuł się wykolejonym ze zwykłego trybu życia. Nie chciał o niczem więcej ani słyżeć, ani mówić. Zameldowano mu przybycie jednego z głównych pełnomocników jego, Kellischa, i dano znać o zjawieniu się kilku krewnych, Wattmanów... Hilary nie przyjął ich, tłómacząc się niedyspozycją i wyznaczając audyencyę na dzień następny. Chciał uciec od ludzi, a z drugiej strony dałby bardzo wiele, żeby mógł na kimkolwiek gniew swój, złość i rozgoryczenie wyrzucić.

Prezes obiad i kolację spożył w małym saloniku obok sypialni, nie chcąc widzieć ani córki... ani... własnego lokaja. Wziął z podręcznej biblioteki pierwszy z brzegu tomik tłómaczonego romansidła i czytał machinalnie, bezprzytomnie, nie rozumiejąc ani słów, ani zdań. W końcu i czytanie go denerwować zaczęło, więc zadzwonił na kamerdynera.

— Janie, idę spać!

Kamerdyner skłonił głowę i zajął się ułożeniem prezesa na spoczynek.

Światowidzki poddawał się dzisiaj z niewypowiedzianem zadowoleniem obsłudze Jana. Tak, teraz dotykalnie czuł, że jest przecież wielkim panem. Dawniej, dawniej, kiedy był tylko sublokator Klejnstocków, było inaczej... Był po prostu... «smarkotnym» Herszkiem, sprzedającym pomarańcze... Chłacinę nosił podartą i pęczek cebuli w kieszeni. Stara Klejnstockowa, kiedy wracał zmarznięty do domu, dawała mu czasem gorącej łokszyny w kubku. Jakie to dawne czasy!... Ten Regelsohn był wówczas faktorem przy handlu starzyzną! Taki Rothstand, Bergtochter, Papenkleiner... byli zwyczajnymi łapserdakami... choć już grosze mieli... Ale on... wziął wszystkich...

Naraz wydało się Światowidzkemu, że znów siedzi w brudnej izdebce u Klejnstocków. Łojówka dopala się w obtłuczonej butelce, dzieciaki brudne wrzeszczą, a Zyzio Naiwny kiwa się nad talmudem tuż obok niego...

Hilary drgnął, oczy przetarł i, jakby chcąc się upewnić, że to było przykre tylko widzenie, zagadał nagle do zzuwającego mu buty Jana:

— A co tam słyhać nowego?...

— Et, proszę jaśnie pana, nic dobrego—odpowiedział niechętnie Jan.

— Cóż niedobrego? — indagował prezes.

— Hm! Nie wymawiając, jaśnie pan kilka dni temu rozgniewał się, gdym pytał o akeye krajowe... Głupi byłem i usłuhałem. Dziś brak rozumu kieszeni nadsztukowałem.

— Słuchaj, ty nieponiu! — krzyknął rozszczęszony Światowidzki. — Milcz!

— Kiedy jaśnie pan każe, będę milczał — ciągnął z zimną krwią kamerdyner. — Dlaczego nie mam milczeć? Kiedy pewno jaśnie pan mojej krzywdy nie będzie żądał i stratę mi wróci. Jaśnie panu to... mucha, a mnie utrata całego dobytku na starość!

— Jutro dostaniesz asygnacyę do kasy!

— Pokornie dziękuję. Już to jaśnie pan nikogo nie skrzywdzi. Tak, że nawet pojąć nie

mogę, dlaczego to wszyscy nasi stróżę podziękowali dzisiaj za służbę...

— Nic o tem nie wiem!

— Ba, pewnie, bo pan Herszkowicz zwyczajnie o tem jaśnie panu nie mówi. Byle jemu się dobrze działo, to mu wszystko jedno. Aż mi czasem dziwno, że jaśnie pan takiego, za przeproszeniem, «Mośka» do konfidencyi przypuszcza... jemu gdzie...

— Dosyć! Nie wtrącaj się! — przerwał ostro Światowidzki.

— Ja się też nie wtrącam, tylko powtarzam, co panowie mówili...

— Kto mówił? Kto mówił? — pytał pośpiesznie Światowidzki.

Kamerdyner spojrział z pode łba na swego pana i uśmiechnął się chytrze.

— A no któżby, jak nie kasyer? Ho, ho! Pan kasyer to życzliwy pan... niema co! Jemu do kasyerstwa, jak mnie do stolarki. Język ma, bo ma, i miele nim od świtu do wieczora. Przyszli tam po jakieś pieniądze, pana Herszkowicza nie było i dawaj zaraz wrzeszczeć po całym biurze: będzie plajta! będzie plajta!...

Światowidzki wstrząsnął się od stóp do głów.

— Ja sobie myślę—prawił dalej Jan,—co to może być plajta, aż dopiero inkasent powiada

mi, że to niby jaśnie pan ma «zbankretować.» Ale chyba to jeszcze byłoby nie prędko. Gdzie zaś!...

— Pleciesz głupstwa, ośle!

— Toć wiem! Nie chwałący się, sam się rozumowi jaśnie pana dziwuję. Temu Łankowszczykowi należało się, dawno się należało. Takie to harde. Już i na pokoje do jaśnie panienki zaczął chodzić!... Wczoraj to bez mała trzy godziny przesiedział...

Światowidzki postanowił przerwać tę drażniącą go rozmowę i urwał pytaniem:

— Dlaczegoż to stróże miejsca wymówili?

— A, proszę jaśnie pana...

— Odpowiadaj krótko!...

— Kiedy... tak samo pytał ich się pan Herzkowicz, a oni... ot, ciemni ludzie, powiedzieli, że krzywdy nie mają, że im płacą dobrze, tylko im się przekpiwania innych stróżów naprzykrzyły i dłużej tego ścierpieć nie mogą...

— Jakie przekpiwania?... — zaczął Światowidzki. — Cóż za przyczyna... do porzucenia służby?... Troi ci się w głowie!

— Mnie, proszę jaśnie pana, nie, ale im pewnie. Bo tłumaczyli, że cała ulica śmieje się z nich, że...

— Że... co?...



— Że, proszę jaśnie pana, u parcha służą!..

Przy ostatnich słowach Jan instynktownie cofnął się w tył, i na swoje szczęście, bo Hilary w uniesieniu wierzgnął tak silnie nogą, iż stojące obok krzesło upadło o kilka kroków, opodał łóżka.

Kamerdyner spojrział na twarz pana i przestraszył się. Twarz była blada, usta zsiniałe, wargi drżące. Wreszcie głowa prezesa pochylała się na poduszki. Hilary omdlał.

Kamerdyner wnet narobił alarmu. Zbiegła się służba i natychmiast zabrała się do cucenia Hilarego razem z Janem na czele. Atoli cucenie w dość niespodziewany sposób zostało przerwane, bo gdy troskliwy kamerdyner pochylił się nad głową swego chlebobdawcy z flaszką wody kolońskiej w rękę, został nagle pochwyconym za włosy i z niezwykłą siłą powalonym na ziemię. Tę siłę... reprezentował omdlały prezes...

A był w tej chwili pan Hilary straszny! Z najeżonym na łysawej głowie włosem, z oczyma krwią nabiegłymi, z kurezowo zaciśniętymi ustami, z brwią ściągniętą w niekształtne fałdy, wydawał się uosobieniem furii...

Służba na widok groźnej postawy pana rozpierzchła się. Jan, wpół czolgając się i stękając z bólu, umknął za innymi.

Jak długo trwał paroksyzm gniewu pana Hilarego, nie wiadomo, to pewna, że na drugi dzień zjawił się w swej sali audyencyjonalnej bledszy niż zwykle, ale zimny i na pozór panujący nad sobą.

W sali czekał już na prezesa daleki jego krewny i finansista na mniejszą skalę, Dyonizy vel Dawid Wattman.

Światowidzki miał bardzo liczną rodzinę, która stanowiła jego sztab i świtę, zawdzięczając po większej części swój byt i egzystencję łaskom Hilarego. Wprawdzie prezes nie dlatego świadczył dobrze swym krewniakom, żeby miłością ku nim pałał, lub chciał odpowiedzieć obowiązkom bogatego krewniaka. Nie, on po prostu chciał wytworzyć oddaną mu partję, wierną klikę. Wyciągał więc po kolei z błota i nędzy najdalszych krewnych, rzucając im kości do ogryzienia...

Rodzina Wattmanów ze swoim głównym przedstawicielem Dawidem trzymała w otoczeniu Hilarego pierwsze skrzypce. Liczniejszą przedstawicieli byli po większej części drobnymi przedsiębiorcami kolejowymi, przemysłowcami, kupcami. Krzewili wśród współwyznawców moższowych kult dla Światowidzkiego, dorabiali się powoli majątków, sami uważając swego do-



broczyńcę nieomal za cadyka. Kilku z Wattmanów, za przykładem prezesa, porzuciło chałaty i synagogę, przechodząc na łono protestantyzmu, a w głębi duszy pozostając skrytymi sprzymierzeńcami bóżnicy. Najwybitniejsze jednakże miejsce zajmował Dawid Wattman, przekształcony na Dyonizego, i Lejzor, znany powszechnie jako... Ludwik. Pierwszy starał się o mir w sferach kupiectwa i dzięki poparciu Hilarego był nawet wybranym na sędziego; drugi zaś, Ludwik, odgrywał rolę mecenasa w świecie artystycznym, zgromadzając w salonie swoim śpiewaków, muzyków, malarzy, a przy okazji... prowadząc hurtowy skład fortepianów.

Pan Dawid zjawił się dzisiaj u Światowidzkiego w niezmiernie ważnym interesie. Starszy zgromadzenia kupców Stanisław Kraun, zasłużony kupiec, hurtownik, ustępował z zajmowanego stanowiska; miały nastąpić nowe wybory... Oczywiście wyznawcom mojżeszowym zależało bardzo na tem, aby na tak ważnem stanowisku mieć... «życzliwego» sobie człowieka... Takim «życzliwym» i «godnym» człowiekiem był... właśnie Światowidzki. Pan Hilary od dawna ze swej strony aspirował do mandatu starszego zgromadzenia kupców, bo zapewniało

mu to pod wielu względami przewagę i mogło dzielnie dopomagać w przeprowadzeniu różnych spraw i interesów... Akcja przedwyborcza była od dawna rozpoczęta, a wybory miały nastąpić w końcu bieżącego tygodnia. Więc skoro pan Światowidzki ujrzał skuloną postać Dawida, uśmiechnął się doń przyjaźnie i zagadnął uprzejmie:

— Jak się masz, Dyziu! Cóż tam masz mi do powiedzenia? Siadaj, proszę cię!

Dawid wydał wargi, poprawił spadające mu wiecznie z nosa binokle, pogładził łysinę i zaczął zniżonym głosem:

— Niedobrze... panie prezesie! Mamy dwóch kunkurentów: Karola Flenkiera i Edmunda Wede. Nie wiem, czy się im da radę. Stare rodziny kupieckie i powszechnie znane...

Światowidzki zamyślił się.

— Robi się co można — ciągnął Dawid, — nie żałujemy pieniędzy... naszych, jesteśmy zupełnie pewni, staną wszyscy, jak jeden mąż. Tylko w kółkach chrześcijańskich źle się dzieje. Dawniej to im było prawie wszystko jedno! Na wybory przybywała zaledwie dziesiąta część kupców... gojów... a teraz zjawili się wszyscy. Krzyk, wrzask... rozsyłanie list agitacyjnych...

— Mój Dyziu! Chociażby się nie udało... niema się czem przejmować—przerwał Hilary ze źle udaną rezygnacją. — Niech sobie będzie Flenkier, czy Wede... to mi w rezultacie wszystko jedno...

— Zapewne, panu prezesowi! Ale... nam, nam... potrzebna jest głowa pana prezesa. Bardzo potrzebna. Starszy zgromadzenia kupców... to przecież osoba... Duża osoba... Ma wpływy, ma wszędzie wstęp... Kto będzie nasze interesy popierał?... To byłoby całe nieszczęście dla nas...

— Nie tak strasznego, nie! Rób swoje, Dyziu, i nie martw się, nie zginiemy...

— Bo ja wiem... panie prezesie. Moja kadencja sędziego handlowego się kończy i myślę, że ona się już na zawsze skończy... Co oni zaczynają wyrabiać, to aż strach.

— Cha! cha!—zaśmiał się nerwowo Światowidzki — boisz się tej garstki burzycieli, awanturników, co się... tytułują antysemitami?

— Dlaczego ja się mam ich bać? Oni to najmniejsza. Ich nawet już wcale niema...

— Nie rozumiem.

— Więc pan prezes jeszcze o tem nie wie? Przecież już i ten... tygodnik «Gleba» przestał wychodzić...

— Taak?... A to bardzo dobrze.

— A czy pan prezes wie, dlaczego? Napisał odezwę do prenumeratorów, że, z powodu zaniku głupoty ludzkiej, nie widzą racji uczyć rozumnych solidarności, ani wytykać sztuczek semickich... Cieszą się ogromnie z pojawienia się komety i uważają swój cel za osiągnięty. Słyszane rzeczy? Na to wychodzi, że my już nie nie znaczymy... z nami nie trzeba się ani liczyć, ani nas się bać, bo my musimy ustąpić przed cyfrowo większą ludnością rdzenną. To straszne!..

— Dyziu! — mitygował z powagą Hilary. — Zastanów się! Właśnie tego nam było potrzeba. Cóż ci może szkodzić, że się ludzą takimi ciasnymi poglądami?

Wattman pokiwał smutnie głową.

— Daj Boże, panie prezesie, żeby się pańskie wielkie słowa sprawdziły... Na mój rozum... wołałbym, żeby sobie «Gleba» jak dawniej wychodziła, bo ta zapowiedź, to ich przekonanie, jest mi dzisiaj nieprzyjemniejsze, niż wszystkie dawniejsze napaści...

Światowidzki zmienił przedmiot rozmowy, czując, iż go obawy Dawida zaczynają drażnić. Zadał mu kilka pytań, odnoszących się do najbliższej rodziny Wattmana, i pożegnał go pro-

tekeyonalnie, tłómacząc się brakiem czasu... Nie bardzo się to zgadzało z rzeczywistością, bo Światowidzki zdawał się mieć czasu więcej, niż zwykle...

Niewesołe zaczęło się życie dla Światowidzkiego. Co dnia przybywało i trosk i kłopotów. Wszystkie najpewniejsze kombinacye rozbiły się kolejno o jakiś chiński mur nieublaganej logiki—logiki, której on nie rozumiał i nie spodziewał się. Nici biegu spraw i operacyi rwaly się, a Światowidzki czuł wiszący miecz Damoklesa w postaci bankructwa, mogącego zdruzgotać cały ten gmach jego finansowej potęgi, z takim trudem wzniesiony. Hilary nie poddawał się zwątpieniu i walczył o każdą piędź usuwającego się mu z pod nóg gruntu. I kto wie, czyby nie zwyciężył, gdyby nie wyrastające dookoła niego, niby z pod ziemi, nowe społeczeństwo... podejrzliwe i nieufne.

Działy się po prostu rzeczy niesłychane. Oto firma: «H. G. Światowidzki» straciła nagle zaufanie. Dlaczego? Nikt dokładnie wyjaśnić nie umiał. Wprawdzie straty na akcyach były ogromne, ale Światowidzki był przecież milionerem, mogącym jeszcze cięższą stagnacyę przetrzymać...

Tymczasem owe dziesiątki i setki drobnych kapitalistów, zebrzących nieomal dawniej o przyjęcie ich sum i oszczędności... w ciągu niespełna dwóch tygodni zażądały zwrotu zdeponowanych pieniędzy. Kellisch, chcąc ratować sytuację, wypowiedzenia bowiem dosięgły półtora miliona, zapowiedział podwyższenie stopy procentowej. Ale nie tylko że nie zażegnał przez to niebezpieczeństwa, lecz je spotęgował, bo na wieść o podniesieniu procentu przez dom «H. G. Światowidzki,» nawet starozakonni pośpieszyli po odbiór swych oszczędności. Natomiast Hilary chciał podtrzymać swą godność bankierską i polecił zwracać pieniądze zgłaszającym się, bez względu na terminy wypowiedzenia... Taka gotowość płatnicza powinna byłaby niezawodnie wpłynąć uspokajająco... Gdzie tam! Ludzie się na tem nie umieli poznać. Światowidzki był zmuszonym wyzbyć się kilku domów, dla osiągnięcia gotowizny, i... w końcu zrezygnował ze swej wspaniałomyślności, przestrzegając, zbyt późno może, warunków umów.

Wycofanie tak wielkiej gotowizny z obrotu, upadek akcji, a w końcu zastój w prowadzonych przez Światowidzkiego przedsiębiorstwach musiał podkopać milionową fortunę. Zbladła gwiazda Hilarego.

Z drugiej strony Światowidzki gorąco pragnął uregulowania własnych interesów i wycofania się z rozlicznych przedsięwzięć, w przekonaniu, że w obecnych warunkach spekulacje stają się bronią obosieczną. Kiedy więc zdrada Figelberga stała się faktem stwierdzonym, a o porozumieniu się z Papenkleinerem i Meinersolinami nie mogło być mowy, wówczas Światowidzki wydał rozporządzenie zbycia wszelkich akcyj w możliwie najkrótszym czasie.

Herszkowicz z Kellischem rozwinęli cały swój spryt i dowcip, starając się podnieść kurs papierów i w dogodnej chwili sprzedać je. Giełda atoli była nieubłaganie obojętna. Fuszerka robót, prowadzonych na odnodze Jedlińskiej przez Fignera, wymagania plantatorów buraków dla cukrowni, wreszcie zawieszenie wypłat przez kilka naraz firm handlowych usposabiało giełdę apatycznie. Akcje spadły do nominalnej swej wartości, a przy nieprzychylniej najmniej nawet pogłosce straciły zupełnie pokup.

Najgorzej było z akcjami kolei krajowych. Protest urzędników wydziału rachuby, następnie zaś nadużycia, wykryte przez jednego z wydalonych inżynierów, mocno kompromitujące Hilarego, zniewoliły go do złożenia mandatu prezesa kolei, a tem samem do wyrzeczenia się

wplywu na kurs... «Krajowe» mogła jeszcze podnieść jaka fajerwerkowa wiadomość o budowie nowej linii, wzrastającym ruchu towarowym, czy o uzyskaniu wyjątkowych ulg taryfowych lub przywilejów... Teraz, z chwilą przymusowego ustąpienia z prezesostwa, Światowidzki mógł zaledwie zdobyć się na zwykły manewr bankierski... a tego było za mało. Z początku żył nadzieję osadzenia na prezesostwie swego «strohmana,» ale takiego pod ręką nie było, władze zaś paraliżowały dalszą zwłokę. Kierownictwo objął młody inżynier Klódkiewicz, i tak energicznie zajął się doprowadzeniem do porządku urzędów kolejowych i poprawieniem bytu oficyalistów, że najbliższy rok sprawozdawczy nie rokował nawet dywidendy. Hilary, jako główny akcyonaryusz, mocen był nie zezwolić na modyfikację budżetu, ale... wypowiedzenie walki Klódkiewiczowi mogłoby ujawnić niejedną z licznych sztuczek byłego prezesa... Światowidzki był bezsilnym. Akcyje krajowe wyprzedawał po nominalnej cenie, czując, że lada chwila spadną do połowy rzeczywistej wartości.

Kandydatura na starszego zgromadzenia kupców spelzła na niczem. Mimo wszelkich zabiegów i agitacji Wattmanna, pomimo jednomyślnego oświadczenia się wyborców semickich



za Hilarym... powołanym został Karol Flenker, powszechnie znany przemysłowiec chrześcijanin. Był to poniekąd fakt niesłychany. Wprawdzie kupcy chrześcijanie zawsze liczebnie przeważali kupców żydów, atoli grzeszyli dotąd albo brakiem poczucia solidarności, albo niezrozumieniem własnego dobra. Semici tłumili walki partyjne i, stawiawszy się jak jeden mąż, forsowali swego kandydata; chrześcijanie zjawiali się w niewielkiej liczbie i z rozstrzelonymi głosami.

Porażka, poniesiona przez Światowidzkiego, była zarazem niesłychanym zwycięstwem nad semitami. Dla porządku należy zaznaczyć, iż do upadku kandydatury przyczyniło się głównie zajęcie z Błażejewiczem. Ten oststni, nie mogąc znaleźć dowodów, usprawiedliwiających twierdzenie, że «Nowa ekonomia polityczna» i cały szereg prac, do autorstwa których przyznawał się Hilary, jest jednym brudnym geszeftem więcej, zabrał się do opublikowania historii powstania artykułów o «Skutkach zrywania traktatów pokojowych państw europejskich.»

Światowidzki, pragnąc na każdym kroku osiągnąć uznanie i wpływy, przed rokiem właśnie rozpoczął druk szeregu artykułów w wyżej wymienionej kwestyi — artykułów, będących owocem uciążliwych studyów Błażejewicza,

a podpisywanych inicjałami «H. G. S.» Otóż owe referaty miały właśnie ukazać się w oddzielnej odbitce i w kilku naraz tłumaczeniach, co ze względu na sumienność Błażejewicza i jego głęboką wiedzę ekonomiczną... zapewniłoby niewątpliwie uznanie... Światowidzkiemu. Ponieważ Błażejewicz miał w ręku rękopisy swoje, notatki, korekty, a nawet listy Hilarego, nagłać o pośpiech, przeto nie omieszkiał z nich skorzystać i w najbliższym numerze «Wiadomości społecznych» wytknął postępowanie Światowidzkiego... Skutek był piorunujący. Wszystkie dzienniki w ślad za «Wiadomościami» potępiły Hilarego, a «Akademia przyjaciół nauk» wykreśliła go z grona swoich członków...

Światowidzki chciał bądź-co-bądź ratować sytuację. Za pośrednictwem tedy Meinera proponował sówite wynagrodzenie Błażejewiczowi, byleby odwołał swój protest. Nic to nie pomogło. Poniewierany i nieuznany nie ustąpił i w dalszym ciągu rozpoczął źródłową krytykę prac statystycznych wielkiego finansisty, wytykając setki rozmyślnych błędów i cyfr naciąganych.

W rezultacie wiara w «głęboką wiedzę» Hilarego raz na zawsze zachwiana została. Błażejewicza zaś niespodziewanie wzięła w opiekę

«Kasa imienia Pocziwskiego, dla osób pracujących na polu naukowem.»

Najgorzej ze wszystkich wyszedł na tem Meiner. Hilary nie mógł mu przebaczyć, że nie zgębził Błażejewicza i nie zmusił go do kapitulacji. Meiner stracił łaski i zeszedł na zwykłego faktora, bez prawa do zaufania i sekretnych misyi b. prezesa.

Zawiedziony w swych planach i projektach Hilary gotował się do nowej walki, jaka miała wybuchnąć w łonie «Towarzystwa ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków.» Prezes tego Towarzystwa, stary książę Dłubomilski, złożył mandat, chorowity kuzyn barona Wartemberga, Lucyan Wartemberg, i «słomiany» dyrektor hrabia Męcierski pomarli, należało przeto dokonać nowych wyborów. Głównymi akcyonaryuszami Towarzystwa ubezpieczeń byli Meinersohnowie, Figelberg, Światowidzki, baron Wartemberg i Papenkleiner; ponieważ zaś do porozumienia przedwyboreczego między nimi nie przyszło, ogólne zebranie przeto zapowiadało nieuniknioną burzę. Nadmienić wypada, że «Towarzystwo» miało dotąd zarząd przeważnie obywatelski i uchodziło za instytucję ziemiańską, a to dzięki Józefowi Lińskiemu, pełniącemu

obowiązki dyrektora zarządzającego i umiejętnej reklamie.

Światowidzki do wstępnego boju zabrał się nader umiejętnie. Swoje ośmset akcyi rozdzielił między dwudziestu urzędników i dawszy im dokładną instrukcyę postępowania, stawil się wraz z nimi na zebraniu. Przewodniczył baron Wartemberg, sprawozdanie przedstawiał znany synekurzysta towarzystwa Lizorański, przy pomocy naczelnika Częstochowskiego.

Po załatwieniu przedwstępnych formalności i zatwierdzeniu sprawozdania z roku ubiegłego, przystąpiono do właściwych obrad. Światowidzki, który wchodząc do sali posiedzeń, ufał swojej przewadze i dobrze zorganizowanej partyi, ze smutkiem i tłumioną złością rozglądał się po obecnych. Kogo tu nie było! Książę Jan Tomkiewicz z synem, hr. Przesmycki, Rudowski, Moryś Pustogłowski, radca Liwiński, Tryskal-ski i cały tłum nieznanych mu postaci, nie licząc Neo, Papenkleinera, Meinersohnów, Szwarcwanda i Figelberga. Hilary ze zdziwieniem patrzył na ten zbity tłum akcyonaryuszów, dotąd nigdy na ogólnych zebraniach Towarzystwa ubezpieczeń niespotykany; w końcu, nie mogąc pohamować ciekawości, zagadnął z cicha Papenkleinera:

— Panie Juliuszu! Powiedz mi pan, co się tu dzieje? Skądże się tu wziął Tomkowicz i ten Pustogłowski?...

— Bo ja wiem! — odparł Papenkleiner, wzruszając ramionami. — Mówili mi na giełdzie, że podobno Figelberg i Szwarewand sprzedali znaczną część akcyi...

— Co pan mówi? Przecież to szaleństwo!... Wyzbywać się akcyi ubezpieczeniowych... jedyne pewnego papieru!...

— Co pan chce? Każdy się musi ratować...

— Jakto ratować?! — szepnął niepewnym głosem Hilary.

— Panu się może zdaje, że oni długo pociągną? Cha, cha!... Ja myślę, że Figelberg już ma paszport za granicę.

Światowidzki zbladł, przypomniawszy sobie, że dom bankowy Figelberg i Szwarewand ma u niego kredyt otwarty. Papenkleiner zaś ciągnął dalej, wykrzywiając swoją i tak już pomarszczoną twarz:

— Tak, tak! Dziś będzie na zebraniu nowina. Może być bardzo wielka nowina... bo Wartemberg trzy czwarte akcyi ustąpił arystokracyi... Patrz pan, ten gruby Kranicki, największy geszefciarz hrabski, już tu jest... Bę-

dzie za to o całe trzy domy tandeciarsko budowane mniej...

Rozmowę Światowidzkiego z Papenkleinem przerwał głos dzwonka prezydującego, wzywający zebranych do porządku.

Pierwszy wystąpił z mową radca Liwiński, domagając się radykalnej reorganizacji Towarzystwa. Piętnował bez ceremonii wykrętą działalność Lizorańskiego, który zdołał wmówić w dyrektora Lińskiego, że Towarzystwo ubezpieczeń ma obowiązek poparcia towarzystwa konkurencyjnego, a żyda pośredniczącego w przeprowadzeniu interesu osadził na korzystnej posiadzie. Następnie wykazywał protekcyonizm i nepotyzm niektórych naczelników, śrubujących na posady faworytów... pożyczających stale pieniądze od swych podwładnych... W końcu zaś obstawał za wydaleniem wszystkich synekurzystów, dowodząc, że posada radcy Głupiszecznego jest zbyt dużą, że Lizorański bierze pieniądze nie wiadomo za co, a dyrektor Neo nie ma wyobrażenia o interesie asekuracyjnym.

Po przemówieniu Liwińskiego powstał wśród zgromadzonych groźny szmer. Nie wiadomo było na razie, czy zebrani protestują przeciwko słowom radcy, czy przyznają mu słusność.

Z kolei zażądał głosu Tryskalski. Poparł w zupełności zarzuty Liwińskiego i ze swej

strony podkreślił samowolę dyrektorów, którzy za pomocą rachunku tymczasowego dopuszczają się nadużyć, podnosząc znaczne sumy, jakoby na rachunek wynagrodzeń za zarząd i dodatkowe czynności.

— Nie chcę — mówił Tryskalski — czynić zarzutu nieobecnemu i powalonemu chorobą dyrektorowi zarządzającemu, panu Józefowi Lińskiemu; lecz rozprężenie, jakie panuje w Towarzystwie ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków, samowola pewnych osobistości, zmusza mnie do zwrócenia uwagi ogólnego zebrania na staranniejszy wybór przyszłych członków zarządu! Instytucya potrzebuje kierowników, nie zaś manekinów, szerzących nepotyzm, protegujących lokajstwo i sprawiających to, że jeden lub dwóch ludzi prowadzi ją na pasku, podporządkowując stale interesy ogółu akcyonaryuszów interesom własnej kieszeni.

Wystąpienie Tryskalskiego wywołało wybuch. Hałas i gwar powstał nie do opisania. Ze wszystkich stron domagano się głosów, a dzwonek przewodniczącego napróżno starał się przywrócić ład i porządek. Zewsząd wyrwały się okrzyki: Precz z synekurzystami! Wyrzucić ich!

Neo chciał odpowiedzieć, zdobył się jednakże na kilka frazesów banalnych i umilkł. Wstał

zaperzony Lizorański, ufając, że swoją wymową, o której sam... wiele trzymał, zażegna burzę... ale wrzawa zagłuszyła na samym wstępie jego słowa.

Kiedy ogólny hałas się uciszył, zabrał głos prezydujący Wartemberg, ubolewając nad smutnym objawem braku poczucia obowiązków i gorąco polecając uwadze wyborców ważność obsadzenia wakujących mandatów. Przeciagle oklaski były odpowiedzią na przemówienie prezydującego. Przystąpiono do głosowania: asessorowie zebrali kartki wyborcze i oddalili się dla dokonania obliczenia. Wartemberg ogłosił kilkominutową przerwę.

Światowidzki, przed oddaniem swej kartki wyborczej, upomniał raz jeszcze swoich «strohmanów,» wybadawszy poprzednio Papenkleinera. Partya finansistów miała głosować za Hilarym, Papenkleinerem, Neo, Krejkiem i Szwarzewandem. Figelberg, korzystając z pauzy, podszedł do Światowidzkiego i zaczął usprawiedliwiać się z niedotrzymania danego słowa.

— Panie Hilary — mówił, gładząc rude faworyty, — nie bierz mi pan tego za zle... musialem. W każdej innej chwili uwierzyłbym w skuteczność pańskiego projektu giełdowego, ale teraz nie mogłem. Ludzie dzisiaj wiedzą



nieomal, jak trawa rośnie... Przepadlibyśmy tak samo, jak i tu przepadniemy.

— Zapewne — odrzekł cierpko Hilary, — że musielibyśmy przepaść, skoroby panom przyszła ochota do niespodziewanego odwrotu. Wyprzedaliście akcyje ubezpieczeniowe, z waszej więc tylko winy nie osiągniemy większości.

— Co pan mówi! Przecież Meinersohnowie sami mogliby przeważyć szalę wyborców. Mają z górą 2,000 akcyi.

— Tak... A zatem sprawa wygrana!...

— Wygrana sprawa? — wtrącił Papenkleiner, nadsluchający z boku rozmowy Światowidzkiego z Figelbergiem. — Panie Hilary, pan nawet nie wie, gdzie jest dziura w moście... Meinersohnowie wycofali się już z naszego kółka, oni zaczynają teraz odgrywać rolę wielkich obywateli... Bądź pan pewien, że ich głosy nam przedewszystkiem zaszkodzą. Tłómaczyłem im... oni mówią, że im chodzi o dobro stowarzyszonych. Pan to rozumie? Ładna historia!...

— Kochany panie Juliuszu, ja się niczemu nie dziwię... Przed dwoma tygodniami przecież pan Figelberg cofnął dane mi uroczyście... *hej-rym!* Myślałem...

— Za pozwoleniem! — przerwał Papenkleiner. — Pan Stanisław mógł go cofnąć... prze-

cież pan dawno przyjąłeś luteranizm... Zresztą, ja myślę, że pan Figelberg terazby wszystko cofnął, nawet całą swoją filantropię... Co?... Prawda?...

Figelberg roześmiał się z przymusem, ukrywając pomieszanie, a Papenkleiner ciągnął dalej:

— Bardzo głupie czasy nastaly. Dzisiaj nikomu wierzyć nie można. Taka solidna firma, jak H. Berse, zrobiła plajtę...

— Co?!.. — wykrzyknęli prawie jednocześnie Figelberg i Hilary.

— Nieprzyjemna wiadomość. Aha! Trudna rada! Plajta jest i basta. Niejeden zapłaci za Bersego.

— Panie Juliuszu — perswadował Światowidzki — to nie może być! Taka poważna firma! Przed dwoma zaledwie laty rozszerzyła swoje magazyny, pobudowała wspaniałe gmach, robiła milionowe obroty.

— I cóż z tego? Czasy się zmieniły, moda w łeb wzięła i cała paryska blaga musiała zbankrutować razem z panem Bersem. Od dwóch tygodni podobno Berse ani pięciu kopiejek nie utargował.

— Przepraszam — zaczął zdławionym głosem Figelberg, — jabym musiał coś o tem wiedzieć...

— Czy dlatego, że i pana Berse zarwał? Przed dwoma godzinami byłem w sądzie handlowym za intereselem w sprawie rozwiązania spółki fabryk cukru (podły interes!) i właśnie przyniesiono klucze od zakładów Bersego! Chyba wiadomość pewna... A i to panom powiem, że to najuczciwsza plajta pod słońcem. Towarów jest masami, ale cóż, kiedy wszystkie gałganki straciły wartość. Nawet moja synowa od tygodnia już nowej sukni nie kupiła. A sprawozdawczyni od strojów damskich, pani Naftal, założyła sobie sklepik z szarem mydłem, He... he!... Ja sobie mówię, jak przed rokiem humorysta z «Muchy»... a tu panowie asesorowie wracają. Wolalbym, żeby wcale nie wrócili.

Na sali powstał ogólny szmer. Głos przewodniczącego obwieścił otwarcie posiedzenia.

Jeden z asesorów rozpoczął odczytywanie protokołu wyborczego. Światowidzki usłyszał kolejno cały szereg obcych i nieznanych mu dotąd nazwisk... Zarząd Towarzystwa ukonstytuował się z osób przez finansistów niepożądanych. Opozycja tryumfowała na całej linii. Papenkleiner spluwał z irytacji.

Hilary, chcąc dokładnie zbadać liczbę głosów, zażądał okazania mu protokołu. Wziąwszy do rąk urzędowy ten dokument, z przerażeniem

zauważył, iż niektórzy z nowych mandataryszów otrzymali tak wielką liczbę głosów, że najwidoczniej podstawieni przez Światowidzkiego figuranci musieli nadużyć jego zaufania...

Powróciwszy tedy do domu, Hilary przywołał swych urzędników i w bardzo ostrej formie zaczął im wyrzucać niegodny ich czyn, jakiego się dopuścili, nie żałując odwoływać się do etyki i uczciwości.

Ofycjaliści wysłuchali cierpliwie słów swego chlebodawcy i, ku wielkiemu zdumieniu bankiera, wręcz oświadczyli, że starając się najgodniej w świecie odpowiedzieć powierzonym im chwilowo tytułom akcyonaryuszów — głosowali za tymi, których uznali za najodpowiedniejszych.

Światowidzki zachnął się niecierpliwie i odwrócił plecami do urzędników. Co było z nimi gadać! Zdradzają go... nawet ten Kellisch i ten służalec Herszkowicz. Podły świat i nędzni ludzie, którym w niczem zaufać nie można... Hilary nie starał się przekonywać dłużej swych podwładnych o ich nieuczciwości... Dawniej umiałby sobie dać radę... rozpędziłby tę całą bandę na cztery wiatry. Dziś nie potrafi już zdobyć się na taki krok stanowczy.

Zima była za pasem. Lekkie przymrozki grudniowe pokryły wzorzystą powłoką zmarzniętej pary szyby okienne, lekki, puszysty śnieg ubielił dachy, kominy i ujął całe miasto w nieskazitelnej białości linie.

Światowidzki, po strawionej bezsennie nocy, zmęczony niewywczasem i nieubłaganą cyfrą ciągłych strat, wyszedł na miasto, chcąc się przejść i zażyć świeżego powietrza. W domu dusiło go nieomal, dławiło. Z każdego kąta pokoju spoglądało nań widmo bankructwa. Widok Toli, która od czasu zajścia z Łamkowskim była dziwnie poważną i zamyśloną, drażnił jeszcze bardziej Hilarego. Gdyby nie ona, nie jej upór, byłby może teściem księcia... co znakomicie podniosłoby jego znaczenie i pozwoliło na opanowanie sytuacji.

Światowidzki długi czas błądził bezmyślnie po ulicach, nie odpowiadając na pozdrowienia i nie zwracając uwagi na to, co się dookoła niego działo. Szedł jak człowiek nieprzytomny, oszomiony. Skręcał z ulicy w ulicę, przechodził z chodnika na chodnik, nie zważając, dokąd idzie i daczego idzie w tę, a nie w inną stronę.

Naraz ktoś go pociągnął za rękaw, a nad jego uchem rozległ się przeciągły głos:

— *Gut morgen, Herschele!*

Światowidzki odwrócił się i ujrzał przed sobą skulonego żyda w długim chałacie, gładzącego swą małą, rudą bródkę i uśmiechającego się doń przyjaźnie. Hilary, zaskoczony zniemacka, nie mógł się zdobyć na razie na odpowiedź, a żydek tymczasem ciągnął dalej.

— Aj waj, Herschele! Jaki się z ciebie wielki człowiek zrobił... Cały pan! Ty nie poznajesz rudego Jojny? Przecież myśmy razem mieszkali u Kleinstokowej... Możesz ty zapomnieć stare Bajle?... Una ciebie pamięta. Jak może zapomnieć?... taki dżdżyc jadł z nami łokszyne i przy szabasie siedział. To przecież jest hunor! Bardzo duży hunor...

Hilary, początkowo stropiony, opanował już pierwsze wrażenie, i mierząc z góry uśmiechającego się ciągle Jojnę, zapytał wyniośle, sięgając do kieszeni:

— Więc czego chcesz?

— Czego ja mam chcieć? Ja się cieszę, Herschele, żeś ty mnie sobie przypomniał. Niech tobie będzie na zdrowie. Zmieniłeś się bardzo, wyglądasz jak goj... ale to trudno, tobie przecie cycele i chałat już nie pasują.

— Dziękuję, dziękuję i macie tu... — przewrwał Światowidzki, wtykając kilkorublowy banknot w rękę Jojny i pragnąc coprędzej uwolnić

się od niespodziewanego spotkania. Jojne wzdrgnął się i cofnął rękę.

— Herschele! Czy to ja jestem żebrak? Chcesz pomódz Jojnie... to może masz jakie stare spodnie, stare kamasze, ja kupię, zapłacę do brze...

— Ależ... skądże? — niecierpliwil się Światowidzki.

— Nu... przecie ja wiem, Herschele... ja tobie co powiem! Tyś wielki bankier, bardzo sławny bankier, ale co tobie szkodzi zrobić parę dobrych interesów z Jojną? Żebyś ty kazał tylko w swoim pałacu, coby mnie do ciebie wpuścili, jabym znalazł! Ajaj... jakie ty masz garderobe! byłoby z tego ładne pare czapkes... A może masz butelki? Ja i butelki kupię, dlaczego nie?...

Światowidzki czując, że nie odczepi się od natrętnego Jojny, odwrócił się i szybkim krokiem zmierzał do stojącej nieopodal dorożki; stary znajomy jednak, niezrażony zachowaniem się bankiera, biegł za nim, tłómacząc zapalczywie korzyści z proponowanej przez siebie transakcyi...

— Herschele, Herschele, posłuchaj! Ty masz *a feine kepele*! Sprzedasz trochę starego ubrania, kilka butelki i prawie za nic weźmiesz ładne parę złotych. Po co ma zarobić twój lokaj, kiedy

ty zarobić możesz? Ja wiem, ty masz śliczną córeczkę, una się nazywa Tolce. Jójne wszystko wie. Możesz jej zaraz zrobisz przyjemność... kupisz jej *hajse babkes*, albo może makegigi... Ciebie to nic nie będzie kosztować, Herschele! Teraz są bardzo ciężkie czasy. Podobno wszystkie nasze żydki (na psa urok!) zgłupieli, a goimom przyplynał nagle rozum do głowy. Przez czego ty nie chcesz zrobić interesu? Herschele, ja przyjdę. Ty powiedz, że jak przyjdzie Jójne, co z tobą mieszkał u Chasia Bajle, żeby mnie do ciebie wpuścili. *A giten Tag!* Herschele!

Turkot uwożącey Hilarego dorożki zagluszył ostatnie słowa Jójny. Światowidzki odetchnął. Ucieleśnione widmo jego przeszłości znikło narazie, w duszy jednak bankiera obudziło cały szereg wspomnień.

Z tym rudym Jójną chodził przecież do chederu i od tego samego melameda i tą samą brudną, wyszczerbioną linijką brał po łapach. Później jednocześnie stawiali pierwsze kroki na polu ulicznego handlu, rozpoczynając od *«hejse reczennikes...»*

Chasia Bajla. Pamiętał ją doskonale! I nie tylko ją, ale i kulawą Dwojrę, ślepa Golde



i kiwającego się po całych dniach nad talmudem reb Arona.

Powróciwszy bardziej zdenerwowanym do domu, niż był z niego wyszedł, zastał Hilary oczekującego nań Figelberga. Pomny na złamanie słowa Światowidzki przyjął go zimno i ceremonialnie. Figelberg jednak, niezrażony przyjęciem, poprosił Hilarego o chwilę rozmowy na osobności. Kiedy znaleźli się sami, zażądał przedewszystkiem wykazu wiarytelności, należnych od niego Światowidzkemu. Bankier natychmiast polecił sporządzić tymczasowy *conto corrent* i w niespełna kilkanaście minut doręczył Figelbergowi obrachunek, wykazujący różnicę *debet* w sumie trzech kroć sto tysięcy.

Figelberg, który, oczekując na wyprowadzenie sumy, wiódł jedną z tych zwykłych rozmów «o niczem,» nagle spowaźniał, zamyślił się i po chwili milczenia zaczął tonem stanowczym:

— A zatem... może pan... panie Hilary, stracić te... trzykroć sto tysięcy!

Światowidzki spojrział na Figelberga jak na waryata.

— Tak, panie Hilary... Jesteśmy bankrutami... Nie jesteśmy w stanie zaspokoić dzisiejszych wypłat... lada chwila kasyer nasz zamknie okienko...

— Panie Figelberg! Pan sobie kpiny robisz! Jaktło!.. więc potoś pan do mnie przyszedł, ażeby mi powiedzieć, iż mnie zarywasz na trzy kroć!..

— Nie, broń Boże! Chciałem tylko powiedzieć panu otwarcie, że jestem bankrutem i że... od bankruetwa możesz pan mnie tylko uchronić!

— Ja? — wykrzyknął z gniewem Hilary.— Ja miałbym panu podać rękę? Ja, którego na tak wielkie narażasz pan straty? Nigdy! Czy pan słyszy?

Figelberg nie zdawał się wcale być zbitym z tropu wybuchem Światowidzkiego.

— Panie prezesie!..

— Dajmy spokój tytułom!

— Jak się panu podoba. Otóż... panie Hilary! Tu bynajmniej nie idzie o podanie ręki firmie «Figelberg i Szwarcwand,» ale o uchronienie od strat firmy «H. G. Światowidzki...» Akcye nas zjadły ze szczerem i przypuszczam, że nawet najradykalniejsza pomoc pańska nie ocaliłaby sytuacji. Jednak pan możesz odwlec katastrofę... i tem samem zapewnić sobie odbiór sumy należnej, a nam dać sposobność do zabezpieczenia przeszłości.

— O cóż więc idzie? Proszę tłómaczyć się wyraźniej.

— O bardzo prostą kombinację. Jeżelibyśmy w ciągu dwóch godzin zdołali wydostać skąd dwa kroć gotowizny, ogłoszenie bankructwa odwlekłoby się na jakiś miesiąc.

— Dobrze! Lecz przecież ja nie rozporządzam taką ilością gotówki.

— Przepraszam, ale weksle moje, zażyrowane przez pana, będą natychmiast zdyskontowane w «Kredycie powszechnym.» Idzie tylko o podpis pański, gdyż ja cały swój kredyt wyczerpałem.

— Nie, panie, to rzecz niemożliwa! Ja miałbym wystawiać weksle! Nigdy!...

— Jak się panu podoba — odparł zimno Figelberg; — pragnąłem szczerze wyjść z panem przyzwocie, bo ja w rezultacie jestem tu w tej całej kombinacji za nawiasem.

— Ależ, bo... mój panie! Jestem zarwany na trzy kroć, a pan proponuje mi zapłatanie się na pół miliona! Gdzież ewikcyja, że jeszcze i te dwa kroć nie przepadną?

— Aa! Właśnie, że ewikcyja jest. Nawetbym nie śmiał występować z podobną propozycyją, nie dając panu zupełnej gwarancyi. Oto są wykazy hipoteczne pięciu naszych posesyi,

ocenionych z górą na milion, a oto plenipotencya do działania mego współnika Szwarewanda. Akt jest przygotowany do podpisu, sporządzony według wszelkich form prawnych. Podpisuje go też natychmiast pod rygorem wniesienia do hipoteki na jutro, a pan zażyruje mi te oto weksle. Chyba pewnoś jest? A nawet i bardzo suty procent, chociażby uwzględniając obecny spadek cen domów. W tych warunkach domy już od dzisiaj przestaną należeć do masy upadłości.

Światowidzki jał rozpatrywać uważnie przedstawione mu papiery i znalazł je w należyтым porządku. Nie mógł atoli stłumić pewnych wątpliwości.

— No, dobrze. Przypuśmy, lecz przecież akt kupna i sprzedaży należałoby zeznać przed rejentem.

— Hm! Bez wątpienia. Tylko, że jest to na razie niemożliwem, bo tu idzie o każdą minutę.

Jakby na potwierdzenie słów Figelberga, w gabinecie rozległ się dzwonek telefonu. Kellisch zapytywał Światowidzkiego, czy jest u niego Figelberg, bowiem telefonują do niego w nader ważnym i pilnym interesie. Hilary polecił połączyć jego telefon ze stacją centralną, aby

Figelberg mógł się rozmówić bezpośrednio. Po chwili telefon dał nowy sygnał. Do aparatu podszedł Figelberg i podał drugą słuchową tubkę Hilaremu, aby był niewidzialnym świadkiem rozmowy.

— Kto przy telefonie?

— Ja, Kuhband. Czy pan Figelberg?

— Tak, to ja. Cóż tam nowego?

— Nie wiemy, co robić. Mamy płacić trzydzieści tysięcy Silberhaara w Kielcach, niema pieniędzy. Czekać, czy odmówić wypłaty?...

— Za dziesięć minut dam panu odpowiedź.

Telefon dał sygnał na rozłączenie. Figelberg zwrócił się do Swiatowidzkiego:

— Słyszalesz pan? Pańskie ostatnie słowo?

Hilary, przycisnięty do muru, wil się jak pi-skorz. Bał się stracić trzech kroć, a nie mógł się zdecydować na wystawienie weksli. Figelberg atakował ostatnimi argumentami:

— Panie Hilary! Przecież chyba wie pan o tem doskonale, że umowa prywatna obowiązuje na równi z rejentalną. A więc, przewidując moją złą wolę i niestawienie się u rejenta, byłby pan co najwyżej narażony na koszta kontrawencyi stemplowej. Na to zaś chyba panu wystarczy, jeżeli pan weźmie za pół miliona milion?... A zresztą dłużej nie mam ani

celu, ani ochoty namawiać pana. Jestem sam mocno zdenerwowany i struty... Żegnam!...

— Czekaj pan... Panie Stanisławie, a czy nie daloby się odłożyć tej operacyi do jutra? Ka-  
załbym panu zaliczyć owe trzydzieści tysięcy...

— Nie, niemożliwe! Mam poza tem kilka-  
dziesiąt przekazów, więc albo muszę wyrzucić te  
dwa kroć, albo zamknąć bank. Innej drogi wyj-  
ścia niema. A zatem?

Hilary, po pewnem wahaniu, jeszcze raz  
skontrolował starannie papiery i chwycił drżącą  
ręką za pióro.

— Kiedy panowie ogłaszacie bankructwo?

— Za dwa tygodnie. Dla pana ta okoli-  
czność obojętna, bo jutro już będziemy u re-  
jenta.

— Dobrze, każe zamówić sporządzenie odpo-  
wiednich aktów.

Figelberg na przygotowanym dokumencie  
podpisał się zamasyście. Hilary cyfrował we-  
ksle.

Po wymianie weksli na akt sprzedaży, Fi-  
gelberg pożegnał Światowidzkiego i pośpieszył  
do Kredytu Powszechnego. Hilary rozpatry-  
wał machinalnie dokument, znajdując go pod  
każdym względem dokładnie wypracowanym  
Przytem z zadowoleniem przyznawał w duchu,

że, bądź-co-bądź, zrobił dobry interes, bo i zagrożoną należność ocalił i nadto zarobił w ciągu godziny jakieś czterdzieści procent. Ta cała operacya może się niejednemu nie podobać, ale skoro rzecz załatwiona prawnie, wolno drwić sobie z całego świata... W tem przekonaniu Światowidzki nabrał otuchy, a choć prześladowała go postać rudego Jojny, zjadł obiad z niezwykłym apetytem i po raz pierwszy od dwóch tygodni wypogodził oblicze.

Na drugi dzień z rana zameldowano mu przybycie Papenkleinera. Światowidzki wyszedł poprzedzej na jego spotkanie, przekonał się bowiem, że to jedyny człowiek, z którym można było jeszcze traktować...

Papenkleiner powitał go w zwykły swój hałaśliwy sposób:

— Witam kochanego prezesa! Dawno nie miałem przyjemności!

— Dzień dobry. Jakże zdrowie? Co słyhać nowego?

— Moje zdrowie? Zwyczajny groch przy drodze. A co słyhać? słyhać nową plajtę...

— Któż taki znów?

— Kto? Panie, pan się jeszcze pyta? A Szwarewand z Figelbergiem może już się napił grodziskiego piwa w Otloczynie.

Światowidzki zmieszał się.

— Więc... wyjechali?

— Naturalnie. Mieli tutaj siedzieć może... to byłoby dla nich za długo. Już skończone. Cała buda opieczętowana. He, he!... A pan, panie Hilary, dużo zarobiłeś na tym interesie?...

— Ja? — bąkał Światowidzki — nie wiem... choć zabezpieczyłem się właściwie.

— To bardzo dobrze. Ja zrobiłem toż samo. Przyznam się panu, nawet dołożyłem im parę groszy na drogę. Niech sobie mają. Ja czułem plajtę od dawna, mówiłem panu jeszcze dwa tygodnie temu. Panie, to szwindlarze! Ajaj! Jak oni tylko zaczęli prześcigać w filantropii wszystkie bezdzietne hrabiny, zaraz sobie powiedziałem: tu jest szwindel! Te całe dobrodziejstwo to był kawał.

— Prawdziwie się cieszę, że pan daleś sobie radę.

— Powiem panu otwarcie, zarobiłem jeszcze. Winni byli mi trochę, dołożyłem im i mam dzisiaj pięć wspaniałych posesyi.

— Pan żartuje!

— Po co ja mam żartować? Patrz pan, nie dalej jak wczoraj był u mnie Szwarewandi sprzedał mi je. Wprawdzie nie mam aktu rejentalnego, tylko prywatny, i mogę mieć trochę kłopo-



tu, bo masa będzie kwestyonowała ważność umowy, sporządzonej w przededniu bankructwa, lecz z tem sobie dam w ostateczności radę. Ale... panie Hilary, co panu jest?... — wykrzyknął Papenkleiner, widząc zmienioną twarz Światowidzkiego.

— Nic... nic... przejdzie... — szeptał zdławionym głosem były prezes, chwytając gwałtownie powietrze.

Papenkleiner tłumaczył ze współczuciem:

— To weale nie jest nic! To jest cała jakaś paskudna choroba... ni z tego ni z owego uderzenie do głowy... Trzeba się poradzić lekarza i do wód wyjechać...

Światowidzki odzyskał zwolna przytomność, i nie odpowiadając na troskliwe uwagi Papenkleinera, wyjął z biurka zwój papierów i podał go «królikowi» cukrowemu.

— Poznajże pan przyczynę mojej choroby.

Papenkleiner wziął do rąk papiery i zaczął czytać. Im dłużej zagłębiał się w ich treść, tem bardziej ręce mu drżały, a blada twarz tem żywszym pałała rumieńcem. W końcu, nie mogąc zapanować nad ogarniającem go oburzeniem i bezsilną wściekłością, zerwał się z fotela i, mierząc wielkimi krokami gabinet, wykrzykiwał:

— Złodzieje! Łajdaki! A żydy fałszywe! Taki szwindel! Ja im nie daruję! Pod ziemią ich znajdę! Do więzienia gałganów wsadzę!...

— Oszustwo... oszustwo na wielką skalę. Jedną i tę samą własność dwa razy sprzedali. Szwarewand panu, a Figelberg mnie.

— Co to dwa razy! Oni mogli sprzedać piętnaście razy. To są zwyczajne nożowniki! Tu niema czego zwlekać! Trzeba jechać do sądu, do prokuratora. Trzeba aresztować... Telegramy rozesłać. To nie są żadne pasywa, ale ordynarna kradzież! A mysygenes!

Światowidzki zadzwonił i polecił służącemu przywołać Herszkowicza i Kellischa. Długo trwały narady. Hilary i Papenkleiner postanowili działać solidarnie. Zawiadomili policję, zakrzętnęli się około zredagowania telegramów gończych i wystosowania odpowiedniej skargi do sądu. Kiedy już wszystkie kroki w celu pochwylenia oszustów były ukończone, a Światowidzki został znów sam na sam z bankierem w gabinecie, Papenkleiner westchnął, cmoknął przeciągle ustami i zaczął poważnie:

— Panie Hilary. I cóż pan myślisz o tych... tych łotrach?...

— Co ja myślę?—wybuchnął Światowidzki.—  
Że ten ich szwindel wpakował mnie w głupie  
interesa...

Królik cukrowy kiwnął przecząco głową.

— Nie, panie — odrzekł — ja się nie o to  
pytałem. Ja chciałem powiedzieć, że oni mieli  
zawsze spryt do handlu. Bardzo duży spryt!  
Wiesz pan, to było ślicznie pomyślane.

— Przyznam się — odparł ironicznie Świa-  
towidzki, — że nie zdobyłbym się na apoteozo-  
wanie złodziejstwa, które zwłaszcza skrupiło się  
na mojej skórze.

— Panie Hilary, to jest głupstwo. A ja zaro-  
biłem? Może mi ta strata pomoże? To wcale  
się nie nazywa szczęście. Tfy!... Ale oni mają  
rozum... piękny rozum... Czego pan, panie Hi-  
lary, ruszasz ramionami? Czy to była zła dla  
nich kombinacja? Ja sam jestem wściekły, lecz  
sprawiedliwy... Panu się zdaje, że tylko pan  
masz kłopoty?... a czy pan wiesz, co mi zrobili  
w Towarzystwie węglowem?

— Cóż takiego? — zainteresował się Świato-  
widzki.

— Dwadzieścia pięć lat używałem sobie jak  
szara gęś. Jak powiedziałem słowo, to było  
święte. Ja pisałem bilanse, ja robiłem sprawo-  
zdania, ja wyznaczałem dywidendę i zbierałem

kapitały rezerwowe, zawsze miałem słabość do rezerwy... a teraz... teraz przyszedł do mnie Vatermilch i wiesz pan, co on do mnie powiedział? On do mnie powiedział, żebym ja mu pokazał książki. Jakie książki? Memoryał... księgę główną... korespondentów!... Dwadzieścia pięć lat ja rządziłem... i gdyby kto śmiał powiedzieć Juliuszowi Papenkleinerowi, żeby mu jeden rachunek pokazał... to od tego miałem ludzi, żeby go zakrzyczeli. Teraz... ja się pytam pana Vatermilch: na co panu książki? On mówi: ja chcę sprawdzić. Ja mu powiadam: panie Vatermilch, nie mogę zadość uczynić pańskiej prośbie. A on na to: panie Papenkleiner, ja nie proszę, ja żądam... I czy pan wiesz, co on mnie pokazał? On mnie pokazał kwit na złożone akcyje węglowe... O dwadzieścia ma więcej niż ja!... Drobni kapitaliści się zebrali, dali mu plenipotencję... i ja zostałem sam, jak dziura w mście... Ach! panie Hilary!... zdawało się, że miałem w ręku parę ładnych interesów, a dziś nie mam nic.

— Hm! — szepnął sentencyonalnie Światowidzki. — Jest to pańska wina.

— Moja wina?—wybuchnął Papenkleiner.— Pan chyba żartujesz? Pokaż mi pan choć je-

den interes do zrobienia, pokaż mi takie przedsięwzięcie, któreby się nie zachwiało.

— No przypuśćmy, nie umiem go wymienić w tej chwili, ale są z pewnością. Muszą być, bo przecież jeden traci, drugi korzysta. To jasne.

— Właśnie, panie Hilary, pan się grubo mylisz. Ja pana przepraszam, lecz pan chyba nie widzisz, co się dzieje! Niema już głupich, więc niema i dobrych interesów. Dwa, trzy od sta można mieć, ale nie dwadzieścia, ani pięćdziesiąt. Zobacz pan cedulę giełdową, co się zrobiło z markami. Parę miesięcy temu mówiliśmy o tem, jak one stoją, a dziś zupełnie przestały stać. Dlaczego? Bo nikt nie z zagranicy nie sprowadza, nikt za granicę nie wyjeżdża... chyba ten, co musi. Dawniej taki szlachcic, on musiał mieć konie cugowe, lokai, fortepiany, grał w karty, troszkę wyrzucał pieniądze za okno... Myśmy tego nie robili, tylkośmy zbierali i pożyczali mu. Dziś on także zaczął już zbierać. I jeszcze gorzej, bo się przestał klócić i hałasować, a wziął się do roboty...

— Może to i prawdziwe, co pan mówi — przerwał Hilary. — niemniej jednak znalazłoby się niejedno do zrobienia. Na przykład interesy «ratowe,» parcelacya, choćby wreszcie lombardy...

Papenkleiner rzucił się niecierpliwie na fotelu i po namyśle chwycił za kapelusz.

— Jest pan pobity, co? — zagadnął nie bez zadowolenia Światowidzki.

— Pobity? — powtórzył przeciągle Papenkleiner.—Pobity na całe dwa kroć. Życzę panu szczerze być takiej dobrej myśli, tylko ja nie chcę wiedzieć o tych dobrych interesach.

Tydzień upłynął od chwili opisanej powyżej rozmowy Papenkleinera z Hilarym. Poszukiwania Szwarewanda i Figelberga nie osiągnęły żadnego rezultatu. Przepadli, jak kamień w wodę. Obadwaj bankierzy przestali się nawet ludzi nadzieją zemszczenia się na oszustach i ze smutną rezygnacją zaczęli wyglądać terminu zaciągniętych zobowiązań. Dzień ten zbliżał się powoli, lecz i z nieubłaganą stanowczością. Światowidzki kręcił się jak mógł, wytężał usiłowania, latał wypłaty czem się dało, byle przetrzymać tę stagnację. Stanowcza chwila w końcu przyszła: Herszkowicz przedstawił mu wykaz wymagalnych sum i zapytał: co robić?

— Co robić?—szepnął machinalnie bankier — zobaczymy... później zobaczymy...

Sekretarz wyszedł, a Hilary zatopił się wrozmysłaniach. Co robić? Widział się już na skraju przepaści, w którą miał się stoczyć. On, na

złotym piedestale stojąc, wynosił się ponad ten szary tłum, rozkazywał mu i wstrząsał nim. Z niego wyszedł i znów doń miałby powrócić?... Nie, nigdy, bodaj wszystkich środków użyć, wszystkich sposobów, byleby utrzymać się na stanowisku. Stanowisku! Niestety, były to resztki aureoli, jaka go niegdyś otaczała... Skompromitowanego sponiewierano i jeszcze chcą mu wytrącić z rąk ostatnią broń — złoto! I co robić? Kredyt jego był mocno zachwiany... jeden krok fałszywy, jedno uchybienie terminu — i czeka go... ruina!

Przecież robił co mógł. Ograniczył się w wydatkach, zmniejszył służbę, personel biurowy; od dwóch miesięcy nie pozwolił sobie na żaden większy wydatek... Nic nie pomogło. Strata za stratą, klęska za klęską. On, Światowidzki, w ciągu tego czasu zarobił raz... na tych wehikułach, kupionych od Tomkowicza! Śmiechu warte!...

Potok nadpływających myśli przerwał Hilaremu lokaj, który mu podał na tacy bilet wizytowy Leny Molskiej.

— Ona tutaj! — skrzywił się niechętnie Światowidzki i już miał rzucić niedbale służącemu, że nie przyjmuje, gdy tknięty po prostu chęcią

oderwania się na chwilę od gnębiącej go troski, skinął przyzwalająco.

W kilka sekund we drzwiach dał się słyszeć lekki szelest; w gabinecie zjawiała się Lena, lecz jakże niepodobna do tej dawnej baletnicy! Ubrana skromnie, nawet z pewną dozą niewinnego zaniedbania, w jakimś ciemnym kapeluszu, zatraciła ów szyk, charakteryzujący ongi jej strój i upodobania. Twarz jej jaśniała spokojem i powagą — zalotne uśmiechy i wyzywające spojżenia zniknęły. Hilary mimowoli odnalazł różnicę i nie mógł ukryć zdziwienia.

— Ach... to pani... Lena?...

— Cóż, nie poznajesz mnie, prezesie? Czy tak się zmieniłam?

— Na awantaż... na awantaż... — odrzekł Światowidzki, siląc się na uśmiech. — Proszę, niech pani... Lena spocznie... czem mogę służyć?

— Dziękuję! I proszę cię, abyś się nie wyilił na komplementy, bo to wcale nierozczulający anachronizm.

— Skądże znowu... prawda! — ciągnął z gansanterią bankier.

— Dobrze, dobrze! Niech i tak będzie. O tem kiedy indziej! Przyszłam w interesie... więc od interesu zaczęę.

— Jestem zawsze na rozkazy...



— Kochany prezesie, jak widzisz, przyniosłam z sobą żelazną kasetkę...

— Widzę i dziwię się, że tak swoje prześliczne rączki tyranizujesz...

— Oh, jakiś ty niezdolny! Wyświadczyć mi łaskę i daj spokój wszelkim zdawkowym grzecznościom! Owóż po zerwaniu z szambelanem zostałam osamotnioną. Czekałam na twoją odpowiedź i doczekać się nie mogłam.

— Słowo honorrru... najdroższa moja stokrotko... nie mogłam...

— Znów zaczynasz! Przestań samego siebie ośmieszać! Nie chciałeś... nie mam do ciebie pretensyi, a nawet wieszczę zastanowienia. Nie o to mi idzie. Nie zgłosiłeś się i nikt się zgłosić nie chciał.

— To niemożliwe!... taka piękność, żeby nie znalazła wielbiciela.

— Nie znalazła — potwierdziła energicznie Lena.—W tych warunkach postanowiłam skończyć, za przykładem moich koleżanek, na deskach scenicznych. Wiadomo ci zapewne, że dyrektor teatryku «Podkasanej Muzy» bardzo chętnie angażował odpadki pół-światka!

— Cóż ty wygadujesz?

— Mówię, co myślę. Zrobiłam podanie, miałam dwie próby i... odprawiono mnie z kwi-

tkiem, usprawiedliwiając odmowę tem, że oprócz powierzchowności jest potrzebny i talent, i to talent pozbawiony reputacji gabinetowej. Trudno, musiałam przyznać w duchu, że mają niezaprzeczoną rację. A zatem obliczyłam moje kapitały i mam zamiar oddać je jakiemu przedsiębiorstwu...

Światowidzki życzliwie się uśmiechnął. Lena mówiła dalej:

— Ponieważ zaś jednocześnie zmieniam cały tryb życia, przeto, między innymi, przystępuję do zrealizowania pamiątek. Przez lat kilka darzono mnie różnemi kosztownościami, dziś chcę je spieniężyć i przychodzę do ciebie...

Hilary uczuł się niemile zdziwionym.

— Ależ... ja przecie nie kupuję takich przedmiotów.

— Zapewne. Jeżeli jednak rozważysz dobrze moją propozycję, to może się namyślisz. Przewszystkiem zobacz!

Molska otworzyła kasetkę. Hilary był olśniony blaskiem i grą kolorów drogich kamieni. Czego tam nie było! Olbrzymie brylanty, rubiny, szmaragdy, perły, topazy, szafiry. A wszystko w bogatych złotych oprawach, misternie wyrobionych. Światowidzki okiem znawcy przy-

glądał się kosztownościom. Lena tłómaczyła zasady proponowanego interesu.

— Idzie mi o gotówkę — mówiła;— nasi jubilerzy są biedni i sami po większej części nie mają równie cennych biżuteryi. Wszystko zagraniczna robota. Cóż? chcesz, prezesie?! Ani Pustogłowski, ani szambelan pieniędzy nie żalowali, a ja znów byle czego nie brałam... No, ile to podług ciebie jest warte?

Hilary, milcząc, przebieirał powoli kolie, pierścionki, bransolety, medaliony, zapinki, wreszcie zawyrokował z przekonaniem:

— Hm! to jest majątek...

— Bez wątpienia. Sprzedawać byle handlarzowi nie chcę, całości nie kupi i rozgada. A ja zaczynam dbać o swoją reputacyę. Lepiej późno, niż wcale. Więc krótko powiem: daj pięćdziesiąt tysięcy gotówką i kwita!... Dasz?

Hilary od razu nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Pięćdziesiąt tysięcy rubli, była to istotnie cena bajecznie niska. Za zawartość szkatulki można było z zamkniętymi oczyma dać i sto dwadzieścia. Był to interes nie do pogardzenia! Warszawski Bank Wekslowy, przyjmujący zastawy, odrazuby mu wypłacił sto tysięcy.

Wrodzona jednak ostrożność obudziła w Światowidzkim wątpliwości. A jeżeli kamienie są fałszywe!...

Molska instynktownie odgadła Hilarego.

— Słuchaj, jeżeli ci się zdaje, że to są imitacje, poślij do sprawdzenia, ja zaczekam...

— Jakto? — zagadnął zaambarasowany bankier.

— Przecież i ja się mogę mylić. Więc zatrzymam się u ciebie, bo nie będziesz chyba wymagał, bym szkatułkę tobie powierzyła...

Światowidzki był zdecydowanym. Kilkadziesiąt tysięcy same się doń napraszały. Jakby znalazł w tych ciężkich czasach! Puścił więc mimo uszu dwuznaczną uwagę Leny i postanowił zachować ostrożność, to jest bez opinii Meintera nie kupować.

Mejner znalazł się na drogich kamieniach, sam bowiem trudnił się pokatnym, niezbyt czystym handlem brylantami i niejednokrotnie był już przez bankiera powoływany na rzeczoznawcę.

Opinia zdetronizowanego powiernika wypadła nadzwyczaj przychylnie dla Leny. Meintera z nieklamany zachwytem chwalił czystość wody, piękność szlifowania brylantów, śnieżną białość pereł, kolor rubinów i t. d. Admiracya zgarbionego faktora była tak wielka, że Świa-

towidzki musiał hamować znaczącemi spojrzeniami jego pełne uniesienia wykrzykniki — słusznie się obawiając, aby się Molska nie cofnęła.

Po ukończeniu zaimprovizowanej na poczekaniu ekspertyzy, Hilary schował szkatułkę do kasy, a sam, poprosiwszy Lenę o chwilę cierpliwości, zeszedł na dół do kantoru po gotówkę.

Ciężkie to było zadanie. W kasie były pułki — ledwie parę tysięcy rubli kolatało się w olbrzymiej żelaznej szafie. Trzeba było uruchomić cały zastęp kantorowiczów i nawet głównego prokurenta, Kellischa, wysłać na miasto, aby za pomocą weksli zebrać potrzebną sumę.

Molska ledwie po dwugodzinnem oczekiwaniu odebrała umówioną kwotę. Światowidzki wręczając jej pieniądze, napomknął, że jeśliby miała kłopot z lokacją kapitałów, gotów jest przyjąć je na ośm od sta.

Lena parsknęła śmiechem.

— Prezesie, kpisz sobie chyba ze mnie! Ośm od sta! Chcesz widocznie, żebym się od razu pożegnała z pieniędzmi. Dziękuję za łaskę!

Hilary ucałował się niemile dotkniętym uwagą Molskiej, niemniej jednak był szczerze zadowolonym z dokonanego kupna. W tych ciężkich czasach kilkadziesiąt tysięcy mogło być jego zbawieniem.

Na drugi dzień rano Światowidzki wziął szkatułkę i pojechał do Banku Wekslowego. Prezes banku, stary Bergtochter, przyjął go natchmiast. Hilary w nader ostrożny sposób powiedział mu, z czem przyszedł, nadmieniając, że kosztowności właściwie nie są jego własnością... tylko proszono go o zastawienie.

Bergtochter wydał niedbaleusta i zaczął konfidencyalnie:

— Panie prezesie! Po co te omówienia? Gdyby to była i pańska własność, nie dziwiłbym się wcale. Teraz są takie czasy...

— Ależ... słowo daję, to nie moje!—usprawiedliwiał się Hilary, obawiając się, aby zastawienie klejnotów nie wywołało podejrzenia go o zachwianie się w interesach.

— Niech i tak będzie — potwierdził obojętnie Bergtochter i zadzwonił na dyrektora Banku, Ezechiela. — Zaraz się to oceni.

Ezechiel wziął kosztowności i poszedł z nimi do taksatora. Bergtochter bawił tymczasem Hilarego rozmową.

— Co słyhać dobrego, panie Światowidzki? Cóż? Nie macie wiadomości o Szwarzwandzie Figelbergu?

Hilary machnął ręką. Bergtochter prawil dalej:

— Ach, panie, okropne czasy!... Człowiek żyje ciągle bez jutra, nie wie, co go może spotkać. Klęska za klęską, krach za krachem... Co będzie dalej?

— Zapewne. Wolalbym wojnę; jeszczeby tyle strat nie przyniosła...

— Panie Hilary, co pan mówisz takie rzeczy o wojnie! To był zawsze doskonały interes! To był świętny interes! Takie na przykład dostawy dla wojska podczas wojny! Co?!

Światowidzki mimowoli cmoknął głośno z zachwytu i, mrużąc oczy, potakiwał:

— Pewnie, pewnie... Pamiętam doskonale. Kolosalne zyski! Ba... Gdyby teraz przyszła wojna! Panie, to ocalenie dla nas, jedyny ratunek dla całego świata finansowego!

— Taaak? — zdziwił się ironicznie Bergtochter — nie wiedziałem... A przecież pan sam byleś takim przeciwnikiem wojny! Tyle pan o tem pisał!

— Głupstwa, panie! Byłem przeciwnikiem, prawda, lecz w czasach pokoju... Co robić? Zdawało mi się, że i na tem możemy coś zyskać...

— Panie Hilary — zawyrokował uroczyście Bergtochter, — my nie powinniśmy się nareszcie ludzić. My, semici, tylko wówczas zarobić możemy, gdy się inni za lby ciągną, sami zaś po-

winniśmy żyć w zgodzie i popierać się wzajemnie. Ale ostrożnie i zawsze skrycie... Bo i co nam przyszło z awantury o Dreyfussa? Ile nas ona kosztowała i jaki jest rezultat? Partya antysemitów francuskich wzrosła, zsolidaryzowała się... Czyby nie lepiej było, gdyby jednego Dreyfussa licho wzięło?

Wejście dyrektora Ezechiela przerwało perorę Bergtochtera.

— I jakże tam, obliczone wszystko? — zapytał prezes Banku.

— Najdokładniej. Oto szczegółowy spis przedmiotów... ogółem sto czterdzieści pięć sztuk... ocenione na ośm tysięcy rubli... przyznana zaliczka siedm tysięcy pięćset...

— Co?... co?... — jękał pomieszany Światowidzki — ośm tysięcy? Pan żartuje! Chyba pomyłka... to nie może być... Przecież to są prawdziwe kamienie!

— Bez wątpienia, najczystszej w świecie wody.

Hilary odetchnął głęboko i obtarł zimny pot z czoła.

— Więc skądże panowie — pytał dalej spokojniejszym głosem — udzielają tak małej pożyczki? Przecież to warte blisko dwa kroć!

— Było warte — poprawił Ezechiel, — dziś kamienie spadły w cenie, prawie do pięciu procent



poprzedniej wartości. I my, nawet dając siedm tysięcy pięćset, ryzykujemy, bardzo wiele ryzykujemy.

Światowidzki był poruszony do żywego.

— Panie Bergtochter, to są niewczesne żarty! Kamienie zawsze swoją wartość mają. Powiedzcie, że nie chcecie dać pieniędzy, czy ich nie macie, ale nie prawcie mi nonsensów.

Prezes Banku Wekslowego ze współzuciem spojrzal na Hilarego.

— Panie — zaczął, — to, co powiedział pan Ezechiel, jest najuczciwszą prawdą. Pańskie kosztowności o tyle są coś warte, o ile są oprawne w złoto.

— Ależ! — szarpnął się niecierpliwie bankier.

— Pozwól pan! Złoto i srebro jest kruszczem od wieków uznanym za liczman zamienny w stosunkach handlowych, drogie zaś kamienie były zawsze artykułem mody. Ludzie lubili świecidła i błyskotki i chętnie się w nie stroili; dziś zarzucili ten prastary zwyczaj i każdy pośpieszył wyzbyć się ich. Z tego początkowo wynikała niżka ceny, a w następstwie, w skutek braku nabywców, zupełny jej upadek. Więcej dać nie możemy i niech pan wierzy, że czynimy to tylko dla pana... Zresztą możeby panu udało się

trafić na jakiego kolekcjonistę... taki prawdopodobnie ofiarowałby panu dziesięć, a nawet jedenaście, lecz trzeba na to amatora.

Hilary patrzył osłupiałym wzrokiem na Bergtochter, w głowie mu się kręciło. Te koszty prawie nie były warte! On dał za nie pięćdziesiąt tysięcy... stracił więc na czysto czterdzieści dwa!

— Jakże zatem, panie Światowidzki, czy się pan decyduje na cenę?—zapytał po chwili Bergtochter.

— Czy się decyduję? Dobrze... proszę... niech i tak będzie...

— W takim razie za trzy dni pieniądze będą przygotowane do podniesienia; zastrzegamy jednak sobie, w razie nowego obniżenia kursu, zapłacić po cenie ostatniej...

— Przepraszam... dlaczego za trzy dni?...

— Dlaczego?... bo nie mamy w tej chwili wolnej gotowizny — odrzekł z rubaszną otwartością prezes Banku. — A może — dodał — pan masz gotówkę?

Światowidzki wyszedł z Banku Wekslowego zdenerwowany i struty. Wyrzucił w błoto kilkadziesiąt tysięcy rubli... dał się podejść tej... ladażnicy! Ha! A przecież był pewnym zupełnie... Nie, — dzisiaj niczemu wierzyć nie można...

Niech się co chce dzieje! Musi... musi zbankrutować... o ocaleniu marzyć nie może. Trzeba myśleć, jakby coś jeszcze uratować.

Światowidzki, od czasu zajścia z Łamkowskim, córki prawie nie widywał. Ciągłe darować jej nie mógł uczucia dla młodego buchaltera. Ona wszak zniweczyła wszystkie jego zamiary i nadzieje, i pośrednio przyczyniła się do zachwiania interesów! Wprawdzie kilka razy sprawy domowe zniewoliły rozgniewanego ojca i rozżaloną córkę do zamienienia paru słów, — lecz zarówno jedna jak i druga strona unikała bliższych wyjaśnień. Światowidzki obawiał się, że córka może trwać dalej w uporze, i pragnął przez czas złamać ją. Tola zaś, mając w zachowaniu się ojca dowód trwającej ciągle niechęci do Łamkowskiego, nie chciała przez nawiązywanie rozmowy zaostrzać nieporozumienia. Więc Światowidzki spędzał całe dnie w gabinecie i sypialni, zapytując niekiedy służbę, czy panienka jest w domu, a Tola w towarzystwie miss Ketty prześadywała w swoich pokojach.

Kiedy Hilary powrócił po niefortunnej operacji w Banku Wekslowym do domu, i rzuciwszy się niedbale na kanapę, trwał w niemem osłupieniu, do gabinetu weszła niespodziewanie Tola.

Na widok córki, Światowidzki chciał w pierwszej chwili zerwać się z kanapy i przycisnąć ją do swej piersi, gniew jednak i rozgoryczenie wzięły górę nad uczuciami rodzicielskimi. Odwrócił głowę do ściany i, gdy Tola chciała go przywitać, szarpnął się niecierpliwie.

Bankierówna zdawała się wcale nie być stroponą zachowaniem się ojca, — przysunęła do wezglowia kanapy krzesło, usiadła i, po chwilowym namyśle, zaczęła cichym lecz stanowczym głosem:

— Papo! Tak dłużej trwać nie może... Proszę, wysłuchaj mnie i osądź... W tych warunkach życie staje się niemożliwym. Trujesz siebie i mnie najniepotrzebniej w świecie...

Hilary zerwał się z kanapy, obrzucił córkę gniewnem spojrzeniem i zapytał ostro:

— Czegóż chcesz?

— Wyjaśnienia.

— To zbytuczne. Kwestya jest zupełnie jasną. Skompromitowałaś się, zbezcześciłaś dom ojca, zrujnowałaś wszystkie pokładane w tobie nadzieje. Dosyć tego!

— Ojcze! — przerwała z mocą Tola — jestem pełnoletnią.

— Cha, cha! — zaśmiał się gorzko Światowidzki — grozisz, wymawiasz mi posłuszeń-

stwo! O! po tobie można się już wszystkiego spodziewać!

— Pragnę tylko utwierdzić cię w przekonaniu, że do Stanisława jestem przywiązaną szczerze i głęboko, i że postanowienia mego nie zmienię!

— Tak, naturalnie! Ojciec twój ma jeszcze mało zgryzot i zmartwień; chcesz mu ich dodać!

— Papo, na co te wymówki? Cóżem zawiniła, że on stanął na mojej drodze?

— Dobrze, dobrze! Jeżeli nie masz nic więcej do powiedzenia, to... odejdz, zostaw mnie samego.

— Kiedy... bo to, o co chciałam prosić, stoi w związku...

— Więc o tem nie mów!

— Ależ, papo, idzie tu o dobro... nie tylko moje... ale interesów także.

— Interesów? Cóż takiego?

— Miss Ketty przyjaźni się z żoną Kellischa. Otóż wczoraj, pod wielkim sekretem, powodowana życzliwością dla mnie, przyznała się, że wie od Kellischowej o cichej zmowie twoich, ojcze, prokurentów. Należą do niej wszyscy, nie wyłączając Herszkowicza. Zmowa polega na tem, że chcą cię opuścić i przejść do Przesmyckiego, który, jak ci wiadomo, potrzebuje ludzi

do prowadzenia budowy dworca centralnego. Przytem Kellischowa otwarcie mówi o bankructwie naszej firmy...

— Łotry! — syknął przez zęby Światowidzki. — Mogłem się był tego po nich spodziewać.

— Ojczy — pytała zatrwożona Tola, — więc to prawda? Czyż bankructwo?...

— Ha... co tu ukrywać! Czasy są takie, że wszystko jest możliwe...

— To niepodobieństwo! Powinieneś ich oddalić, poszukać ludzi odpowiednich, zasługujących na zaufanie...

— Ludzi? Skądże ich wezmę? Nowych służalców, płaszczących się dla milego grosza, znajdę, ale nie takich, którym mógłbym wierzyć i którzyby mnie nie odstąpili w ciężkiej chwili.

— Wybacz, papo, jest to własna twoja wina. Mogłeś ich mieć i możesz...

— Nie rozumiem, o kim mówisz...

— Przecież o Łamkowskim. Napisz do niego, wezwij, a jestem pewną i przekonaną, że stawi się natychmiast... zwłaszcza, gdy mu otwarcie powiesz, że potrzebujesz jego pomocy. Wysłuchaj mnie, papo—mówiła, zapalając się, Tola;—to prawy człowiek i szlachetny. Tyle lat uczciwie pracował. Interesa twoje zna na wskrós, stałby się więc prawą ręką twoją. Jemu mógłbyś zaufać,

tenby cię nie zdradził. Bo i cóż zrobisz, gdy cię opuszczą?

— Nie, to niemożliwe! — bronił się niepewnie Hilary — twój stosunek do niego... Nie, jabym tego nie zniósł!

— Ależ tu idzie o firmę... Pomyśl, ojcze, czy znajdziesz kogoś odpowiedniejszego? O mnie już nie myśl... Co się ma stać, to się stanie.

— Zobaczę... nie wiem... — zakonkludował Hilary.

W rzeczywistości Światowidzki wcale się nie namyślał. Odkrycie miss Ketty było zbyt wielkiej wagi, aby je lekceważyć. Niecierpiał tego Łamkowskiego, nienawidził go, ale szło o dobro interesu. Dumnym zaś nie był nigdy, był tylko pysznym. Teraz pycha jego chwiała się razem z fortuną. Więc jeszcze tego samego dnia wysłał list do Łamkowskiego, pełen uprzejmych wyrazów i serdecznych zwrotów, aby mu darował chwilowe uniesienie... i pośpieszył doń z pomocą w przykrych chwili. «Liczę na Pańską szlachetność i zacne serce — pisał Hilary; — nie miej urazy do człowieka, który mógłby być Twoim ojcem.»

Łamkowski nie zawiódł nadziei Toli — stał się na drugi dzień u Światowidzkiego, i jakby nigdy nie, powrócił do swoich zajęć dawniejszych.

Nadto, spełniając sekretne polecenie bankiera, starał się zbadać dokładnie cały bieg interesów firmy.

Tymczasem ostrzeżenie miss Ketty miało się sprawdzić. Jakoż po ukończeniu jednej ze zwykłych codziennych konferencyi, jakie Herszkowicz i Kellisch mieli z Hilarym, a które ograniczały się obecnie do bardzo przykrego pytania: skądby wziąć pieniędzy?— prokurenci przybrali nagle bardzo uroczyste postawy i poprosili o chwilę rozmowy dodatkowej, w sprawie osobistej.

Światowidzki był na to przygotowanym, więc za całą odpowiedź włożył ręce w kieszenie i, mierząc pogardliwym wzrokiem stojących przed nim oficyalistów, wycedził przez zęby:

— Bardzo mi przykro, ale ja nie mam nic z panami do pomówienia. Żegnam!

— Przepraszam pana prezesa — odparł śmiało Kellisch, — ale my mamy... właśnie.

— Właśnie — przerwał groźnie Światowidzki, — właśnie chciałem powiedzieć panom, że jestem z was niezadowolony, że straciłem do was zaufanie, że was dłużej trzymać nie będę, że możecie sobie u kogo innego miejsca poszukać... ja mam was dosyć!



Prokurenci oniemieli. Spodziewali się wszystkiego, lecz nie tego, aby Światowidzki zdołał ich uprzedzić. Hilary spostrzegł to pomieszanie i złośliwy uśmiech zaigrał na jego bladej twarzy. Kellisch próbował nadrabiać miną.

— A to bardzo dobrze się składa, bo my także zdecydowaliśmy się...

— Na co się zdecydowaliście? — zawołał Hilary, nie dając przyjść do słowa Kellischowi i naciskając nieznacznie guzik dzwonka elektrycznego. — Ośmielacie się tu jeszcze głos podnosić! Tego już zanadto!

We drzwiach ukazał się służący. Światowidzki nabrał pewności siebie.

— Panie Kellisch, panie Herszkowicz, ja was oddalam... w tej chwili. Józef, wyprowadź panów i powiedz w kantorze, żeby mi więcej ani pana Kellischa, ani Herszkowicza nie wpuszczali. Po obrachunek do kasy proszę jutro, a... świadectwa możecie dostać, lecz takie, na jakieście zasłużyli.

Hilary, po tych słowach, wyszedł do drugiego pokoju, trzaskając drzwiami. Herszkowicz spojrział na Kellischa, Kellisch na Herszkowicza, zdziwieni, zaskoczeni wystąpieniem bankiera.

— Izydor, słyszałeś? — zagadnął z cicha Kellisch.

— Dlaczego nie miałem słyszeć! Ładna historia! Myśmy chcieli odejść, a on nas wypędził...

— No, no! — wtrącił się służący Józef z bezczelną miną usamowloniętego sługusa. — Jasnio pan powiedział «wynosić się!» to się wynosić i nie gadać, bo nie miejsce po temu!...

— Cicho bądź! Ty... ty... chamiel! — wrzasnął Herszkowicz.

— Tyś sam cham! Słyszysz! Patrzcie go! taki żydziak będzie mi tu wymyślał! — zawołał groźnie Józef, kontent, że nareszcie może się zemścić za poniewierkę, której mu nigdy były sekretarz Światowidzkiego nie szczędził.

— Izidor! — mitygował Kellisch — chodźmy! Co ty się będziesz z takim łobuzem wdawał w rozmowy...

Poważny bankier tymczasem za boki trzy mał się ze śmiechu, że mu się koncept udał. Ani się spodziewali! Wpadł w wyśmienity humor, bo czuł się samym sobą. Dawniej był zawsze taki stanowczy, nieugięty i uprzedzający Kellisch i Herszkowicz znali wprawdzie smutny stan jego finansów i mogą mu szkodzić, ale, bądź-co-bądź, osłabił ich przez wydalenie. Świadek był, więc już nie będą mogli rozgłaszać, że usunęli się sami, widząc krach nieunikniony...

W świecie giełdowym wiadomość o dymisji roznie sie szybko i wszystko, co teraz oni powiedzą, będzie uważane za złośliwą plotkę. Czy plotkę?! Światowidzki się wzdrygnął. Dzisiaj właśnie miał mu Łamkowski szczegółowo przedstawić wykaz pasywów i aktywów. Hilary bezwiednie obawiał się prawdy cyfr... Od miesiąca nie liczył, bo się liczyć bał. Dawniej, dawniej cyfra sprawiała mu zadowolenie, rozkoszował się jej prostotą i szczycił się. Odkąd zaczęły się straty, czyli odkąd zginęła głupota, zniemawidził cyfrę i unikał.

Odkładał z dnia na dzień ostateczne porozumienie się z Łamkowskim, bo nie śmiał wyzbyć się ostatnich złudzeń. W końcu zwłoka dalsza okazała się niemożliwą. Więc i dobry humor, wywołany zadowoleniem z samego siebie, przysnął niebawem. Za parę godzin miała nastąpić stanowcza rozmowa, mająca zdecydować o całej jego przyszłości.

Jakoż Łamkowski stawiał się o naznaczonej godzinie z pliką papierów. Światowidzki powitał go nie bez pewnego drżenia w głosie. Młody buchalter, wyniesiony od dwóch dni na głównego plenipotentą firmy «H. G. Światowidzki,» był niezwykle poważny i zamyślony.

Rozłożył papiery, wydobyl rozsuwany ołówek i, odchrząknawszy, przystąpił do przedwstępnych wyjaśnień, omawiając upadek papierów procentowych, reorganizację powszechną instytucji, zmiany ustroju społecznego i t. d.

Hilary słuchał z początku cierpliwie, wreszcie, zaniepokojony zbyt długim może wstępem, zebrał się na odwagę i zapytał wprost:

— Panie Stanisławie! Pojmuje pan moja gorączkową niecierpliwość. Więc zanim przejdziemy do szczegółów, zechciej mi pan udzielić kilku krótkich odpowiedzi.

— Proszę.

— Jak pan znalazłeś interesa?

— Żle, bardzo źle...

— Co to znaczy: źle? — szepnął Hilary, tamując oddech.

— Że... bankructwo jest nieuniknione; za tydzień, najpóźniej za dwa tygodnie mogą być już pierwsze protesty!...

Światowidzki wpił nerwowo palce w wyściełane poręczce fotela. Po dłuższym milczeniu zagadnął głucho:

— Więc niema punktu wyjścia?

— Owszem, jest. Należy natychmiast wszystko likwidować.

— Likwidować?

— Tak jest. Choćby jutro. Według mego obliczenia, uratuje pan około stu dwudziestu tysięcy... Zawsze to majątek.

— Majątek! Dla pana, panie Łankowski, lecz nie dla mnie! Będę nędzarzem... biedakiem!..

— Niech i tak będzie. Jednak to lepsze, niż nic. A niestety, ręczę głową, że jeżeli pan natychmiast nie zacznie regulować interesów, to dwa tygodnie zjedzą pana doszczętnie. Chce pan walczyć z wiatrakami. Gotówki niema; dla pozyskania jej trzeba się szarpać, płacić procenty, marnować papiery. Podczas gdy ogólna likwidacya od razu uwolniłaby pana od wszelkich trosk i kłopotów. Zapewne, po milionach, tysiące nie mogą się panu uśmiechać; ale tego chce smutna konieczność.

Nagle oczy Hilarego błysnęły nową myślą.

— Panie Stanisławie, wszak mogę panu zaufać i wierzyć, że mnie pan nie zdradzisz?...

— Jeżeli pan ma wątpliwość, proszę mi nie mówić.

— Ależ wierzę święcie. Gdzieżbym panu nie wierzył! Widzi pan, ratować się trzeba... Likwidacya, oczywiście. Ale, czyby nie lepiej było inaczej? Panu się to wyda dziwnem, lecz i mnie już pozarywali... Po prostu, gdyby uciec za granicę?...

— Uciec? Hm, nie wiem. Doradzać panu tego nie mogę, co sam poczytuję za... złodziejstwo! Pozwolę sobie tylko zauważyć, że każdy uciekający zazwyczaj ucieka z czemś...

— Naturalnie... bez pieniędzybym tego nie zrobił.

— Tak sędzę. A wziąć pan nie ma skąd. W kasie pustki, a ani akcyi, ani nieruchomości tak prędko się pan nie pozbędzie. Ludzie mają się dziś na ostrożności, a szwindel Szwarewanda i Figelberga niejednego rozumu nauczył.

— Sądzi pan przeto?

— Że to się na nic nie zdało. W zasadzie zawsze odradzałbym panu wstąpienie na drogę występku, a w tym razie widzę także jego zupełną bezcelowość.

Hilary uczuł się nagle złamanym. Ostatnią deskę zbawienia odjęto mu. Głowę zwiesił i umilkł.

— Może pan pozwoli, że przedstawię teraz dane?

— Po co? Nie trzeba. Wierzę w zupełności. Jaki pan ma projekt likwidacyi?...

— Bardzo prosty. Jutro zawieszamy wypłaty, wymawiamy wszystkim posady, sprzedajemy kolejno wszystko, co da się sprzedać, i płacimy. Całą rzecz należy przeprowadzić

możliwie szybko, bo każda godzina jest drogą. A zatem, jak pan decyduje?

— Czy i pałac pan wliczył?...

— Oczywiście, stanowi on niemal główną pozycję aktywów. Położony w środku miasta...

— A... i meble? — pytał niepewnym głosem bankier.

— Ocenilem na dziesięć tysięcy.

— Więc wszystko... wszystko pójdzie na marnel... Taki majątek... taki ogromny majątek! — jęczał Hilary.

— Panie Światowidzki — upominał z przekonaniem Łankowski, — niech się pan nie poddaje. Fortuna kołem się toczy. Przecież żyć będzie pan mógł bez troski o jutro. Jeszcze to nie nieszczęście... mogłoby być gorzej!... Nie można dłużej samego siebie oszukiwać jakimiś nieusprawiedliwionymi nadziejami. Trzeba coś postanowić zaraz! A zdaje mi się, że wyboru niema. Więc?...

— Likwidować! — jęknął bankier — niech pan... jutro... zaczyna...

Łankowski próbował pocieszyć bankiera, lecz ten pozostał głuchym na wszelkie argumenty. Myśl jutra go przerażała, nie mógł się z nią oswoić. Jutro gwiazda jego świecić przestanie!...

On, Światowidzki, zejdzie na mieszcucha, z pałacu wyprowadzi się do najętego mieszkania! I służba, i konie, wszystko, wszystko przepadło!..

Buchalter, widząc, że z Hilarym dogadać się nie można, wysunął się po cichu z gabinetu i poszedł w kierunku apartamentu Toli...

Hilary bił się z myślami.

Nie, on nie może zgodzić się dobrowolnie na likwidację; Łamkowskiemu wierzy, milionyby mu zaufał, lecz on nie ma sprytu, wyrobienia!.. Najlepszym dowodem jego zdolności jest okoliczność, że, pracując u niego przez sześć lat, do niczego nie doszedł... Cyfry! Cyfry mogą być błędne. Czy to podobieństwo, aby taka fortuna mogła stopnieć w ciągu kilku niespełna miesięcy? Lokacye miał zawsze pewne, do interesów wątpliwych nie przystępował—skądże ruina?! Może, może być zachwianym; lecz do krachu mu daleko!..

Jakby dla upewnienia się, Światowidzki wyciągnął z biurka tekę z bilansami za lata ubiegłe i zaczął je przeglądać.

Ostatni bilans wykazywał dwadzieścia milionów czystego majątku.

Nie, to chyba żarty, kpiny! Gdyby więc stracił — stracił dużo, pozostałoby mu jeszcze dzie-



sięć, pięć milionów, przypuśćmy milion; lecz z milionem można jeszcze żyć, można w krótkim czasie stratę powetować.

Im dłużej się przyglądał bilansom, tem czoło jego stawało się pogodniejszem, jaśniejszem. W końcu parskał śmiechem serdecznym. To są po prostu... nerwy. Chwilowy rozstrój, przyémiewający logikę i zdrowy rozsądek. Figelberg, Szwarzewand, co innego. Ci uprawiali dotąd podejrzane interesy. Przed kilku laty już bardzo poważnie mówiono o ich możliwym bankructwie. Ale on wycofał się dawno z niektórych ryzyk, wypłynął na wierzch i drwił, byle fala zadławić go nie mogła.

Po długim namyśle, Hilary postanowił walczyć do upadłego. Tak, on przetrzyma stagnacyę, musi ją przetrzymać. Gdyby tylko znalazł człowieka odpowiedniego. Sam przecież nie był w stanie wszystkiego dokonać, zwłaszcza, iż chcąc walczyć, musiał jednocześnie chronić resztek otaczającej go dawnej aureoli wielkości. Tu trzeba działać różnie, a jemu nie wypada. Nie wypada dlatego, aby to ubliżało jego miłości własnej, broń Boże! tylko Światowidzki musi Światowidzkim pozostać i magnetyzować bezsilne, nieudolne tłumy.

Naraz przyszedł mu na myśl stary Hipolit Wieszkowski... Hilary ręce zatarł z ukontentowania.

Jedyny człowiek! Ten mu poprowadzi interesy. Jest to wprawdzie szczywany lis, kuty na cztery nogi, lecz zawdzięcza mu przecież wszystko. Kradł, co się zmieściło, obdzierał ludzi podczas budowy nowej linii kolei, ale... ma nerw! Prawdziwy jego człowiek. Dziś jest zamożnym obywatelem; skoro jednak on go wezwie, stawi się niewątpliwie — zbyt wiele mu zawdzięcza.

Światowidzki, nie zwlekając, jeszcze tego samego dnia wysłał do Wieszkowskiego list, zapraszający go na konferencję. Jakoż się nie zawiódł na swoim byłym inżynierze: o wskazanej godzinie Wieszkowski zjawił się u Hilarego. Powitanie było serdeczne.

— Kopę lat, panie Hipolicie! Jak zdrowie kochanego pana? Jakże się panu powodzi? Proszę, niechże pan spocznie.

Wieszkowski klaniał się uniżenie, ścisnął rękę Światowidzkiego; usiadł, odsapnął, i przewracając co chwila oczyma, zaczął szeplenić piśkliwie:

— Ziękuję, ziękuję, panu pieziesowi. Tsi-mam się... powoli. Sin mi umarł, jobuzował się ujwis, taka pociecha na staje lata!

— Pan ma kilku synów?

— Tiak, tiak, niećponie, na kiesień ojca pa-  
tsią. Intejesia nie bajdzio, tyle, zie wyzić można.

— Hm! — przerwał Światowidzki. — Mówiono mi, że przeciwnie, bardzo dobrze się panu powodzi...

Wieszkowski machnął ręką i chwycił się nerwowo za szpakowatą brodę.

— Aaa! Cio teś pan piezieś mówil! Psiecieś mój biatanek zbankiutował. Ziajwał mnie nie-  
poń, sielma, niegodziwieć...

— Przepraszam, jak nazwisko?

— Kamciński, panie pieziesie, miał spółkę z Wattmanem, diobii chłop... ale mu się zachciało przedsiębiorstwa kojowego na Sibeii, budował fabilkę ciementu i stiacil. Nie on stiacil, tilko miał machieja świagiejka... zmiajnowali, panie pieziesie, i mnie wykiejowali na trzydzieści tysięcy. Łobuzil!

— To przykra historia! O... ja sam nie miałem przekonania do tego przedsiębiorstwa. Tak, tak, słyszałem. Wattman i Kamciński. Wattman jest nawet, zdaje się, jakimś moim dalekim powinowatym... A jakże się miewa pańska żona?

Wieszkowski poruszył się niespokojnie na krzeselku.

— Moja ziona?... Umajła, panie pieziesie, dawno umajła.

— To dziwne. Ktoś mi przed kilku dniami mówił, że widział państwa oboje...

— Cio? To niemożliwe! A może... tak, pan piezieś pojmuje... bajdzio dawno umajła, gospodajstwo, więc tego... tsieba! O... to zacna osio-ba... piowadzi gospodajstwo. Ciałe gospodajstwo — jąkał zmieszany Wieszkowski.

Światowidzki spostrzegł, iż dotknął przykrej materyi, więc pragnąc zatuszować mimowolną alluzję, uczynioną do stosunku Wieszkowskiego ze swoją byłą kucharką, zagadał pośpiesznie:

— Panie Hipolicie, z prawdziwą przyjemnością patrzę na pana, bo uprzytomnia mi pan dawne dobre czasy. Pracowało się wówczas od świtu do nocy, bez wytchnienia, lecz co to były za świetne rezultaty, jakie obroty!

— Oj, to pjawda — szepnął z westchnieniem inżynier, smoktając przeciągle ustami.

— Dziś inaczej. Postarzeliliśmy się obaj, a i świat dzisiejszy jakby inny... Takich pracowników, jak pan, już niema dzisiaj, niema!

— Pan piezieś łaskaw...

— Słowo honorrh! Prawda! Co pan porabia wogóle? zajmuje się pan czem?

— Et! Cio ja się tam ziajmuje! Latam po piętiach, błagam o komojne, zaiwają mnie nicponie, lokale spadają, domy spadają, wszystko w łeb biezie.

— Czy być może? więc domy...

— Ma się jozumieć. Dawniej każdy nosa zadziejał, chciał mieć apajtamenty, sialony, a dziś sypialnia to największy pokój w mieszkaniu. Nikt się nie pyta o stukateje, ozdoby, fjon-towe schody, piincipajne ulice, tylko o wygody, powietsie i ceny. Oj, te ceny! Juś spadły i jeście spadną, bo zaczynają budować kolej ejektjiczną i wypędzili wszystkich szwindlejów.

— Czy być może? Ależ to nowina!

— Ależ pjawda! Właśc wie, nikt ich nie wypędział, sami pojechali. Głupich juś niema, kośtoisy im poobcinali, kontjolować zaczęli, więc nie mieli cio jobić. Nawet ten słynny Wack-Mondal uciekł z Wajsiawy.

— Proszę! A teraz, panie Hipolicie, jak się pan domyśla, wezwanie moje, poza przyjemnością zobaczenia go, miało jeszcze cel inny. Rzecz wyjaśnie krótko i otwarcie. W ostatnich czasach poniosłem kilka dotkliwych strat.

— Któs ich nie poniósł!

— To prawda! Czasy się nieco zmieniły. Pro-wadzone dotąd przeze mnie operacye niezupel-

nie dopisują. A wszystko wskutek braku ludzi zdolnych i utalentowanych. Pragnąłbym więc wskrzesić tradycję, zabrać się ponownie z całą energią do pracy, lecz pod warunkiem, że w panu znajdę pomocnika.

— Stai jestem, nogi nie dopisują.

— Za pozwoleniem, wybaczy pan szczerłość moją... a umysł, przytomność, pamięć?

Wieszkowski zaśmiał się chytrze.

— He! he! panie pieziesie! Wieśkowski zjeść się nie da. Nie wypjowadzą go w pole. Nie taki on jeszcze niedolega. Nie!...

— Więc — podjął energicznie Światowidzki — dziesięć tysięcy pensyi, siedm procent od dochodu netto, no i w bliższe pańskie kombinacye nie wchodzę.

Wieszkowskiemu oczy aż błysnęły z ukontentowania, pohamował się jednak i zaczął, siłąc się na spokój:

— Dlaczegożby nie? Tylko nie wiem, w jakim kiejunku mógłbym się stać panu pożytecznym?

— W każdym, drogi panie Hipolicie. Chcę, żeby pan wszystkie nici moich interesów ujął w ręce, a nadto rozpoczął nowe przedsięwzięcie. Teraz wyřęca mnie młody jegomość, niejaki Łankowski. Usunę go natychmiast na drugi

plan. Pragnę widzieć w panu swoją prawą rękę.

— Psijmuję.

— Doskonale. Łamkowski objaśni pana o wszystkim.

— Czy pan piezieś ma co na widoku?

— Nie, jeszcze nie mam!

— Bo ja slyszalem o jednym intejesie. Można by zajobić wcale nieźle.

— Mów pan, mów! — nalegał gorączkowo Hilary.

Wieszkowski podniósł do góry krzaczaste brwi, pogładził łysinę i rozpoczął zniżonym głosem:

— Za tydzień ma być licytacya na budowę całej sieci kanałów na Pjadze. Więc... wziąć. Psietajg zaćnie się od tsiech milionów. Vadium dziesięć pjocent złożyć i tsimać się.

— Dziesięć procent vadium! Więc trzy kroć trzeba złożyć. Nie wiem.

— Ale, panie pieziesie, ja sobie już obliczałem tak, dla satysfakcyi, gdyby... pożyczyci ustąpić dwanaście, jeszcze się oplaci. Licząc wszędzie matejaly wybojowe, cegłę pjasowaną, jujy pjonowo lane, da się zjobić, byle komisya psijęła, to juś dobrze.

Światowidzki nie wiedział na razie, co odpowiedzieć, lecz Wieszkowski tak energicznie zbijał zarzuty, tak gorąco przekonywał i dowodził, że w rezultacie na jego projekt się zgodził.

Stary inżynier jakby odmłodził. Natychmiast odbył długą konferencję z Łamkowskim, badał rachunki i wykazy, przejrzał ostatnie raporty i wydał cały szereg rozporządzeń, zmierzających do pewnych oszczędności lub mających bezwzględnie powiększyć dochody. Między innymi polecił wystosować odezwę do urzędników cukrowni, głoszącą, że o ileby po przeważeniu dostarczanych przez plantatorów buraków okazała się superata, wówczas dziesięć procent tejże pójdzie na dodatkowe wynagrodzenie dla nich.

Łamkowski uważał za właściwe zaoponować przeciwko tej odezwie.

— Panie — rzekł, — wszak to jest najwyraźniejsze namawianie do oszukiwania plantatorów na wadze...

— Jakie oszukiwanie? To jest tylko taka kombinacya—odparł Wieszkowski. — Na tem trzeba się znać. Zapytaj pan Papenkleineja lub Kiepstaina, to oni panu powiedzą. Zjeżdżają, ja tego chcę.



Młody buchalter wrzucił ramionami i umilkł. Tymczasem Wieszkowski kazał sobie przynieść księgę depozytów i wykazy akcji. Następnie zaś polecił kasyerowi, według notatki, papiery depozytowe i akcje zawieźć do Banku Państwa i zastawić.

Łamkowski nie mógł znieść tego i pobiegł wzburzony do Światowidzkiego.

— Panie prezesie! Bynajmniej nie mam zamiaru ani oskarżać Wieszkowskiego, ani przeciw niemu intrygować, rad nawet jestem, że zrzuciłem się z tyle odpowiedzialnego stanowiska szefa biura, lecz Wieszkowski chce popełnić łotrstwo...

— Powoli, panie Stanisławie, powoli. O cóż idzie?

— A no, papiery procentowe, złożone w kasach naszych w depozycie, przez ludzi, którzy, mimo wszelkich plotek i pogłosek, nie stracili do nas zaufania, chce zastawić w Banku. Panie, jeżeli się to wyda, to będzie kradzież, złodziejstwo. Chce zastawić akcje i rzucać pieniądze w niepewne przedsiębiorstwa. Mniejsza o to, lecz niech nie tyka cudzej własności.

Hilary milczał przez chwilę, w końcu zapytał nagle:

— A ile jest depozytów?

— Blizko cztery kroć pięćdziesiąt.

— Co płacimy depozytorom?

— Tylko kupon, z potrąceniem półtora za przechowanie...

Światowidzki znów umilkł, a po chwili rzekł niepewnym tonem:

— Panie Stanisławie, ja wiem, pan jest mi bardzo życzliwy... ja panu ufam... Wieszkowski ma swoje kombinacje, więc jeżeli pan mnie i... Toli dobrze życzy, niech pan mu nie przeszkadza...

— Ależ, panie prezesie — upierał się energicznie Łamkowski, — on może pana wprowadzić w błoto!

— Kiedy... ja pana proszę... ja pana bardzo proszę! Niech pan zapomni o tem, co się stało... Mój panie Stanisławie! Może pan zajrzy trochę do mojej córki? Ona się pewno nudzi.

Łamkowski zagryzł wargi, spojrzał pogardliwie na Hilarego i wyszedł z gabinetu. Światowidzki zatarł ręce z ukontentowaniem.

— Miałem rację. Co głowa, to głowa. Depozytom nic złego się nie stanie, a kapitał obrotowy jest. Ojej! Ile razy dawniej tak samo się robiło! Pewno z tym narwańcem nie dalekobyśmy zajechał. Złodziejstwo! Tam, gdzie idzie o krocie, o miliony, tam już złodziejstwa niema. Jaki to jednak głupi człowiek! Zdaje mu się, że pół

miliona to to samo, co zegarek lub portmonetka z miedziami. I... mówią mi ciągle, brzęczą, że głupota zginęła. Znakomite, pyszne! Ci ludzie dotąd jeszcze nie rozumieją, że w cieniu miliona ginie wszystko... jest tylko uwielbienie, zachwyty i czolobitność. Kto sięga po jedności, tysiące, może być złodziejem; ale kto zdoła pojąć bodaj cudzy milion, zawsze jest i będzie wielkim. Ja się ratować muszę, każdy środek dla mnie jest dobry. A że tam ktoś stracić może, to nie pierwszy i nie ostatni raz.

I naraz Światowidzki odżył, uczuł się sobą, tym dawnym, silnym, energicznym działaczem. Współ z Wieszkowskim po całych dniach liczył, dodawał, odejmował i kreślił plany.

Bieżące wypłaty załatwiono podniesionymi z Banku pieniędzmi, vadium było przygotowane.

Do licytacji stanęło kilkanaście firm. Przetarg był nader ożywiony, choć licytanci względnie bardzo mało ustępowali od kosztorysu. Wieszkowski górował nad wszystkimi i zapalał się, w końcu, gdy rozgorączkowany wykrzyknął «dwadzieścia procent od kosztorysu!» — konkurencji umilkli. Radni magistratu obwieścili zgromadzonemu, że firma «H. G. Światowidzki» złożyła najkorzystniejszą ofertę, więc przy robotach się utrzymała.

Hilary tryumfował. Teraz pokaże, co umie. Wprawdzie na samym wstępie sceptyczny Papenkleiner próbował mu zepsuć humor, utrzymując, że przy dwudziestu procentach ustępstwa nie można marzyć o zyskach, ale skąd ten miałby mieć wyobrażenie!...

Wieszkowski rozpoczął działać. Więc utworzył specjalne biuro, gromadził materiały, godził techników i dozorców, najmował robotników. I wkrótce na ulicach Pragi powstały piętrowe góry wydobywanej ziemi, pracowały pompy, dobywające wodę zaskorną, budowano kanały, zakładano rury. Roboty postępowały szybko. Wieszkowski nadto, pod pozorem przyspieszenia robót, uzyskał nader ważny dla Światowidzkiego przywilej. Oto, wbrew przyjętemu dotąd zwyczajowi, materiały zostały uwolnione od inspekcji. System przeto oszczędności... dał się wszechstronnie zastosować.

— Byle skończyć i oddać miastu — powtarzał Światowidzki.

— Ma się jozumieć — potakiwał Wieszkowski.

Przy tego rodzaju robotach nie obyło się bez wypadków. Oto raz kanał świeżo wykończony zapadł się, to znów przy próbie popękały rury... lecz Wieszkowski na wszystko miał sposób. Ła-

tał, reparował i coraz dalej roboty posuwał. Wreszcie nadszedł dzień pierwszej inspekcji robót i odebrania części pobudowanej świeżo linii.

W wigilię tego dnia Hilary, po długiej naradzie z Wieszkowskim, wysłał trzy pudełka... cygar dla osób, mających składać komisję do przyjęcia robót.

W pudełkach, prócz biletu wizytowego Światowidzkiego i cygar, była odpowiednia ilość banknotów storublowych.

Hilary zatarł ręce po załatwieniu tej czynności. Wieszkowski również nie posiadał się z ukontentowania.

— Co!?!— zagadał pierwszy—zrobione! Ho! ho! Światowidzki niczego od nikogo darmo nie żąda! Sam zarabia, lecz i drugim daje!

— Święta pjawda, panie pieziesie! Stay system, dobii system.

— No, bądź-co-bądź, Rubikon przebyty. Po sporządzeniu protokołu, magistrat wypłaci nam pierwsze pięć kroć, a mówiąc nawiasem, to najważniejsza okoliczność...

— Zapewne, zapewne! Dyabło kiucho z gotowizną... dyabło kiucho!

— Jest tam co do zastawienia jeszcze?

— Gdzie tam, panie pieziesie, słowo honoju, ani kopiejki! Na wczojajszą wypłatę... z własnej kieszeni... wydałem pięćset jubli.

— Ciągnie łotr! — mruknął pod nosem Hilary, — Mniejsza o parę set — dodał głośno; — po jutrze się uregulujemy.

Po omówieniu szczegółów mającego się odbyć po inspekyi śniadania, Wieszkowski zabierał się powoli do wyjścia, gdy naraz przyniesiono list do Hilarego z uwagą: «bardzo pilno.»

List pochodził od członka komisji Ryżanowskiego. Ryżanowski dziękował za cygara i zwracał pięćset rubli... «przesłane widocznie przez pomyłkę.»

Światowidzki, po przeczytaniu na głos tego listu, zbladł. Wieszkowski pogardliwie się uśmiechnął.

— Panie pieziesie, to głupstwo! Osioł jest i koniec. Co on tam znaczy! Najglówniejsze, żeby Wajoski i Boszutski dali opinię. Jak tych mamy, to Iżanowski nic nie zjobi.

— Może to za mało? trzeba było dać może cały tyśiąć?

— Zieczywiście, może... Ja z nim jeszcze pogadam jutjo jano. Czy pan piezież upoważnia?

— Owszem, tylko oszczędnie, panie Hipolicie, oszczędnie... i tak te wszystkie koszta han-

dlowe dyabło wiele wynoszą. Dawniej taniej urządzało się.

— Ba! dawniej — podchwycił żywo Wieszkowski. — Dawniej setka znaczyła, teżas nic się z nią nie zwojuje. Ale niech pan będzie spokojny, już ja Iżanowskiego bioję na siebie. Hajdy pan, tsieba go tylko posmajować lepiej...

Pomimo zapewnień Wieszkowskiego, prezesa ogarnął jakiś dziwny niepokój. A nużby Ryżanowski chciał szkodzić... mogłaby się sprawa powikłać, bardzo powikłać...

Na domiar udręczenia, Światowidzki już nad wieczorem odebrał drugi list od Boszutskiego, takiej treści:

«Szanowny Panie Prezesie!

«Za łaskawą pamięć o mnie i tak piękny upominek, który, mówiąc nawiasem, bardzo mi się przydał, dziękuję serdecznie, wyrażając szczerzy żal, iż z mojej strony środki nie pozwalają mi się odwdzińczyć.

Z poważaniem  
Antoni Boszutki.»

Hilary po kilka razy odczytywał list Boszutskiego, zastanawiał się nad każdym wyrazem, powtarzał zdania, i w końcu zmiąwszy list, porzucił go z wściekłością na biurku.

— Co on sobie myśli! Co znaczą te bezsensowne bazgroty, ten komunał? Obszywa się w durnia, czy co?! A no, zobaczymy!

Punktualnie o wyznaczonej godzinie stawili się członkowie i, oprowadzani przez Wieszkowskiego, dokonywali inspekcji. Od czasu do czasu inżynierowie zamieniali między sobą spojzenia i rzucali lakoniczne pytania.

— Cegła nieprasowana? — zagadnął Ryżanowski.

— Niepjasowana?!— odparł Wieszkowski.— Panie jado, to jest wspaniały kanalik! Jaka to jobota... stajanna jobota...

— Za pozwoleniem — wtrącił się Warowski, — prosimy o odpowiedź na pytanie.

— Panie Zygmuncie, cegła jest znakomita, z pjawdziwego hofmanowskiego pieca, słowo honoju, fasonowa, dwadzieścia jubii tysiąc...

— Więc nieprasowana — zauważył Boszutki.

— Co to niepjasowana! Ona jest jeszcze lepsza niż pjasowana, słowo honoju, panowie, lepsza! Patrzcie, jak wypalona, wystawowa cegła.

Członkowie komisji umilkli. Wieszkowski zaś, chcąc rozmowę skierować na inne tory, zaczął rubasznie:



— Co tam! Szkoda czasu. Chodźmy już. Czekają na nas z przekąską. Znajduje się na nic. Panowie pozwola!

— Dziękuję bardzo! — odrzekł zimno Boszutki.

— Teraz nie czas... Kiedy indziej, pan rozumie, że musimy napisać protokół — wtrącił ostro Ryżanowski.

— Pjotokół! — podchwycił wesoło Wieszkowski. — Panowie jałtowie djodzy, przecież pjotokóły najlepiej się piszą koniakiem, słowo honoju. Ach, ile tylko komisji pamiętam, zawsze był taki atjament, fijmy «Majtel» albo «Henesi.» No, dość tego oglądania, co?...

— Hm! Jak koledzy uważają — odczwał się z naciskiem Warowski, spoglądając znacząco na Ryżanowskiego; — sędzę, że naprawdę mamy dosyć...

— A tak, słusznie — potwierdzili jednogłośnie dwaj członkowie komisji.

Wieszkowski zatarł ręce z ukontentowaniem.

— Przepysznie! Tak to lubię!... «Gumy» czekają, jedziemy. Śniadanko na pewno gotowe, a i czas wielki co przetjąć; mnie samemu kieszki majsza gjają, więc tedy...

— Przepraszam. Nie mogę przyjąć — prze-  
rwał znów Ryżanowski, — żegnam! Koledzy  
pozwolą pewno ze mną dla sporządzenia aktu?

— Oczywiście — potwierdził Boszutski.

— Idę z panami — dorzucił Warowski.

Członkowie komisji sklonili się, pozostawia-  
jąc w niemem osłupieniu Wieszkowskiego  
i Światowidzkiego.

Wieszkowski, nie tracąc przytomności, po-  
biegł parę kroków za odchodzącymi, i pocią-  
gnął na stronę Warowskiego, szeptal nie-  
pewnym głosem:

— Jadco dobjodzieju! Co to? Komedia?  
Dlaczego? Powiem kjutko: dwa tysiące na oso-  
bę... Nie?! Trzy tysiące gotówką! Ale to żajty!  
Pjawda? Cóżby wam na tem zależało? No, po-  
wiedz jadca? Wjeszcie kpijcie sobie z tego Iża-  
nowskiego, wasze dwa głosy jozstrzygną. Co,  
pjawda?

— Mój panie, owszem, żywię dla was wiele  
wdzięczności za upominek. Przydał mi się bar-  
dzo... bardzo mi się przydał. Jeszcze raz  
dziękuję, tylko nie mogę zezwolić na jakieś  
uchybiecie porządkowi. Teraz czas na proto-  
kół, ale nie na poczęstunki.

— Już dobrze, dobrze! jyjogystą jadca jesteś. Niech będzie. Wiem, wiem. Lecz pamiętajcie napisać porządnie, porządnie...

— O... o to może pan być spokojny, napiszemy uczciwie... i tylko prawdę!

— Jakto pjawdę?... — wyjąkał zmieszany Wieszkowski.

— A no, bo mówiąc szczerze, to jest fuszerka, najwstrętniejsza, jaka tylko być może... Do widzenia!

— Jadco! Jadco! — jękał Wieszkowski!

Lecz «jadcy» już nie było—oddalił się, podążając za kolegami.

Światowidzki spostrzegł niezwykłą bladość i pomieszanie Wieszkowskiego.

— Panie Hipolicie! Jakże tam? Co panu jest? Cóż mówił do pana Warowski?

— Nie wiem, coś knują. Dawałem trzy tysiące na głowę!

— Trzy tysiące?... to szaleństwo! Pan nie masz sumienia, marnujesz pieniądze!

— Co jobić? Dawałem i nie chcę słuchać!...

— Nie chcę słuchać!—wykrzyknął drżącym głosem Światowidzki.—Więc mieliby nie przyjąć robót? Panie... mów pan całą prawdę, chcę wiedzieć o wszystkim natychmiast...

Tyle było rozpaczy w głosie Hilarego, że Wieszkowski zawahał się, i zmieniając ton, rzekł uspokajająco:

— Panie pieziesie! Zimnej kjwi! Sam nie wiem. Udają mi puistów, dogadać się nie można. Najwyżej mogą nam coś zakwestyionować, coś odrzucić. Nie takie wielkie nieszczęście! Oni może nawet muszą dla samego pozaju... Natujalnie!

— Ach! — westchnął z widoczną ulgą Światowidzki, ocierając krople zimnego potu. — Tak mnie pan przestraszyłeś! Bądź-co-bądź, zachowywali się bardzo dziwnie, bardzo! Lecz masz pan rację: oczy na nich są zwrócone, przeto taka kombinacya jest nawet o wiele pewniejszą. A kiedy można będzie mieć kopię protokółu?

— Jutjo, z pewnością jutjo. Pjawdopodobnie wezwą i mnie do podpisania. Niech się tylko pan pjezieś nie denejwuje, bo jeszcze nie ma czem. Ba, czy to nam piejwszyczna? A pamięta pan to zajwanie się mostu w tydzień po komisyi, albo ta hyyja o balastowanie djogi?...

— Ba, ba! Masz pan rację! Żdawało się co chwila, że bomba pęknie, że wszystko dyabli wezmą...

— A co? Tjudno! Jak jest języko, to już jest.

Pomimo uwag Wieszkowskiego, Hilarego dręczyła jakaś zmora, gnębił dziwny, nieokreślony niepokój. Więc jeszcze cały dzień niepewności. Dzień — to wiek prawie.

Gdyby tylko wszystko poszło dobrze, gdyby te pierwsze pół miliona dostać! Stanąłby od razu na pewniejszym gruncie, co pilniejsze należności zalatwiłoby się i kredytyby wzrósł. Nawet dalsze roboty polecilby już Wieszkowskiemu wykonywać staranniej, sumiennie, choćby dlatego, że i spokój moralny jest coś wart. Dużo wart!

Aby go mieć w tej chwili, Hilary gotówby był dużo dać i nawet nie jeden tysiąc bez szemrania oddać. Niestety! Dnia tego, jakby na złość, wszystko się uwzięło na Światowidzkiego.

Po południu lokaj zameldował Łankowskiego. Prezes wzruszył ramionami, i przerzucając machinalnie wykazy obrachunkowe robót kanalizacyjnych, wycedził wyniośle:

— Powiedz panu Łankowskiemu, że jestem dzisiaj zajęty. Kiedy indziej.

— Kiedy... bo mówił o bardzo ważnym...

— Powiedziałem!..

Lokaj wyszedł. Lecz w parę minut Światowidzki posłyszał za drzwiami jakąś gwałtowną sprzeczkę, bezpośrednio po której drzwi się do gabinetu otwarły gwałtownie. Wbiegł zaczerwieniony Łankowski. Hilary powstał z dumnie wydetą wargą.

— Panie prezesie! Co to ma znaczyć?—mówił gwałtownie młody buchalter. — Nie chcę mnie puszczać do pana, nawet w interesie!...

— Spełniają tylko moje polecenie. Sądzilem, że wolno mi czasem być dla pana niewydzielnym. Pan się, panie Łankowski, znów zapomina!.. należałoby, czy wypadaloby uszanować niekiedy moją wolę. Doprawdy, nie pojmuję, skąd panu przychodzi do czegoś podobnego...

Łankowski machnął ręką niedbale.

— Przepraszam! O tem powie mi pan kiedy indziej. Zmierzam wprost do interesu. Przedewszystkiem od jutra obejmuję obowiązki naczelnika biura budowy trzeciego mostu na Wiśle.

— Niezmiernie z tego rad jestem! Życzę powodzenia i żegnam!

Hilary odwrócił się plecami do okna. Łankowski stał, nie zbity z tropu.

— Muszę nadto wytłómaczyć panu powód tak nagłego opuszczenia posady, po raz, zdaje się, trzeci, lecz i ostatni.

— Niech się pan nie fatyguje. Nic ciekawego. Nie mam czasu.

— To mi wszystko jedno! Otóż... odchodzę z obawy odpowiedzialności prawnej. Wieszkowski popełnił cały szereg nadużyć, za które w razie czego można być pociągniętym do kryminału.

— Panie Łankowski!

— Niech pan nie przerywa, bo ja się muszę wygadać. Czy pan rozumie? Więc uciekam stąd. Chciałem dzielić z panem złą i dobrą dolę...

— Ooo... zbytek poświęcenia!

— Stało się inaczej nie z mojej winy. Panie... czy nie widzisz, nie czujesz, co się dookoła pana dzieje? Dziś drugi. Pensye nie opłacone, rachunki nie uregulowane. W kasie nie mieli dziś pieniędzy na marki pocztowe. Słyszy pan: na marki! Wieszkowski prowadzi pana do zguby. Żebyś pan miał tysiąc rubli, dziesięć tysięcy, sto, nie pan już nie robi. Na polatanie i ruszenie z miejsca potrzeba byłoby jutro pół miliona.

Hilary uśmiechnął się szyderczo.

— Jesteś pan równie śmiałym, jak zapalonym. Kogo innego kazałbym wyrzucić, lecz panu powiem, że jutro będę miał pół miliona. Tak!... I ty, młody postrzelęncze, przesiąknięty dziwactwami idejowymi, jakie wraz z dziurawym workiem szlacheckich tradycji odziedziczyłeś po

swoich przodkach, chcesz uczyć mnie, Światowidzkiego!... Chcesz mnie oświecać! O! bądź przekonany, że lepiej znam Wieszkowskiego, niż tobie się zdaje. Ale Wieszkowski to zdolność, spryt, przebiegłość, głowa! Ciągnie na swoją stronę, lecz ciągnie równocześnie i na moją. To nie niedolega pańskiego pokroju, nie młodzianieszek, zdobywający się na heroizm i zwracający głowę młodej, niedoświadczonej dziewczynie. Wara panu od niego! Nie sądź tych, którym do pięć nie dorosłeś. A o Światowidzkiego się już nie obawiaj, ponieważ ubywa mu jeden zły doradca i ograniczony powiernik!...

Hilary wyszedł. Łankowski długo stał jeszcze, patrząc bezmyślnie na zamknięte odrzwia, za którymi zniknął prezes. Gorące przemówienie, imponujący ton, otumanily w pierwszej chwili Stanisława. Może on miał rację? Wszak Światowidzki bez zaprzeczenia był zawsze genialnym «macherem,» może i z obecnego kryzysu wybrnąć potrafi?... I przyszła mu na myśl Tola, od której znów dobrowolnie prawie oddalał się, odsuwał. Gdyby pójść jeszcze do prezesa, ukorzyć się i zostać?

Łankowski się wzdrygnął.

Nigdy! Za nie! Kocha ją, gotów dla niej wszystko uczynić, prócz lotrostwa!



Poszedł.

Światowidzki tymczasem, pozostawiwszy w gabinecie Łankowskiego, już w następnym pokoju osłabł. Rzucił się wyczerpany na kanapę i twarz ukrył w dłoniach.

— Jakie to piekielne! — myślał — bezlitosne, gnębiące! Taka niepewność! Ach, myśl! gdybyć nie ta dręcząca myśl: co będzie jutro?

Najgorsza rzeczywistość takby go nie wyczerpała. Przynajmniej cośby przedsięwziął, coś postanowił. A tu nic. Czekał i męcz się.

Światowidzki, dla rozerwania się, zapowiedział, że będzie jadł kolację w saloniku Toli.

Siedząc naprzeciwko miss Ketty, prezes próbował żartować z niej i przekomarzać się, ale rozmowa się nie kleiła. Po kolacyi Tola odciągnęła ojca na stronę.

— Papo — rzekła, — doprawdy, nie pojmuję takiego lekceważenia. Wyobraź sobie, dziś rano posłałam do kasyera po pięćdziesiąt rubli, aby mój uiszczyć zwykłą kwartalną moją składkę na rzecz szwalni i schroniska dla sług, a kasyer odmówił, bo, powiada, nie ma dyspozycyi. To śmieszne! Wszak pamiętasz, papo, że sam wydałeś rozporządzenie, aby utworzono mi stałe *conto* do dwóch tysięcy miesięcznie!... Drobną rzecz, choć nieprzyjemną, bo z zarządu schroni-

ska przysłali do mnie z prośbą po składkę, mając coś pilnego do zapłacenia.

Hilary nerwowo się uśmiechnął.

— Et! Drobiazg! Wyjaśni się jutro! Jakieś nieporozumienie tylko... mała rzecz! Dobranoc... dobranoć!

Skoro świt, zerwał się Światowidzki z posłania. Spać tej nocy nie mógł, dręczyły go zmory jakiegoś i widziadła. Ubrał się więc pośpiesznie, zadzwonił o herbatę i zaczął nerwowo przerzucać znów różne książki, papiery i akta. Godziny płynęły za godzinami dziwnie wolno. Hilary co chwila spoglądał na zegarek. Wreszcie wybiła dziesiąta. Światowidzki polecił służącemu zapytać się, czy Wieszkowski już przyszedł. Nie było go jeszcze. Bankiera ogarniało coraz większe zniecierpliwienie. Ledwie około jedenastej zjawił się szef biura.

— Panie Hipolicie! Na Boga! co pan robi? Taki ważny dzień, a pana nie widać! Czy pan już... był... tam?...

— Nie, nie jeszcze; idę właśnie, zajaz idę, niech pan piezież będzie tylko spokojny.

— Spokojny, spokojny... To się tak łatwo mówi. Ale, czy otrzymawszy asygnację dzisiaj, będziemy mogli podnieść należność z kasy gubernialnej?

— Z kasy gubernialnej... ja sędzę... Trzeba będzie nawet... pan piezież jozumi, lepiej coś stjacić, coś poświęcić, byle bezwajunkowo mieć dzisiaj pieniądze! Bezwajunkowo!

— Więc poświęcaj pan sobie, bylebym miał koniecznie. Prosiłbym tylko o pewną oszczędność w... poświęcaniu. W każdym bądź razie proszę, niech mi pan da natychmiast znać, jak mniej więcej brzmi protokół. Chcę wiedzieć. Może pan zatelefonować przed udaniem się po asygnację. Czekam i nie ruszam się z gabinetu.

— Dobrze!

— Ile czasu potrzebuje pan na zasiągnięcie informacji w zarządzie inżynierji?

— Ja sędzę, jakieś trzy kwadjanse.

— A więc o dwunastej powinienem wiedzieć! Nie zatrzymuję pana, jedź pan natychmiast.

— Sługa pana pjezesa.

Wieszkowski wyszedł, a Hilary znów mierzył wielkimi krokami gabinet, spoglądał co chwila na zegarek i bił się z myślami.

Na parę minut przed dwunastą lokaj zameldował kasyera. Światowidzki nie chciał go początkowo przyjąć, lecz służący wrócił ponownie z wiadomością, że jest jakiś bardzo ważny i niecierpiący zwłoki interes. Hilary kazał go przywolać.

— Co mi pan ma do powiedzenia?

Kasyer zafrasował się.

— Panie prezesie, mamy dziś wypłatę depozytu, trzeba wykupić z Banku Państwa pięć tysięcy papierów publicznych.

Światowidzki uśmiechnął się, nie zdając sobie jeszcze sprawy z sytuacji.

— Dobrze, lecz cóż to może mnie obchodzić? Więc pan przychodzi po to, aby takimi drobiazgami głowę mi zaprzątać? Prokurenci podpisali, akceptowali i dosyć...

— Ależ... — bąknął kasyer.

— Bez żadnych dyskusyi! Powiedziałem! Nie pojmuję, doprawdy, że pan, człowiek starszy, znający porządek, z podobnymi interesami zwraca się do mnie i o... głupie pięć tysięcy rubli...

— Kiedy, bo, panie prezesie, niema pieniędzy!

— Jakto? Niema pieniędzy?! Aha! Tak, tak! Powiada pan, że niema...

— Wpłynęło dziś ośm tysięcy za cukier, lecz wypłaciliśmy Kredytowi Powszechnemu siedm procentów wekslowych, został się tylko tysiąc...

— Braknie zatem jeszcze czterech! Czterech tysięcy? Mała rzecz! Tymczasem proszę wstrzymać wypłatę do godziny trzeciej, prawdopodobnie będą jeszcze wpływy. Ale, ale, mój panie, niech pan będzie łaskaw wydelegować dwóch

panów do kasy gubernialnej... tam dzisiaj Wieszkowski będzie odbierał pół miliona. Niechże ci panowie poczekają tam na jego przybycie, a następnie niech go nie odstepują na krok, aż do chwili zamknięcia gotowizny przez pana w kasie. Pan mnie rozumie?

— Najzupełniej.

Kasyer wyszedł, a Światowidzki rozkoszował się jeszcze dźwiękiem własnych słów. — Pół miliona! Jakież to krótkie, ucinkowe, a jakie melodyjne, śpiewne, prawie czarujące! Ile siły, potęgi w tych dwóch słowach!

Chwilowe upojenie szybko minęło.

Światowidzkiego ogarnął nowy paroksyzm zniecierpliwienia. Było po dwunastej. Wtem dzwonek telefonu zawieszono w gabinecie, rozległ się leniwem *staccato*. Hilary drgnął, zawałał się, w końcu chwycił za tubę słuchową.

— Jestem! Kto mówi?

— Wieszkowski. Czy pan pjezieś?

— Tak, tak! Ja! Więc?!

— Lotjostwo! Pjotokół okjopny! Joboty nieprzyjęte, będzie śledztwo!

— Co, co?...

— Nieszczęście, panie pjezesie!... Moje uszanowanie!

Światowidzki zachwiał się, oddech zamarł mu w piersiach, głosu wydobyć nie mógł, oczy krwią nabiegły. Wyprężył się, chciał o coś zapytać Wieszkowskiego, lecz głos zamarł mu w krtani. Padł na fotel, z ustami zaciśniętymi, z głową zwieszoną. Nie mógł myśli zebrać, a tuż nad uszami zerwał się jakiś wicher, huragan wściekły, żałośnie wymawiający jeden wyraz: bankructwo! bankructwo!..

Drżącą, osłabioną ręką Hilary sięgnął po karafkę z wodą, stojącą tuż koło fotela na małym stoliczku. Oburącz ją do ust przycisnął i pił chciwie, długo. Władze umysłowe i przytomność zwolna wróciły, a z niemi zerwała się burza myśli.

Co począć? Co robić? Niema ratunku! Przepadło wszystko! Na marne poszło! Tyle lat pracy, wysiłku, zabiegów i nic... nic zgola... Nędzarzem jest, skompromitowanym!

Wtem jakiś błysk nadziei przemknął mu przez głowę. Hilary pobiegł do telefonu i zadzwonił.

- Kto przy telefonie? czy pan Wieszkowski?
- Nie, stacya.
- Z kim byłem przed chwilą połączony?
- Zaraz. Nie, nie mogę panu powiedzieć; łączyli pana na innym stole.

— W takim razie chcę mówić z zarządem inżynierii miejskiej.

— Gotowe!

— Zarząd inżynierii?

— Tak jest. Kto mówi?

— Światowidzki. Czy jest u panów pan Wieszkowski?

— Niema!

— Był przecież przed chwilą!

— Nie, panie, nie był wcale.

— Pan się myli.

— Nie myślę się wcale. Znam go dobrze. Pan mnie nie poznał? Mówi Boszutski.

— A!... Panie radco, jak wypadł protokół?

— Proszę pana, napisaliśmy tylko to, co było naszym obowiązkiem. Protokół, o ile mi wiadomo, odesłany został już do sędziego śledczego.

Światowidzki odszedł od telefonu. Więc to prawda, prawda... Niema ratunku! Musi zmarnieć, zginąć i wszystko... wszystko, co było owocem trudu, nieprzespanych nocy, ciągłego ryzyka, ciągłego drżenia nerwów — przepadło, przepadło bezpowrotnie! Co za upokorzenie! On, prezes, bankier, król kolejowy, obywatel, wielki ekonomista, powaga... musi upaść, musi zniżyć się do tych, których od wielu lat kopał, którymi pogardzał i którzy byli dlań tylko mięsem, miazgą ludzką, materiałem do urabiania zeń

jego sławy, siły i znaczenia. Co pocznie? Ma teraz pójść może na służbę, ma na nowo rozpoczynać pracę w cuchnącej atmosferze kantoru, czy może zapalkami handlować? I porwał go nagle śmiech pusty, dziki, rozpasany.

A może złożyć wizytę Kleinstockowej i przyjąć propozycję rudego Jójny? Przecież on sam się mu ofiarowywał. Doskonale! Światowidzki zapuszcza pejsy, sprawia sobie chałat i szabasuje w towarzystwie Jójny, Kleinstockowej i Zyzia Naiwnego.

Lecz nie, on znieść może wszystko, byleby nie patrzeć na ruinę, byleby nie być świadkiem zniszczenia! On ucieknie stąd, ucieknie natychmiast.

Zadzwoił na lokaja i polecił mu zaawizować paszport. Lokaj przyjął dyspozycję bez zdziwienia, Światowidzki bowiem niejednokrotnie nagle i niespodziewanie wyjeżdżał.

Światowidzki, po wydaniu powyższego rozkazu, odetchnął swobodniej.

Wyjedzie... wyjedzie gdziekolwiek, aby dalek od tego wstrętnego miasta, wstrętnych ludzi, wstrętnych stosunków! Urodził się tu, mieszkał, bo dawniej był to dlań możliwy zupełnie teren do zdobycia majątku, ale dziś nic go nie wiąże ani z krajem, ani z jego mieszkańcami. Co go mo-



gą obchodzić ich mrzonki, ideały, czy pragnienia! On, Hilary, jest wyższym ponad taką małosłowność. Tam, gdzie mu będzie dobrze, tam jego ojczyzna!...

A Tola? Tola niech zostanie. Napisze do niej. Brać jej z sobą nie może. Kto wie, mogą go ścigać wierzyciele, poszukiwać... co zrobiliby w drodze z takim balastem? Później, gdy się uciszy trochę, przyjedzie do niego. A gdyby wyszła za tego... tego narwańca? Mniejsza o to! w obecnym położeniu przynajmniej znajdzie jakiś punkt oparcia! Kto wie, czy Hilary zwojuje co na świecie?

Światowidzki naraz się zastanowił, pobladł i sięgnął do kieszeni. Ma jechać zaraz, natychmiast, musi jechać, a pieniędzy nie ma!

— Przekleństwo! — syknął przez zęby — i powiedzieć komu dzisiaj jeszcze, że Światowidzkiemu braknie kilkuset rubli na podróż, nie uwierzy... stanowczo nie uwierzy. Ironia losu! Dla tych nędznych paruset rubli mam doznać tylu upokorzeń, znieść tyle przykrości, być widzmem własnego... Nie!... Tu coś poradzić trzeba, poradzić! Coś chyba sprzedać... Byle co: brzozy, czy dywany, aby tylko mieć natychmiast.

Dzwonek telefonu znów rozległ się w gabinecie. Hilary spojrział nań z trwogą.

— Jeszcze nowina może! Nie, wolę o niej się nie dowiedzieć. Lecz cóż mnie jeszcze gorszego może spotkać?

Bankier zbliżył się do telefonu.

— Kto mówi?

— Kasyer. Panie prezesie, przed chwilą wpłynęło za cukier piętnaście tysięcy. Czy mam ściśle trzymać się rozporządzenia pana prezesa i wykupienie papierów depozytowych z Banku dopełnić o godzinie trzeciej?

Hilary się zniecierpliwił.

— Mój panie! Czego mi pan głowę zawraca? Raz już panu mówiłem. Oczywiście wykupić. Bank zamykają o godzinie czwartej, można się spóźnić z załatwieniem formalności i będzie przykra historia.

— Słucham!

Dzwonek drgnął na rozłączenie. Naraz Hilary rzucił się ponownie do tuby.

— Panie, panie kasyerze!

— Jestem, słucham!

— Zrobimy inaczej. Proszę mi całe szesnaście tysięcy przysłać zaraz do mieszkania. Czekam! A z przekazem zrobić, jak mówiłem poprzednio.

— Przepraszam... pan prezes mówi szesnaście?

— No, tak, bo poprzednio mi pan wspominał, że ma pan tysiąc w kasie.

— Tak jest, panie prezesie, był tysiąc, lecz właśnie przed kwadranssem był pan Wieszkowski i podniósł ten tysiąc.

— Ha! Łotr! — mruknął z wściekłością Hilary.

— Co pan prezes mówi?

— Nic. Dobrze! Przyślij pan natychmiast te piętnaście.

W kilkanaście minut później Hilary miał w kieszeni paszport zaawizowany i pieniądze. Pociąg pośpieszny do Berlina odchodził za godzinę. Światowidzki kazał sobie natychmiast zapakować małą walizkę, wybierając co najniezbędniejszą garderobę, a sam pragnął jeszcze napisać list do Toli. Nakreślił już nawet kilka słów wstępu, lecz podarł papier.

Tola nie umiałaby ukryć pomieszaną, wygadałaby się i wieść o jego ucieczce mogłaby się rozejść zbyt szybko. A tak ma co najmniej trzydzieści sześć godzin czasu na zatarcie za sobą śladów.

Służący przyszedł zapytać, do którego pociągu mają zaprzędz, lecz Hilary machnął ręką, skinął na lokaja, by niósł za nim walizkę, i odziawszy się, wyszedł na ulicę. Jednokon-

na dorożka odwiozła bankiera na dworzec kolejowy.

Lokomotywa gwiznęła przeraźliwie i pociąg ruszył, uwożąc Światowidzkiego z miasta, które, niepomne na działalność społeczną i filantropijną, miało za parę dni słowami pogardy i szyderstwa obrzucić wspomnienie o nim.

.....  
Od opisanych powyżej wypadków upłynęło dwa lata. Do mieszkania państwa Łankowskich, zajmujących dostatnie mieszkanie w Alejach Jerozolimskich, późnym wieczorem ktoś gwałtownie zadzwonił. Młody gospodarz domu, zajęty pracą przy biurku, wyszedł do przedpokojku otworzyć drzwi. Na tle oświetlonych schodów zarysowała się sylwetka niemłodego mężczyzny w podróznym ubraniu, z małym zawiniątkiem w ręku.

— Czy tu mieszka pan Łankowski?

— Tak jest, właściwie jestem. Czego pan sobie życzy?

— Czego sobie życzę? — powtórzył przeciągłym głosem nieznajomy. — Jakto? więc, panie Łankowski, pan mnie nie poznaje? Panie Stanisławie, czy się tak bardzo zmieniłem? To ja, Światowidzki!

Łankowski nie mógł się powstrzymać od okrzyku zdziwienia.

— To pan!... Proszę, proszę dalej, nigdy bym pana nie poznał; myśleliśmy, że pan przepadł zupełnie!.. Niechże pan pozwoli.

Łankowski pomógł się rozebrać Światowidzkemu i wprowadził go do swego pokoju. Były prezes i bankier wyglądał bardzo nędznie. Wymizerniał, włosy mu posiwiały, twarz okryła się zmarszczkami. Dawna pewność siebie, wyraz pychy, osiadły stałe na dolnej wardze, znikły bezpowrotnie. Był to jakby inny zupełnie człowiek. Przysiadł skromnie na rożku kanapy i zwiesił smutnie głowę.

— Panie Światowidzki — rzekł ze współczuciem Łankowski, — gdzie się pan podziewał? co pan porabiał? Znikł pan z horyzontu nagle i... jak kamień w wodę...

Hilary machnął ręką.

— Et! co tam! Inni świat... inni ludzie. Pan rozumie, wyjechać musiałem, aby nie być świadkiem ruiny. Przecież to straszne!

— Być może. Lecz stokroć straszniejsze są przekleństwa tych, którzy panu zaufali, wierzyli w pańską uczciwość...

— Panie Stanisławie! słowo honoru, to Wieszkowski wszystkiego narobił. O, jakże byłem naivny, że nie posłuchałem pańskiej rady!

— Nie mówmy o tem. Wystarczy panu wiadomość, że pański były mąż zaufania buduje sobie drugi dom. On z pewnością nie stracił nawet na ostatniem przedsięwzięciu.

— O, lotr dopiero!

— Lecz dajmy spokój przykrym wspomnieniom. Raczej niech pan opowie, co się z panem działo przez te dwa lata?

Światowidzki westchnął, zastanowił się i zaczął niepewnym głosem:

— Panie Stanisławie! Gdym przed laty czterdziestu przystępował do pierwszego interesu, który stał się podwaliną mojej późniejszej fortuny, miałem zaledwie czterysta rubli kapitału. Po roku urósł on do tysięcy, a w niespełna dziesięć lat zamienił się w krocie. Więc kiedy zbity, zgnębiony bankructwem, upokorzony, wyjeżdżałem z piętnastoma tysiącami rubli, zdawało mi się, że, mimo wszystkiego, zdołam znów się wybić i że wrócę tu jeszcze, wrócę w pełni chwały. Pojechałem na południo-wschód, do tej kopalni nowożytnych dobrych interesów. Postanowiłem sobie wyrzec się wszystkiego, skwitować z przyzwyczajenia do zbytku, zrezygnować z wszelkich ambicyi. Osiadłem najpierw w Belgradzie i poczyniłem kroki dla otrzymania jakiejś antrepryzy, koncesyi, czy też

założenia przedsiębiorstwa. Przyjęto mnie z otwartymi rękoma, udzielano wszelkich wskazówek i rad. Założyłem im pierwsze akcyjne towarzystwo hodowli winogrodu z produkcją najprzedniejszych gatunków wina. Akcye wprowadziłem na giełdę berlińską i... nic. Przedsiębiorstwo szło, idzie nawet, ale w rezultacie daje trzy, cztery *maximum* od sta...

— A ileżby pan chciał mieć? — przerwał Łamkowski z uśmiechem.

— Jakto ile? Piętnaście, dwadzieścia pięć, pięćdziesiąt...

— Cha, cha! Panie! u nas dzisiaj człowiek, który sam nie pracuje ciężko, a ma dziesięć od tysiąca, uważanym jest za lichwiarza. Ale nie przerywam panu.

— Krótko mówiąc, w pół roku, straciwszy trzy tysiące rubli na przejazdy, życie i starania, wyprowadziłem się do Sofii. I zdaje się panu, że tam co zrobiłem? Zgoła nic. Poruszyłem miejscowe kapitały, otrzymałem monopol na oświetlenie miasta i okolic acetylenem, pobudowałem młyny elektryczne, elewatory... i wszystko nic... Każda dzierzawa, antreprzyza, interes... trafiały w rezultacie na tak zimny i wyrafinowany rachunek, spotykały się z taką pedanterią odbiorców robót, komisji, że absolutnie nie mo-

zna było urządzić żadnego obrotu pieniężnego, najniewinniejszej gry giełdowej. Chciałem na przykład zagrać sobie na zniżkę. Przeplacony agent przysłał mi najbardziej alarmujące telegramy o ruchach wojsk serbskich, o zaborczych zamiarach Austrii... wszystko jednak na nic. Panki na giełdzie nie było! Akcyonaryusze, miast wyzbyć się akcyi natychmiast, czekali. Wie pan, na co czekali? Na urzędowe potwierdzenie wiadomości. I co było robić? I znów straciłem i znów powędrowałem dalej. Byłem w Filipopolu, Konstantynopolu, Cetynii, Atenach, Damaszku, słowem wszędzie, gdzie dawniej można było coś zarobić... i zawsze z tym samym skutkiem. Wreszcie odbiegła mnie dawniejsza ochota do pracy, i zapał i wytrwałość. Z rublem w kieszeni przyjechałem dziś rano i po długich wypytywaniach... dawnym znajomym nie chciałem leżeć w oczy... wskazano mi w biurze budowy mostów na Wiśle pański adres! I oto jestem.

Lankowski rzekł po namyśle poważnie:

— Istotnie, panie Światowidzki, pańska odyseja jest tragiczną, lecz nie ze względu na niefortunny rezultat, ale z uwagi na utopijność zamierzonego celu. Jakto? więc pan doprawdy ludził się, że bez narażenia się na więzienie, bez



posunięcia się do kradzieży, można zrobić miliony?... Czy pan sądził, że w społeczeństwie zdrowym, logicznym i pozbawionem zarazką głupoty można, jak dawniej, pozwalać sobie na tak zwane «sztuczki» i «figielki»?... Pan się myli! Pieniądz, złoto było ongi wszechpotężnym panem, lecz nie dla swych przymiotów, czyli siły wrodzonej, ale dlatego, że ludzie głupi takim je mieć chcieli! Oni je wynieśli na najwyższy stopień pragnień, celów i zamiarów. Umysły ograniczone, nieuksztalcone, nierozsądne były czołem przed złotym cielem, nie zdając sobie bynajmniej sprawy, że ich to własne poklony wywyższają tę chimerę głupoty! Innym mal-kontentom roily się prawa socyalne, prądy wywrotowe...a tymczasem źródło złego tkwilo w głupocie. Niema głupoty... i zabrakło naraz bezdomnych, głodnych, wykolejonych, wyzyskiwanych, bo zabrakło utracyuszów, lekkoduchów, próżniaków, bo znikła pycha i duma śmieszna, bo mania naśladowcza zanikła. Owszem, kapitał, majątek i dziś posiada znaczenie i wartość, jako możność samodzielniejszej, czy bardziej niezależnej pracy, jeżeli pan chce, jako środek do rozumnego uprzyjemnienia sobie życia, ale kapitał nie jest polipem, ssącym biedne masy, nie jest wyrocznią, dyktującą niegdys

prawa i traktaty, nie jest onym obuchem i nawet nie siłą.

Światowidzki pokręcił głową niedowierząco.

— Może być. Wierzę, że tak jest, bo na samym sobie doświadczyłem niejednego; ale, panie Stanisławie, nie dochodźmy do absurdu. Przyznaję: ludzie są inni, zmienili się do niepoznania, stosunki ugrupowały się inaczej, lecz, panie, kapitał, milion... ach! gdybym ja miał teraz milion!

— Pan żartuje! Milion, przy najkorzystniejszym lichwiarskiem oprocentowaniu, da panu zaledwie dziesięć *pro mille*, czyli dziesięć tysięcy rubli, podczas gdy ja, wcale niewybitny pracownik, otrzymuję rocznie dwanaście tysięcy.

— Przepraszam! Zaczynamy mówić od rzeczy! Milion miałby dać dziesięć tysięcy? Kpiny!

— A przecież to takie proste! Zakłada pan, dajmy na to, fabrykę, robi pan umowę z pracownikami i otrzymuje pan zawsze stosowny procent, reszta zaś czystego zysku dzieli się między pańskich oficjalistów i robotników. Z drugiej strony, wraz z zanikiem głupoty, pańscy pracownicy stali się przezornymi, oszczędnymi, wobec czego zamożność ich wzrasta, wartość złota

się obniża i tylko ten ma widoki dorobienia się fortuny, kto wstąpi na drogę pracy.

— Przypuśćmy, przypuśćmy, lecz zechciej mi pan wytłómaczyć jedną okoliczność. Powiada pan, zresztą i inni, że niema głupich na świecie. Otóż, gdy wszyscy inni od razu się z głupoty otrząsnęli, umieli korzystać z sytuacji, czyżbym ja był wyjątkiem? Dlaczego owa kometa nie podziałała i na mnie? Czyż ja jeden miałbym wobec fizycznego prawa ciała niebieskiego stanowić jakiś opór?...

Lankowski się roześmiał.

— Panie Hilary, to takie proste! Na pana kometa prawie nie oddziałała, bo pan miałeś rozum i poniekąd musiałeś się stać jej ofiarą, ponieważ w jej wpływ nie uwierzyłeś i nie zdobyłeś się od razu na radykalną zmianę wszystkich interesów i spraw. Zdawało się panu ciągle, że ma pan przed sobą łatwowierny, potulny, dający się wyzyskiwać tłum. Ale, przepraszam najmocniej, pan jest zdrożony, zmordowany, a ja zapomniałem o obowiązkach gospodarza.

Hilary drgnął nagle, poblądł i zapytał niepewnym głosem:

— Panie Stanisławie! od chwili zobaczenia pana jedno pytanie nie schodzi mi z myśli, bo-

ję się je wypowiedzieć. Panie, co się stało z moją córka... z Tolą? Mów pan, może...

Światowidzki dostał nagle paroksyzmu febrzy, włos mu się zjeżył, a drżące wargi powtarzały machinalnie: «Moja córka... gdzie jest moja córka?...»

Łankowski porwał się uspokajając Hilarego.

— Ależ, panie, nic złego! Zdrowa jest teraz zupełnie. Chce pan ją zobaczyć? Z ochotą, w tej chwili.

— To jest... nie pojmuję... niby...

— A no, widzisz, szanowny teściu, nie dawałeś przez dwa lata znać o sobie, dłużej czekać było niepodobieństwem...

— Więc jest... Jak to dobrze! Oddycham! Panie, myśl o niej nie dawała mi chwili spokoju, dręczyła mnie dniem i nocą! Żyje, powiadasz, i zdrowa... co za szczęście, co za szczęście!...

— Chcesz ją pan widzieć? Owszem! Pozwoli pan, że pójde ją uprzedzić.

Łankowski wyszedł, a w parę minut później Tola była już w objęciach ojca.

Światowidzki nie okazał niechęci, ani niezadowolenia Łankowskiemu. Silił się nawet na radość z powodu niezmiernie szczęśliwego pożycia dwojga młodych małżonków i cieszył się z tego wnuka. W gruncie rzeczy jednak cier-

piał, patrząc na skromne mieszkanko swego zięcia i na całą średnio-mieszczańską atmosferę, w jakiej obracała się jego córka. Nie zdradzał swego rzeczywistego usposobienia, bo na nicby się to nie zdało. Zarówno Stanisław jak i Tola mieli tak trzeźwe i jasne światopoglądy, zasady i przekonania, że Hilary z góry zwątpił, aby go tu rozumiano.

Światowidzki powoli zaczął się oswajać z nowym otoczeniem. Łankowski proponował teściowi, aby objął jaką posadę, starając się mu dowieść, że jedynie praca inteligentna, rozumna, produkcyjna, może mu zapewnić zadowolenie i pewien wykwintny nawet byt. Hilary wzruszył tylko pogardliwie ramionami. Zięć nie nalegał, uważając tę apatyę za zupełnie konsekwentne następstwo przeszłości bankiera, a z drugiej strony nie chciał, aby Hilary posądzał go o interesowność i przypuszczał, że mu jest ciężarem.

Teść Stanisława wogóle prowadzić zaczął życie samotne, odludne, egoistyczne. Na spacer go namówić nie można było, prawie nie wychodził z domu, dzienników czytać nie chciał, znajdując je niesmacznymi i jałowymi, a wszelkich dawnych i nowych znajomości jak najstarraniej unikał. Tola była w rozpacz. Perswazye, namowy, żadnego nie osiągały rezultatu.

Sprowadzony *incognito* lekarz oświadczył, że Światowidzki cierpi na manię geszefciarską i zalecał usilne i ustawiczne oddziaływanie moralne.

W tymże czasie na zakupionym placu za rogatkami Mokotowskimi otwarto «Wielkie muzeum głupoty narodowej.» We wspaniałym budynku, urządzonej z komfortem, zgromadzone dziesiątki tysięcy przepięknych okazów, dających dokładne, bo historycznie przeprowadzone badanie nad powstaniem, rozwojem i znikaniem głupoty. Wiekopomne to dzieło było owocem zabiegów i starań całego społeczeństwa, które z całym samozaparciem się stanęło jako jeden mąż do pracy. Zorganizowany komitet z ludzi czynu i dobrej woli (bez pręszów) rozwinął całą swoją energię. No, bo też warunki tu były istotnie wyjątkowe.

Na przykład, taki Papenkleiner sam własnoręcznie złożył komitetowi plikę dokumentów, dotyczących wszelkich szwindli, jakie ongi prowadził na wielką skalę w instytucjach akcyjnych, oraz referat, obejmujący sposoby, za pomocą których wyprowadzał stowarzyszonych w pole. Gondemann, żydek francuski, rzeźbiarz z powołania, nie odmówił prośbie komitetu i nadał listy dziękczynne działaczy «od budowy

pomnika,» oraz medal na jego część wybity z powodu otrzymania 60,000 rubli za dzieło, niewarte więcej nad tysiąc. Liński, były prezes piętnastu naraz instytucji filantropijno-społecznych, nadesłał swoją podobiznę wraz z podpisywanymi przez siebie bez czytania dowodami, stwierdzającymi machiawelizm dwóch swoich zaszników: Paleckiego i Figlaszewskiego. Komitet nadto uchwalił fotografie dwóch pomienionych panów obok Lińskiego umieścić. Brat Lińskiego, Konstanty, ex - dyrektor Towarzystwa krajowej asekuracji, dostarczył listę swoich synekur, wykazy pensji urzędników, jako przyczynę do historyi nepotyzmu, a także opis figielków, przedsiębranych dla wypromowania swego synka na stanowisko dyrektora. Pewien znów dziennikarz wystąpił z sikawką strażacką, odbitką swoich listów z podróży i odtworzonym w gipsie nosem swej sprawozdawczyni od mody i strojów damskich.

W ten sposób i z taką spoistością myśli traktowane Muzeum stało się wkrótce celem wędrówki całego społeczeństwa. Kto żyw śpieszył w wolnej chwili napaść oczy tymi przepięknymi zbiorami, lub wysłuchać objaśnień, udzielanych przy demonstrowaniu okazów.

Bo też najstarsi ludzie jednomyślnie oświadczali, że jak żyją, nie pamiętają takiego dziwo-wiska. I pewnie. Toć, na przykład, sama możność zobaczenia z blizka rachunków i ksiąg takiej «Zjednoczonej filantropii» mogłaby stanowić dostateczną przynętę dla tłumów, a cóż dopiero, gdy każdy zwykły śmiertelnik mógł oglądać jeszcze takie osobliwości, jak plan miasta Żółtodziobkowa, wykonany przez znanego Szwindelweisa, tytuł hrabiowski rodziny Prosiackich, lub kopie zapisów filantropijnych, czynionych niegdyś przez Szwarewanda i Figelberga, w zestawieniu z dokumentami o prowadzonej przez tychże lichwie.

Zagotowało się w całym mieście z uciechy wielkiej, a wieść o wspaniałościach Muzeum dosięgła niezadługo i mieszkanka Łamkowskich.

Stanisław i Tola skorzystali z pierwszej okazji i zwiedzili Muzeum. Hilarego na razie namówić nie można było. Opierał się myśli o peregrynacyi za rogatki i nie zważał na pełne zapalu zachwyty córki i zięcia. Jemu co z tego? Jakieś tam blażeństwo nic warte i koniec.

Łamkowski jednak nie ustępował, lekarz bowiem orzekł, że takie właśnie Muzeum, ułożone i zorganizowane z bezprzykładną prawdą i logiką realnych dowodów, mogłoby raz na zawsze



wyleczyć Hilarego. Gdy zatem do nalegań Stanisława przyłączyła się Tola, ex-bankier, dla świętego spokoju, dał się przebłagać i zgodził się na wycieczkę i zwiedzenie Muzeum.

Dzień był ciepły, pogodny.

Światowidzki po raz pierwszy od trzech miesięcy wyszedł z domu. Stanisław i Tola byli szczerze uradowani, że im się nareszcie udało dopiąć celu. Hilary szedł z nimi zimny, obojętny, zę wzrokiem apatycznie spuszczone w ziemię. Co mu tam do tego nowomodnego świata? cóż go ci ludzie wszyscy obchodzić mogą? Idzie dla świętego spokoju, zresztą ma niekiedy wrażenie, że się znajduje w szpitalu waryatów.

Szli we troje w milezeniu. Naraz wśród odświętnego natłoku ktoś mocniej trącił Hilarego. Podniósł oczy, obejrzał się i osłupiał. Zobaczył Morysia Pustogłowskiego, odzianego bardzo skromnie, w miękkiej, nieprasowanej koszuli, w jakiejs zgrabnej czapeczce, prowadzącego pod rękę... matkę.

Światowidzki przystanął mimowoli, głową pokręcił z niedowierzaniem i rzucił przelotnie okiem na tłum, lecz i tu czekała go niespodzianka. Fala ludzka płynęła spokojnie, poważnie, nikt nikomu w oczy nie zaglądał, nie pozwalał sobie na głośne dwuznaczniki, nie rozpychał lo-

keiami przechodniów i nie czapkował do ziemi. Śród ulicy jechały dorożki, tramwaje elektryczne, powozy, zachowując porządek, nie wymijając się w pędzie — bez hałasu. Wszystko to mówiło, że ci ludzie świętują dziś, że nie śpieszą się, bo nie mają do czego, i nie drą nosów do góry z powodu, że jada... gdy inni idą piechotą.

Na zakręcie ulicy mężczyzna jadący w facjonie uklonił się pierwszy Stanisławowi. Hilary, dla pokrycia swego pomieszczenia, rzucił niedbale:

— Kto to taki ten, co ci się kłaniał?

— To dyrektor budowy mostów.

— Hm! Musisz być u niego dobrze widzianym?...

— Nie gorzej, ani lepiej od innych.

— Myślałem... Pierwszy ci się uklonił...

— I cóż to może znaczyć? Pierwszy uchylił kapelusza, bo mnie pierwszy spostrzegł.

Rozmowa się urwała.

Powoli zaczęli się zbliżać do wspaniałego budynku, wznoszącego się na wielkim placu pozarogatkowym. Hilary spoglądał z pod oka na bogate sztukaterie, imponujące filary, oszkloną kopułę, mieniącą się w słońcu, i zapytywał samego siebie po raz dziesiąty z rzędu:

— Czy im się w głowach przewracało? Taki gmach, taki wspaniały gmach... i po co?

na co? Dla pomieszczenia Muzeum głupoty narodowej!

Stanisław wysunął się na przód dla zakupienia biletów, Hilary przystanął zamyślony, apatyczny, obok córki, i czekał na powrót zięcia. Wtem ktoś z przechodzących sklonił mu się i wyciągnął doń rękę. Był to Wiktor Ciepelko, uśmiechnięty, rozpromieniony.

— Witam złotego pana! Kopę lat! Ach, jak to pięknie, jak ślicznie z pańskiej strony... prawdziwie po obywatelsku... Dziś jeszcze złożę raport! Moje uszanowanie złotej pani Łamkowskiej!

Światowidzki podał obojętnie rękę Ciepce, który trzepał dalej po swojemu:

— Zacnie, bardzo zacnie! Złoty pan dawno powrócił? Co to będzie za radość... złoty panie... o panu jednym zwątpiliśmy... zupełnie zwątpiliśmy... aż tu pan zjawia się nagle! Meteor, złoty panie, najświetniejszy meteor nie sprawiłby takiego wrażenia. Słowo daję! Lecz myśmy o złotym panu pamiętali... a jakże... ma pan swój wyłącznie oddział, poświęcony jego pamięci.

Hilary, oszołomiony z początku potokiem słów Ciepki, odzyskał panowanie nad sobą.

— I cóż pan porabia?

— Ano, jestem kontrolerem biletów, złoty panie. Dużo tu nas jest.

— Jakże Filantropia zjednoczona?

— Rozwija się, prosperuje, tylko nas... panie, niby tego... ten... złoty panie! Trudno im się dziwić... Kontrolerem się zostało przy Muzeum. Życie trzeba! Panie, jest tu nas cała paczka. Pamiętali o nas i poratowali. Siedzimy sobie, pożywając *panem bene merentium...* i tyle. Jest tu Krajke, Neo, młody Liński, Berse, Kellisch, Bajdurkiewicz... Lizorański jest bileterem! Sami znajomi, złoty panie. Ano, bo też, panie, wszelkie okazy głupoty z ostatnich lat dwudziestu kilku to owoc naszej pracy, naszych zabiegów, naszych starań... O, patrz pan... Widzi pan tego słusznego staruszka z miotłą w ręku, w liberyi miejskiej? To Palecki, ten kochany Palecki z «Głuszy.» Albo tamten, trzymający hydrant w ręku i polewający ulicę, to przecież Bajdulicki, ex-publicysta, literat i sława!

Nadszedł Stanisław z biletami. Ciepelko ofiarował się na przewodnika. Poszli razem, gawędząc o dawnych czasach. Hilary się ożywił. Przy wejściu spotkała go niespodzianka: oto w woźnym poznał Papenkleinera. Dawny król cukrowo-węglowy ucieszył się serdecznie.

— Kogo ja widzę! Aj, kogo ja widzę! Ja się bardzo cieszę, kochany panie Hilary! Dlaczego pan kupował bilet? Pana powinno się z wielką pompą wprowadzić, taki tryumf! Marzyć o większym byłoby trudno. Aż mnie coś kole ze wzruszenia. Doprawdy, jestem taki kontent, jak dziura w moście. Niechże pan mnie odwiedzi. Mieszkam na Wroniej 63, mieszkania 39.

Fala napływającego tłumu pociągnęła Hilarego na przód za córką, zięciem i Ciepelką.

— Od czego zaczniemy? — zagadnął ten ostatni. — Może od działu historii głupoty, rozpoczynającej się na kolecey i biletów totalizatorowych, a kończącej na artykułach wstępnych pewnego znanego panu kauzyperdy i działacza?

— Jabym sądził — wtrącił Stanisław, — że najwięcej zajmie ojca dział, jemu poświęcony.

— Słusznie, słusznie. Może pan, złoty panie, dostrzedz jakieś niedokładności, braki. Z każdej jego wskazówki skorzystać nie omieszkamy.

Hilary, milcząc, dał się prowadzić, rozglądając się w niemem osłupieniu po ścianach i witrynach. Ciepelko od czasu do czasu udzielał przelotnych objaśnień.

— Oto jest dział prasy. Zbiór nożyczek, stanowiących ongi dźwignię telegramów wła-

snych, okazy reklam płatnych w tekście, fabrykowanych z miernot, należących do tak zwanej ongi kliki różnych sług, powag i wielkości. Tu są sztuczki giełdowe, używane do fałszowania kursów, dalej dział sensacyjnych wiadomości, wzmiankarstwo płatne przez dyrektorów teatrzyków, a poniżej zaraz portreciki i autografy. Proszę teraz na lewo za mną. Już jesteśmy na miejscu... oto pański dział, złoty panie Hilary.

Światowidzki podniósł oczy i zbladł. Na ścianie, wybitej czerwonym suknem, wisiał jego własny portret naturalnej wielkości w otoczeniu całego szeregu fotografii i podobizn z ręcznie wykonanych. W oszklonych szafeczkach, pod portretem, leżały rozłożone własne jego autografy, rękopisy, dokumenty, książki, dzieła. A ponad tem wszystkim wisiał wielki złocony napis: «Hilary Światowidzki, szermierz głupoty z końca XIX-go wieku, giełdziarz pierwszej wody, obywatel, bankier i filantrop.»

Hilary gorączkowo zaczął przebiegać oczyma nagromadzone tu przedmioty. Więc dostrzegł leżącą na froncie «Nową ekonomię polityczną,» wraz z autografami Błażejewicza, następnie dzieła przeciwko walkom ras, kopie pełnego memoriału, stos rachunków z budowy kolei żelaznych.

Światowidzkiemu zaćmiło się w oczach. Jak to? więc oni tu o wszystkim wiedzą, nie się nie zdołało ukryć, nie ocalić?...

Jest zdemaskowanym, odkrytym zupełnie, w każdym calu swej duchowości, swych dawniejszych czynów, idei, zamiarów — to okropne!

Chciał stąd coprędzej uciec, ukryć się w jakimś zakątku świata, byleby na to okropnie szydercze widowisko nie patrzeć,—lecz nagle coś jakby go do ziemi przykuło. Ze ściany spoglądała na niego uśmiechnięta złośliwie twarz rudego Jojny, smutnie wykrzywione oblicze Kleinstockowej, zerkającej nieśmiało na reb Arona, wspartego na ramieniu Zyzia Naiwnego. Im dłużej tu stał, tem więcej znajdował znajomych twarzy i przedmiotów. Była to kolekcya zebrana z nieubłaganą wytrwałością, z lodowatą logiką. Hilary wsparł się o balustradę, okalającą oddział. Ciepelko pierwszy przerwał milczenie, nachylił się do ucha ex-bankiera i zaczął szeptać swym piskliwym głosem:

— Panie Hilary! Panie Hilary! Złoty panie, prawdopodobnie pan zauważył już brak kopii pańskiego świadectwa dojrzałości, zakupionego ongi przez złotego pana. Ale cóż, dopiero czynimy poszukiwania; gdyby pan jednakże chciał nam przyjść z pomocą, byłibyśmy mu nieskoń-

czenie, bezmiernie wdzięczni. Tego dowodu nam bardzo braknie. Gotowi jesteśmy podziękować mu za niego publicznie...

Hilary posiniał. Piana wystąpiła mu na usta. Pod czaszką zerwały się burze.

Szydzą z niego, drwią, naigrawają się z jego dzisiejszej bezsilności. Dostyc tego... nie... on takiego upokorzenia nie zniesie, nie ścierpi!

Światowidzki z błyskawiczną szybkością przesadził balustradę i rzucił się do okazów. Zerwał wiszący portret i zaczął tłuc szyby gablotek, wyciągając z nich zebrane papiery, książki, kwity, drąc je i depcąc. Był strasznym. Oczy mu nabiegły krwią, wzburzenie dodało nieludzkiej prawie siły.

Ciepelko ze Stanisławem rzucili się obczwładniać Hilarego. Tola wołała przerażona o pomoc. Zbiegli się ludzie i, po długich szamotaniach się ex-prezesa, wyprowadzili go na powietrze.

Hilary omdlał.

Wezwane natychmiast «Pogotowie» udzieliło mu pierwszej pomocy, lecz niedanem było Światowidzkiemu przyjść już do siebie. Nadmiar gwałtownego wzruszenia poraził mózg. Pomimo najtroskliwszej opieki córki i zięcia, Światowidzki pełni władz umysłowych odzyskać nie



zdolał. Cichy to był typ waryata melancholika. Po całych dniach albo siedział w kącie zamyślony, z oczyma błędnie utkwionemi w przestrzeni, albo też, pochylony nad papierem, wypisywał kolumny cyfr, liczył je, obrachowywał procenta i dochody, a niekiedy jakieś wielkie redagował memoryały. Papier i atrament stały się jego ulubionemi zabawkami. Niekiedy w umyśle jego rodziły się nibyto nowe projekty i kombinacye, a wówczas rozprawiał o nich szeroko, zanudzał niemi wszystkich domowników, powtarzając bez ładu i składu terminy giełdowo-bankierskie. Dobra i pieczołowita córka w chwilach takich napadów stosowała zimną wodę, która była jedynym środkiem, uśmierającym nieuleczalne cierpienie Światowidzkiego, nazwane przez psychiatrów «stultonizmem,» czyli zastarzałą manią upatrywania głupich ludzi. W końcu, w imię idei *similia similibus curantur*, próbowano «stultonizm» leczyć dawno wycofaną z obiegu... homeopatya, ale kuracyi tej zaniechano, ponieważ jej byli krzewiciele orzekli, że homeopatya wzięła swój początek nie z głupoty, ale z blagi.

Długo jeszcze męczył się wielki prezes, potężny finansista, wszechwładny bankier i głębo-

ki autor, aż osiadłszy w Tworkach — żywota doskonał.

\* \* \*

Takby się stało niewątpliwie, gdyby kometa mądrości istotnie się ukazała. Powieść jest tylko powieścią! Nie traćmy atoli nadziei, ufajmy, że głupich kiedyś zabraknie. Oby tylko nadzieja i tym razem matką głupich nie była!...

K O N I E C .



KSIĘGARNIA  
A. G. DUBOWSKIEGO

w Warszawie, Marszałkowska Nr. 91 (róg Żórawiej).

Poleca następujące dzieła, własnym nakładem wydane:

	Rb. kop.
<i>Aldona. Pieśni kobiety. Poezye.</i> . . . .	— 40
<i>Augustynowicz Jan. Książd Prot. Historia ludzka. Powieść, nagrodzona zaszczytnem odznaczeniem na konkursie literackim «Głosu»</i> . . . . .	1 20
<i>Bardzka Natalia. Książę Jerzy. Powieść historyczna z końca XVII wieku.</i> . . . .	1 —
<i>Bęczkowska-Grot Wanda. Kędy droga? Powieść</i> . . . . .	1 60
— <i>Z szarej przędzy. Nowelle</i> . . . . .	1 —
<i>Dygasiński Adolf. Nędzarze życia.</i> . . . .	— 40
— <i>Z naszej niwy. Nowelle</i> . . . . .	1 —
<i>Fürst L. d-r. Z życia kobiety. Hygienu okresu dojrzałości kobiecej w stanie normalnym i chorobowym. Przetłómaczył H. T. Z 2 rysunkami</i> . . . . .	— 40
<i>Gliński Mieczysław. Poezye.</i> . . . . .	— 80
W oprawie w płótno angielskie . . . . .	1 20
<i>Hajota. On i my. Nowelle. (Z portretem autorki)</i> . . . . .	1 —
<i>Junosza Klemens. Przy kominku. Obrazki i opowiadania</i> . . . . .	1 20
— <i>Suma na Kocimbrodzie. Powieść</i> . . . .	— 80
— <i>Za mgłą. Powieść</i> . . . . .	1 20
<i>Kadler Ludwik d-r. O środkach ochronnych od chorób wenerycznych.</i> . . . .	— 25
<i>Karwicki-Dunin Jozef. Ze starego autoramentu. Typy i obrazki wołyńskie, ser. I</i> . . . . .	1 20
— <i>Serya II.</i> . . . . .	1 20

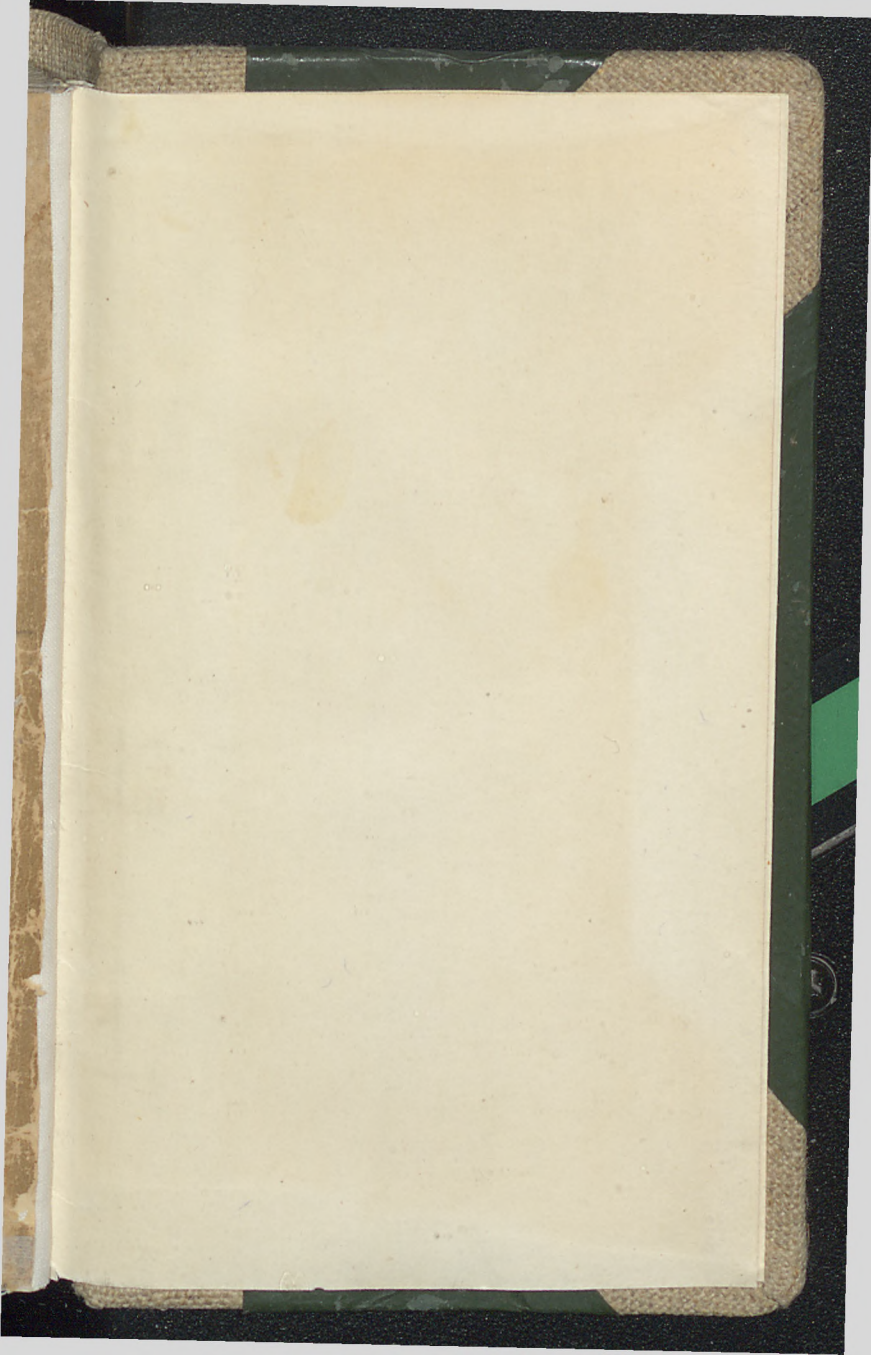
<i>Karwicki-Dunin Józef.</i> <b>Z zamglonej i niedawno minionej przeszłości.</b> Wołyńskie opowiadania historyczne. . . . .	Rb. kop 1 20
<b>Klechdy</b> czyli baśnie ludu polskiego na Śląsku . . . . .	— 20
<i>Kondratowicz S.</i> <b>Falsze życia.</b> Powieść. 2 tomy . . . . .	2 —
<i>Lange A.</i> <b>Poezye.</b> Część I . . . . .	1 50
<i>Laskowski Kazimierz (El).</i> <b>Z chłopskiej piersi.</b> Śpiewki. . . . .	— 20
— <b>Zrośli z ziemią.</b> Opowieść. Wyd. 2 . . . . .	— 60
<i>Laurent O. d-r.</i> <b>Hygiena cyklisty.</b> Przekład z franc. d-ra F. Jak... Z 2-ma rys. . . . .	— 40
<i>Milkuszyca Marya.</i> <b>Kwiaty i ciernie życia.</b> Nowelle . . . . .	1 —
<i>Przyborowski Walery.</i> <b>Rycerz Mora.</b> Powieść historyczna z czasów pierwszego najazdu szwedzkiego. . . . .	1 20
— <b>Sokół królewski.</b> Powieść historyczna z czasów Zygmunta Augusta. Wydanie drugie. . . . .	— 80
— <b>Z przeszłości Warszawy.</b> Szkice historyczne. . . . .	1 20
<i>Ramestan (Niemierowski Kazimierz).</i> <b>Pałac Boży.</b> Powieść . . . . .	— 75
<i>Roguski S. M. (Es-em-er).</i> <b>Mąż i pan.</b> Opowiadanie . . . . .	— 60
<i>Rościszewski Mieczysław.</i> <b>Kartograf.</b> Album wzorów wierszowanych do kart korespondencyjnych. Podręcznik dla pań i panów . . . . .	— 20
— <b>Rozmowa i sposób jej prowadzenia.</b> Jedyne skuteczne poradnik dla chcących się podobać . . . . .	— 15
— <b>Wesele.</b> Poradnik dla wstępujących w związek małżeńskie . . . . .	— 15

Antykar, DK  
Yhalon, 1.04.76.  
- 21. v.

21

404866

21176











873151

---

---

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001012289668